MARIA
NUROWSKA

Mój przyjaciel

ZDRAJCA

MARIA
NUROWSKA

Mój przyjaciel
ZDRAJCA

Copyright © by Maria Nurowska, 2011

Wydanie II

Warszawa 2011

Redaktor prowadzący: Adam Pluszka

Korekta: Elżbieta Jaroszuk

Redakcja techniczna: Alek Radomski

Projekt okładki i stron tytułowych: Anna Pol

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Fotonova

Fotografia autorki: Tomasz Kordek

Wydawnictwo W.A.B.

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

ISBN 978-83-7747-252-1

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.
virtualo.eu

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

MARIA NUROWSKA

Autorka powieści i dramatów. Wydała ponad dwadzieścia książek, m.in. *Postscriptum* (1989, wznowione ostatnio pt. *Wybór Anny*), *Hiszpańskie oczy* (1990), *Listy miłości* (1991), sagę *Panny i wdowy* (1991—1993), *Rosyjskiego kochanka* (1996), *Tango dla trojga* (1997), *Miłośnicę* (1998), *Niemiecki taniec* (2000), trylogię ukraińską — *Imię twoje…* (2003), *Powrót do Lwowa* (2005), *Dwie miłości* (2006), *Sprawę Niny S.* (2009), *Nakarmić wilki* (2010), wspomnienia *Księżyc nad Zakopanem* (2006) i opowieść biograficzną *Anders* (2008). Książki Marii Nurowskiej były wielokrotnie wznawiane. Zostały przetłumaczone na szesnaście języków, w tym chiński i koreański. We Francji i w Niemczech stały się bestsellerami, a w kilku landach trafiły do kanonu lektur szkolnych.

Spis treści

Wstęp

Wróg ludu

Hanka

Służba nie drużba

Obława

Egzamin generałów

Córka komendanta

Oszust

Przeprowadzka

Jacht

Androsiuk

Sztab

Misja

David

Moskwa

Flesz

Toast

Halinka

Polonez Ogińskiego

Na obczyźnie

Ofiara

Czy było warto

Posłowie

Nazwisko: Kukliński
Imię: Ryszard
Urodzony: w Warszawie
Zawód: zdrajca…

Tak myśli o mnie wielu ludzi w moim kraju. Ale to ciągle jest mój kraj, mimo że dzielą mnie od niego tysiące kilometrów.

Na pewno nie czuję się Amerykaninem, mimo że Ameryka mnie doceniła. Ameryka dała schronienie, mnie i mojej rodzinie, gdy musiałem uciekać przed zemstą systemu, najbardziej zbrodniczego i perfidnego systemu XX wieku. Kiedy to do mnie dotarło, postanowiłem wydać mu wojnę. W pojedynkę, bo jak inaczej – nie miałem ani rakiet, ani żołnierzy. To była szalona myśl, która powstała w mojej głowie wiele lat temu i trwała we mnie do czasu, aż pojawiła się realna szansa, aby przemienić ją w czyn. Opowiem ci o tym, skoro obiecałem. Jesteś pisarką, chcesz potraktować moje życie jako materiał literacki, zgadzam się, ale pod pewnymi warunkami. Opublikujesz powieść dopiero po mojej śmierci. Absolutnie wykluczone! Nawet mnie o to nie proś! Nie zgadzam się na wcześniejsze wydanie. Ależ mam zaufanie do twojego pióra, inaczej nie zapraszałbym cię do Ameryki, nie o to chodzi. Chodzi o to, że nie chciałbym przeczytać tej książki, bez względu na to, jak zobaczysz moje życie i jak je opiszesz. To twoja sprawa. Chcesz mnie opisać jako zdrajcę, zrób to, chcesz przyznać rację mojej najbardziej dramatycznej decyzji życiowej, będę się tylko cieszył. Gdzieś tam…

Nie, niczego się już nie boję, nawet swojego literackiego wizerunku. O jedno cię tylko proszę, opisz mnie ze wszystkimi moimi ułomnościami i błędami, jakie popełniłem. Chciałbym, aby zapamiętano mnie jako człowieka, a nie jakiegoś Jamesa Bonda o nadludzkich możliwościach. Jesteś zmęczona po podróży, w końcu znalazłaś się na drugiej półkuli, więc zanim wejdziemy na mroczne ścieżki mojego życia, na początek, dla rozweselenia, opowiem ci o mojej przygodzie świeżo upieczonego majora z generałami, która o mało źle się dla mnie nie skończyła. Tutaj kilka słów wstępu. Co jakiś czas odbywały się u nas ćwiczenia, w których brały udział siły radzieckie. Najpierw opracowywano cały scenariusz w ścisłym gronie, potem przydzielano role, oczywiście wszystko w najgłębszej tajemnicy. Lista osób uczestniczących w tym wydarzeniu była dokładnie sprawdzana przez Wojskową Służbę Wewnętrzną i tak dalej. Mnie przypadło w udziale niewdzięczne zadanie dowiezienia polskich generałów na taki pokaz, który miał się odbywać w Czersku na Pomorzu, wiesz mniej więcej, gdzie to jest? Dobrze. Więc nasi generałowie, którzy mieli uczestniczyć w tym ćwiczeniu, którzy mieli je obserwować, mimo że byli najwyższej rangi oficerami, nie wiedzieli, gdzie ani po co jadą. Ja miałem ich dowieźć autobusem z Drawska Pomorskiego do Czerska…

Wiesz co, tutaj na balkonie jest bardzo przyjemnie, ale jednak wejdźmy do środka, bo może nas ktoś słyszeć. Nie szkodzi, że mówimy po polsku, trzeba uważać. No… to się działo trzydzieści cztery lata temu, pamięć mi, jak widzisz, jeszcze dopisuje, nie jestem takim kościanym dziadkiem, za jakiego mnie pewnie uważasz. Nie uważasz? No cóż, kobiety zawsze mnie lubiły, ale o tym innym razem, teraz wracamy do generałów.

Miałem więc ich dowieźć na ten poligon wojsk lotniczych. Była wtedy śnieżna zima, śnieg padał i padał, do tego jeszcze

mróz. Warunki okropne, na drogach zaspy, trzeba było użyć pługów śnieżnych, żeby utorować przejazd. Jednostki inżynieryjne miały pracować całą noc, a ja potem miałem przewieźć czterdziestu polskich generałów przez poligon sowiecki Borne-Sulinowo. Ponieważ Rosjanie byli bardzo niechętni do przepuszczania kogokolwiek przez swoje tereny, trzeba było to jakoś dyplomatycznie z nimi rozegrać. W przeddzień całej wyprawy pojechaliśmy z moim szefem do dowódcy sowieckiego garnizonu i zakomunikowaliśmy, że marszałek Greczko będzie tutaj z marszałkiem Spychalskim prowadził ćwiczenia, na które trzeba dowieźć wysokich rangą polskich oficerów. Całą trasę przejazdu pokazałem mu na mapie. Gdyby Rosjanie odmówili, trzeba by było nadłożyć spory kawałek drogi. Ale on podszedł do tego ze zrozumieniem. Powiedział:

nie ma sprawy, zawołał jakichś oficerów. Sądziłem, że najgorsze mam za sobą, jednakże kłopoty zaczęły się już w samym Drawsku, do którego moi podopieczni mieli dojechać własnym transportem. Generałowie zadali mi podstawowe pytanie: „Po co my tu jesteśmy?”. Ja mówię: „Bo taki jest rozkaz”. „Tak, ale gdzie my jedziemy?”. Na co ja: „Nie mam prawa tego ujawniać, wszystko się okaże na miejscu”. Oni poczuli się dotknięci, że zwykły major ma jakieś tajemnice przed wielkimi generałami, dowódcami armii, dowódcami lotnictwa, marynarki. Na dodatek nadeszła wiadomość, że ćwiczenia mają się rozpocząć dwie godziny wcześniej, nie o dziesiątej, ale o ósmej, podobno Greczko wydał takie polecenie. Kiedy oficerowie kładli się spać, wiedzieli, że będą obudzeni o piątej rano, przyjdą na śniadanie o piątej trzydzieści, a o godzinie szóstej wyruszymy autobusem w niewiadomym kierunku. I teraz, proszę ja ciebie, kiedy oni położyli się już spać, przyszedł ten rozkaz. Już ich nie budziłem, aby im o tym zakomunikować, tylko zarządziłem pobudkę dwie godziny wcześniej. Musisz wiedzieć, że panowie

do późna pili wódkę i grali w karty. Kiedy więc sierżant z WSW przyszedł budzić jednego, drugiego generała, ten patrzy na zegarek. „Jak to, major mówił, że nas obudzą o piątej. Jest trzecia rano!”. Nie chcieli wstawać, ale kazałem ich ściągać za nogi, bo nie miałem innego wyjścia. W kasynie zaczął się atak na mnie, dlaczego zmiana planu. Ja znowu mówię: „Taki dostałem rozkaz”. Napięcie, które od początku się pojawiło pomiędzy całą wierchuszką a mną, świeżo upieczonym majorem, jeszcze wzrosło. Ale podjedli sobie, dobudzili się, zaczęli się nawet śmiać. Dojeżdżamy do przejazdu, a tu szlaban zamknięty – przetaczają wagony, z prawa na lewo, z lewa na prawo. A ja mam czas wyliczony co do minuty! Biegnę do dróżnika, ten nie chce ze mną gadać. Mówi: „My tu mamy swój rozkład jazdy”. I koniec. Stoimy dziesięć, piętnaście, dwadzieścia minut. Generałowie się denerwują i oczywiście winny jestem ja. Ale był taki fajny generał Ohanowicz. Mówi: „Pójdę, pogadam z tym dróżnikiem”. Ucieszyłem się, z generałem zawsze inaczej się rozmawia. Więc ten Ohanowicz, postawny, z brwiami jak namalowanymi węglem, Cygan z pochodzenia zresztą, poszedł, coś tam interweniuje, a dróżnik swoje: „Muszą wszystkie wagony przetoczyć, bo nie ma żadnej komunikacji z parowozem”. Wreszcie po czterdziestu minutach skończyli te manewry i podnieśli szlaban. Jedziemy. Docieramy do garnizonu sowieckiego, zatrzymują nas! Ja mówię, że chcę rozmawiać z oficerem dyżurnym. Oficera dyżurnego nie ma! Nikt nic nie wie, nie było żadnych poleceń. Perturbacje trwały około godziny, zanim puścili nas przez ten poligon. Komentarz generałów był taki: „No, jak już się Sztab Generalny w coś wtrąci, to robi się straszny bałagan!”. I ja, jako przedstawiciel tego sztabu, zostałem obarczony całą winą.

Jedziemy przez poligon, generałowie są już dobrze podładowani, docieramy do drogi, która miała być oczyszczona przez nasze wojska inżynieryjne. I co się okazuje?

Te sukinsyny, Sowieci, oczyścili swoją drogę, odgarniając śnieg na naszą stronę… Ściana nie do przebycia, co najmniej na dwa piętra. Klęska straszna. Autobus się zatrzymał, ja mówię do generałów: „Bardzo mi przykro, ale mieliśmy tędy jechać”. „No tak! Sztab Generalny! Co to za major, skąd oni takiego majora wytrzasnęli!”. Decyduję się ruszyć drogą na Okonek. Przez Okonek i przez Wałcz też miała być przetarta droga. O tak, pamiętam te nazwy i chyba ich nie zapomnę do samej śmierci! Słuchaj dalej, bo to nie koniec moich klęsk na samym początku kariery w Sztabie Generalnym. Jedziemy na ten Okonek i po dwóch kilometrach bodajże napotykamy nową przeszkodę – pośrodku drogi stoi pług śnieżny. Zepsuty! Przed nim zwały nieodgarniętego śniegu. Co tu robić? Proponuję, aby generałowie pozostali w autobusie, który jest ogrzewany, na zewnątrz zimno jak cholera, a ja rozejrzę się w sytuacji. Stamtąd było już niedaleko do punktu obserwacyjnego, do którego przetarto wąską dróżkę. Rozglądam się i widzę leśniczego, nadjeżdża na motorowerze. Ja do niego: „Panie, pożycz mi ten pojazd, to sprawa gardłowa”. Ten biedak zsiada, bo jakie ma wyjście… Łapię za motorower i kątem oka widzę, jak generałowie wysiadają z autobusu, podwijają poły płaszczy i gęsiego maszerują przez zaspy. Chyba specjalnie, aby mnie pognębić! No cóż, wjeżdżam na poligon i widzę kolumnę WSW pilotującą dwóch marszałków w limuzynach. Mówię do tego oficera z WSW: „Dawaj mi te swoje wszystkie gaziki, trzeba przywieźć generałów, którzy tam brodzą w śniegu”. Wysłał po nich półciężarówkę i kilka samochodów. Ale generałowie odmówili, nie wsiedli, na miejsce dotarli piechotą. Potem, po zakończeniu ćwiczeń, była wspólna kolacja z naszymi sojusznikami. W rozstawionych namiotach stały kotły z bigosem, alkohol lał się strumieniami i, ma się rozumieć, nie był to koniak. Ja też byłem zaproszony do namiotu generalicji, ale jakoś nie miałem ochoty na rozrywki. Byłem zmęczony, chciałem się wyspać. I rozgoryczony też, oczywiście.

Przechodząc obok swojego dowódcy, który stał z generałem Molczykiem, chyba najbardziej mi niechętnym z całej „autobusowej wycieczki”, usłyszałem strzęp rozmowy: „Skąd wyście takiego matoła wytrzasnęli?”. „Nie miejcie żalu do majora Kuklińskiego, on tylko wykonywał nasze rozkazy” – padła odpowiedź.

Mój komentarz? Po latach widzę to tak samo jak wtedy… Rozumiesz, trzecia wojna światowa tuż-tuż, najnowocześniejsze rakiety z głowicami nuklearnymi w pogotowiu, a z drugiej strony dróżnik na małej stacyjce przetaczający wagony… to kwintesencja tego systemu, kwintesencja komuny. O nie, to wcale nie było niegroźne, przeciwnie, to było zagrożenie najwyższego stopnia, bo w tym bałaganie ktoś mógł wydać rozkaz, który unicestwiłby cały świat.

Mam nadzieję, że wypoczęłaś po trudach podróży? Może przejdziemy się po mieście? Pokażę ci ścieżki, którymi tu chodziłem. Lubię to miasto, nawet te zmienne temperatury, bo tutajjest inaczej niż w moim kraju. I nie chcę, żeby było podobnie. Nic nie może mi zastąpić tamtych widoków, tamtego klimatu, tam tego surowego morza. Wiesz, że byłem zapalonym żeglarzem? Nawet sam sobie zbudowałem jacht, przy okazji ci o tym opowiem. A ty zadawaj mi ostre pytania, nie bój się mnie. Skoro zdecydowałem się na tę spowiedź, niech będzie prawdziwa. Być może staniesz się moim jedynym konfesjonałem. Dlaczego wybrałem ciebie? Przecież to ty wybrałaś mnie!

Wczoraj przy kolacji zadałaś mi pytanie, na które teraz chciałem ci odpowiedzieć. Moi przeciwnicy krzyczą: „Skoro był taki święty, dlaczego wstąpił do komunistycznego wojska?”. Przepraszam bardzo, w czterdziestym siódmym roku nie było komunistycznej armii, nawet działalność partii w wojsku była zakazana, nielegalna, tak, tak, moja droga. Była

tam mieszanina prostych żołnierzy, których wyciągnięto z Kazachstanu, gdzieś tam z różnych zakątków Związku Radzieckiego, kadrę oficerską stanowili głównie Sowieci. Oficerów polskich było niewielu, bo oni wyszli z armią Andersa, ale zaczęli się powoli odnajdywać… poza tymi w Katyniu, oczywiście. Powtarzam, w czterdziestym siódmym roku system komunistyczny nie był jeszcze w Polsce ustanowiony. Ja straciłem w Warszawie wszystko – ojca, dom, nie wiedziałem, co się dzieje z matką, potem dopiero się odnaleźliśmy. Ale w Warszawie, póki co, nie miałem czego szukać. Ponieważ Niemcy zniszczyli kamienicę, w której mieszkaliśmy, miałem prawo do otrzymania mieszkania na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych. Wyjechałem do Wrocławia i tam przypadkowo natknąłem się na plakat zachęcający do wstępowania do wojska, robiono wtedy szeroką propagandę pod hasłem „otwartych drzwi", otwartych drzwi do koszar. No i zobaczyłem chłopców w pięknych mundurach, na głowie mieli rogatywki. W tym czasie komendantem szkoły oficerskiej był przedwojenny oficer, który powrócił z Zachodu, tam był tylko podpułkownikiem, tutaj szybko awansował na generała. A więc nie można mówić, że w tamtym czasie wojsko było komunistyczne. Uważałem wtedy, że staniemy na swoich nogach i tych sowieckich oficerów zastąpimy my, młodzi. I z tą myślą zapisałem się do szkoły oficerskiej. Co prawda zdjęli orłowi koronę, ale wszędzie były polskie sztandary. Pamiętaj, armia jest zawsze gwarantem niepodległości państwa. W czasie okupacji nie mieliśmy możliwości noszenia polskich mundurów, kryliśmy się po lasach, w podziemiu. A tutaj masz biało-czerwone flagi, tam gdzieś przemawia polski prezydent, są polskie władze. Oczywiście, widziałem, jak Sowieci nas traktowali, jak plądrowali i wywozili wszystko, ale myślałem sobie, że to się wkrótce skończy.

Pomimo młodego wieku dostałem duże poniemieckie mieszkanie w bardzo dobrym punkcie, przy rynku. Gdybym

miał wrotki, mógłbym sobie spokojnie jeździć po nim. Na tym samym piętrze mieszkała rodzina, repatrianci ze Wschodu, matka i pięć córek, najstarsza była w moim wieku, a najmłodsza jeszcze całkiem mała, kilkuletnia. Podczas przypadkowych spotkań na schodach grzecznie się im kłaniałem, ale one były jakieś wystraszone, a kiedy do nich zagadywałem, odwracały głowy, jakby z mojej strony mogło im coś zagrażać. W końcu mnie to zezłościło i któregoś dnia po prostu do nich zapukałem. Długo nikt nie otwierał, wreszcie drzwi się lekko uchyliły.

– Jestem waszym sąsiadem, chciałbym porozmawiać.

Usłyszałem gorączkowe szepty, trwało to dosyć długo, ale w końcu mogłem wejść do środka. Zaskoczył mnie niebywały porządek panujący w tym domu. U mnie był straszny bałagan, mimo że nie miałem zbyt dużo rzeczy, a tutaj wszystko było na swoim miejscu… Żadnych walających się ubrań, płaszcze na wieszaku, rzędem ustawione buty, od największych do całkiem malutkich. W oknach firanki, na parapetach kwiaty, chyba pelargonie. One, te kobiety, też wyglądały bardzo schludnie. Matka miała na sobie fartuch, z szelkami skrzyżowanymi na plecach, dziewczynki – czyste sukienki, z białymi kołnierzykami i mankiecikami.

W kuchni stał samowar, a na nim czajniczek przykryty pokrowcem z naszytymi koralikami, wyobrażający kurę siedzącą na jajkach. Wyglądała bardzo prawdziwie, miała skrzydła, grzebień, dziób, a nawet czerwone, koralikowe oczy. Oglądałem ten wynalazek z Tuły z dziwnym uczuciem, jak rzecz z innego świata, jakiego nie znam i nigdy nie znałem. Chyba chodziło mi o rodzinną atmosferę, jaką ten samowar uosabiał, wokół niego koncentrowało się życie domu. Najpierw nalewało się z czajniczka esencję, potem odkręcało kurek, z którego z sykiem leciał wrzątek. Dziewczynki zasiadały przy stole, a matka nakładała im konfitury na talerzyki. Mnie też

nałożyła, były domowej roboty i bardzo mi smakowały. Wtedy dowiedziałem się, dlaczego traktowały mnie dotąd z taką rezerwą. One po prostu się mnie bały, urazy wyniesione spod okupacji sowieckiej były wciąż świeże, tam każdy młody mężczyzna mógł być zagrożeniem. Lęk dziewczynek wynikał też stąd, że wychowywały się bez ojca, który nie wrócił z łagru.

Sąsiadki z naprzeciwka pochodziły z Wilna i mówiły ze śpiewnym akcentem. Do mnie zwracały się: Rysia, co mnie trochę śmieszyło, bo to tak, jakby zmieniały mi płeć. Zaprosiły mnie nawet na wigilię. Wysłanniczką była najmłodsza z sióstr, Asia. Ją chyba najbardziej lubiłem z całej piątki, często do mnie przychodziła, siadała mi na kolanach i prosiła o kolejną bajkę. Ciągle musiałem wymyślać nową, a ona bardzo przeżywała te wszystkie przygody królewiczów i księżniczek, miała tylko prośbę, aby bajka dobrze się kończyła. Lgnęła do mnie, bo brakowało jej ojca, prawie go nie pamiętała. Czasami zdarzało jej się zasnąć w trakcie tego bajania, odnosiłem ją wtedy na rękach do jej domu.

Przyjaźń z sąsiadkami z Kresów wywarła na mnie duży wpływ. Wbiłem sobie wtedy do głowy, że sam też chciałbym mieć taką rodzinę. Przede wszystkim dużo dzieci i najlepiej, żeby to były dziewczynki. Mój dom rodzinny wyglądał inaczej, byłem samowolnym jedynakiem i ciągle gdzieś uciekałem matce. Ojciec ciężko pracował, wracał zmęczony wieczorem, prawie się nie widywaliśmy.

Po moim wstąpieniu do wojska nasze kontakty się rozluźniły, wpadałem do nich coraz rzadziej i na krótko, a kiedy poznałem Hankę, swoją pierwszą dziewczynę, jej poświęcałem większość czasu. Małej Asi podarowałem swojego psa znajdę, który zresztą i tak stale u nich przebywał. Widocznie i on chciał mieć dom.

Kiedy wstępowałem do wojska, komunizmu w Polsce nie było! Gdyby armia była wtedy komunistyczna, nie wiem, czy

do niej bym wstąpił. Przecież komendantami mianowano przedwojennych polskich oficerów, którzy mówili piękną polszczyzną i wyróżniali się szykiem. Na przykład dowódca mojego batalionu, major Krukierek, też oficer przedwojenny, prezentował się wspaniale – pięknie skrojony mundur, czapka, jak salutował szablą, to było coś niezwykłego. Ten ceremoniał wojskowy! Byłem na apelu wieczornym kompanii, najpierw szef kompanii sprawdzał nazwiska, a potem śpiewano rotę. Słuchaj, jak tych osiemdziesięciu chłopa zagrzmiało: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz…", a na końcu: „Tak nam dopomóż Bóg", to robiło wrażenie na takim chłopcu, jakim wtedy byłem. Nie wolno nikomu mówić, że wstąpiłem do komunistycznej armii! Ale wyznam ci, w czym tkwi tragedia Kuklińskiego. Kukliński szedł do wojska z pewnymi przekonaniami, w coś głęboko wierzył. Ale nie zmieniał swoich przekonań. To wojsko się zmieniało! Komuniści je zmieniali na moich oczach, a ja szedłem swoją wytyczoną drogą, więc się coraz bardziej od nich oddalałem, do momentu aż nadszedł czas ostatecznego rozstania. Pod pretekstem, że uprawia pruską dyscyplinę, pozbyto się majora Krukierka – bardzo go lubiłem, naprawdę – a potem także innych przedwojennych oficerów. Spełnili swoją rolę, wykorzystano ich nazwiska do przyciągnięcia takich młodych ludzi jak ja, a potem poszli w odstawkę. Dowódcą batalionu po majorze Krukierku został kapitan Siwicki, tak, tak, ten sam Siwicki, późniejszy minister obrony. Razem z Jaruzelskim kończył w Riazaniu szkołę oficerską. Zaraz go mianowano majorem. Miałem dyżur w kasynie, kiedy on oblewał awans. Wynosiłem go z kolegą za nogi, spitego kompletnie. Całą drogę bełkotał: „Mnie, gówniarzowi, dali majora". Na miejsce komendanta przyszedł pułkownik, który nawet po polsku nie mówił. Po rosyjsku, jak inaczej! Rotę jeszcze śpiewano na apelu, ale zamiast słów: „Tak nam dopomóż Bóg", słowa: „Tak nam dopomóż lud". Szybko to wszystko poszło, zmieniono rogatywki na czapki

okrągłe z czerwonymi otokami, wprowadzono sowiecką musztrę, te karabiny do przodu… Pojawiły się też przeróżne kanalie, które usiłowały nam robić wodę z mózgu, na przykład książeczkę niejakiego profesora Schaffa *Pogadanki ekonomiczne* musiałem znać na pamięć, jeszcze dzisiaj, po pięćdziesięciu latach mogę ci cytować całe fragmenty tego dziełka. Na dokładkę ten sam wykładowca, który prowadził zajęcia z ekonomii politycznej socjalizmu, twierdził, że nie ma Boga, i podawał przykłady w rodzaju: jeżeli Bóg może wszystko, to dlaczego nie podniesie tego głazu przy drodze? To były bzdury obliczone na prostaczków, którym można wiele wmówić. Zaczynało się od drobnych rzeczy, od bredni. Kto wynalazł radio? Nie, wcale nie Marconi, tylko Radionow. A kto wynalazł telefon? Oczywiście, Telefonow. To był najmądrzejszy naród na świecie i należało go naśladować we wszystkim. Ja? Nie, nie byłem człowiekiem wierzącym, ale wychowywałem się w wierze katolickiej i takie gadanie mnie raniło. Brałem ślub kościelny, chrzciłem swoje dzieci. W czasie, o którym mówimy, jeszcze nie miałem dzieci, żony też nie, chociaż się już znaliśmy. Swoją żonę Hankę poznałem, kiedy ona miała czternaście, a ja szesnaście lat.

To było zaraz po moim przyjeździe do Wrocławia. Dorabiałem sobie wtedy jako nocny stróż w magistracie, tam pracował jej ojciec i ona do niego przychodziła. Wiesz, w holu stało rozklekotane pianino, usłyszałem brzdąkanie i zobaczyłem przy klawiaturze chudziutką dziewczynkę w niebieskiej sukience, z warkoczykami. Uśmiechnęła się do mnie, tak jakbyśmy się dobrze znali, i nagle wydała mi się kimś bliskim, kimś z rodziny, a jej uśmiech towarzyszył mi potem przez całe życie, wtedy, gdy byliśmy razem i gdy byliśmy osobno. Nie, nie jest pianistką, pracowała wiele lat jako księgowa. Jak wiesz, jest bardzo chora i martwię się o nią… ale nawet teraz uśmiecha się do mnie, po tym ją poznaję, tę nieśmiałą, smukłą dziewczynę, która w tajemnicy

przed rodzicami przychodziła do mojego wrocławskiego mieszkania. Jeszcze ci o tym opowiem, teraz zakończmy temat, który zaczęliśmy. Jestem wojskowym i lubię porządek. Odpowiem na twoje pytanie tak: czuję się żołnierzem i umrę jako żołnierz.

Musisz mnie zobaczyć takiego, jakim wtedy byłem. Bardzo młody chłopak, który naoglądał się przerażających rzeczy, widział śmierć ludzi i śmierć swojego miasta, który poprzysiągł sobie, że nie pozwoli, aby to się kiedykolwiek powtórzyło. I święcie wierzył, że jest to w jego mocy. Szedł do polskiego wojska z hasłem na ustach: Bóg, Honor, Ojczyzna. Sądzę, że pozostał temu wierny do dziś.

Wróg ludu

W czasie okupacji przynależność wojskowa nie była sprawą wyboru, ale środowiska, w jakim się żyło. Oczywiście, najbardziej chciałem walczyć w Armii Krajowej, która miała już swoją legendę. Ale byłem i za młody, i za mały, dzisiaj nie jestem potęgą, więc wyobraź sobie, jak się prezentowałem wtedy, kiedy miałem trzynaście lat! Wzięli mnie na zbiórkę i tam tych wyrostków, głupszych nawet ode mnie, poprzyjmowali, a mnie odesłali do szkoły. Zgłoś się do nas za dwa lata – usłyszałem. No, ale na mojej ulicy akurat działała organizacja Miecz i Pług, wzięli więc mnie do roznoszenia ulotek. I potem napisałem o tym w swoim życiorysie. Dopóki nie miałem podejrzanych wypowiedzi, było wszystko w porządku, a potem, po kilku donosach, dobrali mi się do skóry. Urosła dosyć duża teczka z tymi moimi wypowiedziami, które uznano za antyludowe. Największy zarzut był ten, że w czasie wojny należałem do faszystowskiej organizacji, bo za taką Miecz i Pług został uznany przez powojenne władze.

Kto na mnie donosił? Koledzy, oczywiście, że koledzy. Kiedy się w tym zorientowałem, zacząłem zwracać uwagę na to, co mówię, bo chciałem tę szkołę skończyć. Nie chciałem się poddać. Tak, gdybym wtedy zrezygnował, to byłoby tak, jakbym się poddał. I do dnia dzisiejszego myślę, że dobrze zrobiłem, iż się wtedy nie wycofałem. Chociaż miałem taki moment, kiedy chciałem się wycofać, chciałem strzelić sobie w łeb… ale o tym później.

Teraz, na przełomie czterdziestego dziewiątego

i pięćdziesiątego roku, zrobili zebranie partyjne poświęcone sierżantowi podchorążemu Kuklińskiemu, cały batalion przyszedł, zastępca komendanta do spraw politycznych i oficer Informacji. Przedstawiono mnie tam jako wroga ludu, co o tyle było humorystyczne, że ja przecież pochodziłem z ludu, pochodziłem z biednej rodziny. Wytoczyli działo, że należałem do zbrodniczej organizacji, a ponadto sfałszowałem datę urodzenia, dodając sobie dwa lata. Przedtem się tego nie czepiali, chociaż było to powszechnie wiadome. Chciałem iść do armii, a oni chcieli mnie przyjąć, więc z bohatera pozytywnego zmieniłem się w bohatera negatywnego, z antyludowym nastawieniem. Wiedziałem, co to znaczy. Tacy ludzie po prostu znikali. Tak się nad tym szeroko rozwodzę, bo ta sprawa zaważyła na moim dalszym życiu. Na tym zebraniu za wykluczeniem mnie z partii głosowali wszyscy moi koledzy. A z partią to było tak, że to nie ja się do niej zapisałem, ale mnie zapisano. Mówiłem ci, że zaraz po przyjeździe do Wrocławia dorabiałem sobie jako nocny stróż w magistracie. Moim przełożonym był tam sekretarz PPR-u, przedwojenny komunista. On mi trochę ojcował, więc kiedy szedłem do szkoły oficerskiej, wystawił mi partyjną rekomendację, chociaż nie byłem członkiem PPR-u. Nie bardzo chciałem się na to zgodzić, opierałem się, ale on nalegał.

– Rysiu, ja mam już życie za sobą i wiem lepiej od ciebie, jak ono wygląda. A wygląda tak: albo ty kogoś zjesz, albo zjedzą ciebie.

– To my, panie Jankowski, żyjemy wśród ludożerców?

On się roześmiał.

– Tak jakby, więc patrz, jak się odwrócisz, żeby ktoś ci tyłka nie odgryzł.

Nie posłuchałem tej prostej rady i potem miałem duże kłopoty. Ale do partii wstąpiłem, jak widzisz, wcale o to nie prosząc. Uważasz, że towarzysz Jankowski mnie zwerbował? Nazywaj to, jak chcesz, ale nie miał złych intencji.

Na tym zebraniu mnie zgnoili, było głosowanie, proszę ciebie, każdy musiał podnieść rękę. I podniósł się las rąk za wykluczeniem mnie z partii i co za tym idzie, relegowaniem ze szkoły. Kto się wstrzymał od głosu? Nie ma nikogo. Kto przeciw? Jeden głos. To był syn komunisty z Francji i dlatego nigdy nie szufladkuję ludzi. Ten podchorąży pochodził z górniczej, komunistycznej rodziny, a ci moi nibyreakcyjni koledzy, którzy robili do mnie oko, że są ze mną, pisali na mnie donosy. Pytają tego podchorążego, dlaczego jest przeciw.

– A bo ja nie jezdem przekunany – mówi. – Ile on miał lat, trzynaście? I co z niego tam za faszysta. No, naklejał jakieś ulotki, no to co?

Ale to był tylko jeden głos. I wiesz, jak mnie zrobili faszystą i wrogiem ludu, strasznie mnie to zabolało. Poza tym wiedziałem, że to mój koniec w szkole, a spędziłem tutaj trzy lata, zżyłem się już z wojskiem. Sądziłem poza tym, że jestem lubiany, mam przyjaciół. A tu wstaje jeden z moich najbliższych kolegów, razem wybieraliśmy się do tej szkoły, ja go zawsze wspierałem, i on teraz wstaje, i przytacza moje „antyludowe wypowiedzi”. Taki straszny zawód, straszny zawód. Kazali mi wyjść z sali. Już wcześniej wokół mnie zrobiła się dziwna atmosfera, miałem uczucie, że jestem obserwowany, nie bardzo jeszcze rozumiałem, o co chodzi, ale na wszelki wypadek trzymałem nabój w poduszce. Mieliśmy broń, nie dawano nam jednak do niej amunicji. Wtedy, po zebraniu, wpadłem do pokoju, załadowałem karabin… gdyby nie mój dowódca, który szedł za mną, zastrzeliłbym się. Zabrał mi broń, przycisnął do siebie.

Miałem trochę szczęścia w życiu, w ostatniej chwili cało wychodziłem z opresji, ale tym, których kochałem, nie zawsze się to udawało.

No cóż… odesłano mnie do jednostki, gdzie musiałem odbywać służbę jako zwykły żołnierz. Ale nie rezygnowałem, bo pamiętaj, życie bez marzeń jest niczym, zarówno życie

prywatne, jak i życie narodów. Mój naród był upokorzony, pozbawiony niepodległości, ale pozbawienie go marzeń byłoby rzeczą katastrofalną. Nadzieją na niepodległość mogła być armia, bo armia nie była komunistyczna, należeli do niej twój brat i twój swat, i jeszcze twój sąsiad, to tylko jej trzon był komunistyczny, i należało go zmienić. Wyobraź sobie, że w latach siedemdziesiątych sam opracowałem dla polskiej armii alternatywne plany operacyjne na wypadek, gdybyśmy byli zmuszeni do udziału w agresji przeciwko Zachodowi. Zajęło mi to dobre półtora roku. Już ci powiedziałem, że życie bez marzeń nie jest wiele warte.

Hanka

Wtedy po relegowaniu mnie ze szkoły oficerskiej, w drodze do jednostki wojskowej, gdzie miałem odbywać służbę zasadniczą, zajechałem do Wrocławia, żeby zobaczyć się z Hanką. To już nie była chudziutka dziewczynka z cienkimi warkoczykami, ale dziewczyna o pięknej figurze i tak samo pięknej twarzy. Co ci będę mówił, zadurzyłem się w niej po uszy, tym bardziej że była moją pierwszą dziewczyną, tak jak ja jej pierwszym chłopakiem. Stało się to w moim mieszkaniu przy rynku. W końcu ją tam zaprosiłem, chociaż wygląd mojego mieszkania każdego mógł odstraszyć. Zwłaszcza że miałem czworonożnego lokatora, który wabił się Asik i miał najbardziej kochaną mordę na świecie. Znalazłem go na ulicy i zabrałem do siebie, bo wydał mi się tak samo bezdomny jak ja. Całe życie miałem psy i do wszystkich byłem bardzo przywiązany, chyba z wzajemnością, bo kiedy podjeżdżałem pod dom, na całej ulicy słychać było radosne ujadanie. Oho, Kukliński wraca z pracy, mówili sąsiedzi. Kiedy Hanka pierwszy raz przyszła do mnie – była wtedy niedziela, miała na sobie odświętną sukienkę z falbankami, bo taka panowała wtedy moda – znalazła jakąś szmatę, wiadro i wzięła się do sprzątania. Z przerażeniem patrzyłem, jak jej jasna sukienka zmienia kolor na brudnoszary. Po kilku godzinach mieszkanie aż lśniło, Hanka postawiła na stole kwiatki, które ode mnie dostała, co prawda w słoiku po ogórkach, ale i tak pięknie wyglądały. Poczułem wtedy, czym jest kobieca ręka w domu, i to mnie wzruszyło.

Po raz pierwszy byliśmy ze sobą blisko, zanim jeszcze wyrzucili mnie ze szkoły. To ona tego chciała. Ja byłem przestraszony, bałem się i za nią, i za siebie, bo dla obojga miał to być pierwszy raz. Zgasiliśmy światło i po omacku weszliśmy pod kołdrę, podciągając ją pod samą brodę. Trwaliśmy tak w bezruchu, w kompletnej ciszy, wreszcie ona wzięła moją rękę i położyła sobie na piersi. Poczułem jej ciepło i coś we mnie odtajało. Chciało mi się płakać, a jednocześnie wezbrało we mnie uczucie, jakiego dotąd nie znałem. Nie sądziłem, że jestem do tego zdolny.

Jako młody chłopak dużo przeżyłem w czasie wojny, oglądając te wszystkie okropności, śmierć ludzi na moich oczach, trupy leżące na ulicy. Szczególnie jedna scena zapadła we mnie na długo, na zawsze. Obserwowałem z okna mojego warszawskiego mieszkania bramę, do której niemieccy żołdacy wprowadzili dwoje młodych Żydów, mężczyznę i kobietę czy raczej chłopca i dziewczynę. Niemcy kazali im się rozebrać do naga i uprawiać seks. Ci dwoje niemal rzucili się na siebie, w jakimś zapamiętaniu. Dziewczyna jęczała coraz głośniej, jakby w pobliżu nikogo nie było, jakby byli sami. Tylko on i ona. I ten akt spełniającej się miłości. Ona odchyliła głowę do tyłu i widziałem jej przymknięte oczy i rozluźnioną, szczęśliwą twarz. W tym momencie padły strzały, jeden po drugim. Dwa nagie ciała osunęły się na bruk, a potem pojawiła się kałuża krwi, większa, coraz większa… Nie mogłem tego wyrzucić z pamięci. Miałem niecałe trzynaście lat, byłem jedynakiem rozpieszczanym przez matkę, która starała się chronić go przed sprawami ludzi dorosłych. Więc prawie wierzyłem, że dzieci przynosi bocian, no, może coś tam podejrzewałem, ale nie miałem o tych sprawach zbyt wielkiego pojęcia. I nagle zobaczyłem, że miłość może być silniejsza niż strach przed śmiercią. Nie wiem, czy ci dwoje znali się wcześniej, czy się kochali, czy tylko przechodzili obok tej bramy. Ale jeżeli nawet byli tylko przechodniami, to przestali nimi być. Zrozumiałem

wtedy, że miłość to coś potężnego, czego nie potrafię pojąć. I bałem się jej. To ona, Hanka, okazała się odważniejsza.

Wkrótce potem znów umówiliśmy się w moim mieszkaniu. Hanka, kiedy mnie tylko zobaczyła, zrozumiała, że coś złego się wydarzyło. Patrzyła na mnie pytająco.

– Wyrzucili mnie ze szkoły – powiedziałem przez ściśnięte gardło. – Nici z naszych planów, że zostanę oficerem i wtedy się pobierzemy…

I cisza. Sądziłem, że się z tym zgadza, że mnie skreśla, bo po co jej ktoś bez żadnej przyszłości. Tak wtedy myślałem o sobie, że dostałem wilczy bilet i jestem skończony.

– No to teraz pojedziesz do tych koszar – powiedziała po chwili. – Ja się będę uczyła, a potem, jak wrócisz, ty się będziesz uczył. A ja będę na nas zarabiać.

W nocy, kiedy leżeliśmy obok siebie w ciemności, wyznałem jej, że chciałem do siebie strzelić. Długo milczała i nie wiedziałem, co sobie myśli.

– Jak następnym razem będziesz chciał się zabić, najpierw mi o tym powiedz – usłyszałem jej spokojny głos.

Posłuchałem. Dzięki temu żyję do dziś.

Następnego dnia pojechałem do pułku i zameldowałem się u dowódcy. Od razu zobaczyłem, że to fajny gość, niesamowicie przyjemny facet. Zarośnięty trochę, nie bardzo wojskowy. Szeroki uśmiech od ucha do ucha.

Powiedziałem mu, jak sprawa wygląda. Wywalili mnie z partii i ze szkoły. Powinienem się tu zameldować jako szeregowy, ale ponieważ zgodnie z regulaminem nie zdegradowano mnie przed kompanią, sam nie zerwałem naszywek. A on na to:

– Co się przejmujesz. Ja potrzebuję takich jak ty. Nie mam dowódcy kompanii i ty nim będziesz!

I postawił mnie na stanowisko dowódcy kompanii. W maju

była promocja w mojej szkole i gdyby nie ta cała zadyma, już byłbym oficerem. Ale cóż… Jakoś wkrótce potem wezwał mnie dowódca i powiedział, że dostał telefonogram, iż mam się stawić we Wrocławiu przed komisją kontroli partyjnej. Wystraszyłem się, że może mnie spotkać coś gorszego niż to zesłanie, na przykład zechcą mnie skrócić o głowę, takie były wtedy czasy. Ale mój dowódca, naprawdę kochany człowiek, który traktował mnie jak rodzonego syna, powiedział:

– Oni mają ważniejsze głowy do skracania niż twoja. Jedź, może coś dobrego dla ciebie z tego wyniknie.

Dostałem przepustkę, błogosławieństwo na drogę i pojechałem, aby się stawić przed wielką komisją kontroli partyjnej. Wchodzę tam, na pierwsze piętro, nie powiem, na słomianych nogach. Niewielka poczekalnia, a w niej kilku mężczyzn oczekujących na przesłuchanie, same wysokie szarże i ja, szaraczek. Otwierają się drzwi, wychodzi pułkownik, postawny, lekko łysiejący blondyn, pierś obwieszona medalami. Widocznie chciał pokazać, jak jest zasłużony, ale niewiele mu to pomogło, bo oczy miał czerwone i jeszcze w tej adiutanturze szlochał jak dziecko.

Oczekujący oficerowie znikali za tymi drzwiami, a potem pojawiali się w nich z powrotem z wyrokiem wypisanym na twarzy. W końcu poproszono mnie. W pustej sali za stołem siedział cały ten sąd partyjny. Byłem tak wystraszony, że nawet nie odróżniałem twarzy członków komisji, widziałem tylko jasne plamy na tle zieleni mundurów. Stałem przed nimi, zdegradowany sierżant podchorąży, i czekałem na przesłuchanie. Zapytali mnie, co mam do powiedzenia. Ja na to, że powtarzałem jakieś głupstwa, sądziłem, że to do śmiechu.

– No to my też posłuchamy, może się pośmiejemy. Milczałem.

– Słuchamy, obywatelu podchorąży!

To zabrzmiało już jak groźba. Zacisnąłem pięści tak, że czułem, jak mi paznokcie wbijają się w ciało, i wydukałem:

– Radzieccy wojskowi wynaleźli czołg na sześćdziesięciu żołnierzy…

– Prosimy dalej.

– Jak się w nim mieszczą? Zwyczajnie. Jeden w środku, a reszta go popycha.

Zapadła cisza.

– Znacie jeszcze jakieś dowcipy?

Stałem ze spuszczoną głową.

– A co z tym waszym udziałem w słynnej organizacji Miecz i Pług?

Wyjaśniłem, że jeżeli chodzi o okupację, to nie tylko nie pochodziłem z faszyzującej rodziny, ale z rodziny, która doznała potwornych represji. Ojciec został aresztowany, wywieziony do obozu… Że był w AK, raczej nie mówiłem. Nauczyłem się już trzymać język za zębami. A z organizacją… no, rozklejałem ulotki i myślałem, że dobrze robię, bo przeciw Niemcom. Oni na to, czy ktoś może o tym zaświadczyć. Odpowiedziałem twierdząco. Dali mi tydzień na zebranie takich oświadczeń. Na koniec zapytali mnie jeszcze, czy znam taką to a taką osobę, i wymienili nazwisko Hanki. Zawahałem się, bo nie chciałem jej do tego mieszać, ale nie mogłem w tej sytuacji kręcić. Więc mówię:

– Znam, pracowałem z jej ojcem w magistracie.

– Tylko tyle? – pyta przewodniczący komisji. Znowu się zawahałem, ale odpowiedziałem, że to moja narzeczona. Chcemy się pobrać. Oni już dalej o nic nie pytali, kazali mi odejść. Hanka czekała na mnie na dole, chusteczka, którą ściskała w ręku, była mokra od potu.

– No i co?

– Dali mi tydzień na zebranie opinii – odrzekłem.

– Ale na koniec pytali mnie o ciebie.

– I co im odpowiedziałeś?

– Że… że chcemy się pobrać. – Wyraźnie się ucieszyła.

– A to dobrze, bo ja im powiedziałam to samo. Patrzyłem na

nią jak oniemiały, nie mogłem wydobyć z siebie słowa. Chyba przestraszyła się mojej reakcji, bo zaczęła się tłumaczyć:

– Uważałam, że to niesprawiedliwe, co cię spotkało, przecież ja ciebie znam, wiem, jaki jesteś…

I im powiedziałam to samo.

Wreszcie wróciło mi mowę.

– Na przyszłość to ja będę cię bronił, a nie ty mnie – rzekłem surowo.

Potulnie się na to zgodziła.

No więc pojechałem do stryja, do ludzi, którzy mnie znali z mojej ulicy, zebrałem kilkanaście oświadczeń. Masz rację, oświadczeń, że nie jestem wrogiem ludu. Dlaczego mnie to spotkało? To była mafia, mafia po prostu, chodziło o to, żeby się popisać, że są czujni, że czyszczą szeregi z niepożądanych elementów.

Stawiłem się przed wysoką komisją i pokazałem im te papiery. Ukarano mnie naganą z ostrzeżeniem.

Nie dopatrzono się w mojej sprawie, że jestem wróg ludu, niepotrzebnie w ogóle wspominałem o tej organizacji i tak dalej. Koniec końców wystąpią do Sztabu Generalnego Wojska Polskiego o dopuszczenie mnie do egzaminów i promocji. Ale mówią, wracajcie z powrotem do pułku. Od nich decyzja o moim powrocie do szkoły nie zależała, to była partyjna decyzja, w praktyce ponad decyzjami *chain of command*, tej, wiesz, hierarchii służbowej, pozory jednak trzeba było zachować.

Ale ja, zamiast od razu wracać do pułku, z decyzją komisji na piśmie, pojechałem do szkoły i pokazałem ją swojemu dowódcy kompanii. Tak, temu samemu, który mi wtedy odebrał karabin z zachomikowanym nabojem. Ucieszył się.

– Dobra jest – mówi. – Stawaj do egzaminów, a potem się zobaczy.

Słuchaj, gdziekolwiek poszedłem, do którego z profesorów, przyjmowali mnie jak bohatera. Profesor taktyki, nawet

pamiętam jego nazwisko, Gdański, przedwojenny oficer, surowy, wymagający, wszyscy się go bali, oświadczył:

– Kuklińskiego ja biorę.

Odeszliśmy od stołu, on przy mapie pokazuje mi tam niby jakieś pola, horyzonty, rozumiesz, a nachyla się i szepcze:

– Co z tobą robili? Co się z tobą działo? Siedziałeś, nie siedziałeś?

Jednym słowem, to były tego typu rozmowy. Niby byłem egzaminowany, a opowiadałem im tę całą historię. Wracamy od mapy, a profesor Gdański oświadcza:

– Jak zwykle same piątki.

No, ale jak to bywa, ktoś doniósł, że wróciłem. Pojawił się oficer Informacji i mówi:

– Nie ma jeszcze decyzji w twojej sprawie, masz natychmiast wracać do pułku.

W połowie egzaminów znowu mnie wyrzucili. Wsiadłem więc do pociągu, pojechałem do pułku i zameldowałem się u dowódcy.

On na to:

– Nic się nie przejmuj, jesteś już prawie oficerem, doszkalaj się w praktyce jako dowódca kompanii.

Nadszedł wrzesień 1950 roku. W mojej szkole promocja, przyjechał prezydent Bolesław Bierut, transmisja radiowa na całą Polskę. Słyszę te wszystkie przemówienia, prezydenta, marszałka. Zrobiło mi się łyso, bo do mnie nic nie przyszło. Pomyślałem: zadzwonię i złożę gratulacje moim kolegom. No i zadzwoniłem do szkoły. Odebrał jeden z nich i mówi:

– Słuchaj, coś niesamowitego, wyczytali listę, wszystkich nas promowali i potem odczytali oddzielny rozkaz, jesteś chorążym z ostatnią lokatą. Przyjeżdżaj natychmiast.

Idę do dowódcy. Ten mnie wyściskał, wycałował. Zaraz zadzwonił, wypisali mi rozkaz wyjazdu jako chorążemu. W szkole czekał już mundur, który został dla mnie uszyty i przechowany. Włożyłem mundur z pierwszą gwiazdką

i udałem się do Hanki.

Ślub? Wiem, tak sobie obiecywaliśmy, ale to się odwlekało. A dlaczego, opowiem ci po kolacji, bo jestem głodny. A ty? To świetnie, nie lubię kobiet, które twierdzą, że nigdy nie bywają głodne.

Służba nie drużba

Dostałem skierowanie do 9. Pułku Piechoty na stanowisko dowódcy plutonu. I w ten sposób zacząłem karierę jeszcze nie oficerską, bo chorąży to coś pośredniego pomiędzy stopniem oficerskim a podoficerskim. Jak to się ma do Hanki? Od razu do niej pojechałem w mundurze, była wielka niespodzianka, radość, łzy, jak to w takich wypadkach. Mieliśmy nadzieję, że wszystko potoczy się dalej bez większych przeszkód, ale życie pokazało, że nic nie jest proste. Ja dostałem skierowanie do pułku do Piły, jak ci już mówiłem, ona była dalej we Wrocławiu. Myślałem o małżeństwie, nawet napisałem raport, że zamierzam się żenić. Ale moim życiem zawsze rządził przypadek.

Moim zastępcą w plutonie został kapral Kolej… jak kolej żelazna, dlatego zapamiętałem jego nazwisko, chłop potężny, z rudą szczeciną, czesał się na jeża, rozmiłowany w musztrze i dyscyplinie. Dzięki niemu nie musiałem się znęcać nad tymi biednymi żołnierzami, on robił to za mnie. Trzymał ich krótko. Ja byłem kochanym dowódcą, a on przeczołgiwał ich przez plac ćwiczebny, poniewierał. To była sowiecka musztra, której nienawidziłem, ale on ich wyćwiczył tak, że chodzili jak w zegarku. Jesienią przyjechała do pułku na inspekcję komisja, w jej składzie oficerowie polscy i radzieccy. Mój pluton został wytypowany do egzaminu z wychowania politycznego. Osobiście prowadziłem zajęcia z tego przedmiotu, według konspektu, który mi przysłali. Miałem dosyć rozgarniętych chłopaków, poza jednym, który nic nie kojarzył, nie potrafił

sklecić odpowiedzi na najprostsze pytanie.

Przygotowanie do inspekcji wyglądało w ten sposób, że zebrałem pluton i mówię:

– Słuchajcie, to jest ważny egzamin, wasz i mój egzamin, nie zróbcie mi zawodu. Będą oficerowie z Warszawy. Przede wszystkim musicie się wykazać aktywnością, jeżeli padnie jakieś pytanie, wszyscy macie podnieść rękę!

No i proszę ciebie, przyjeżdża inspekcja, mój pluton idzie na pierwszy ogień. Po każdym pytaniu podnosi się las rąk. Wywołują któregoś, odpowiada bezbłędnie, potem drugiego, trzeciego. Wszystko przebiega dobrze. I nagle pada pytanie:

– A kto chce przedstawić życiorys marszałka Konstantego Rokossowskiego?

No to moi żołnierze po dwie ręce podnieśli do góry. I wyobraź sobie, wywołują do odpowiedzi tego palanta, który nie potrafił prawidłowo wydukać jednego zdania. To był kochany chłopak, ale niestety miał zacięcia. Zesztywniałem, kapral też. Kolej miał taki wzrok, że jak na kogoś spojrzał, zimno go przeszywało od stóp do głów. Teraz wlepił swoje oczy bazyliszka w biednego chłopaka, który stoi i widać, że nie może nic powiedzieć.

– No proszę, odpowiadajcie – zachęca go ktoś zza stołu.

Więc on w końcu zaczyna:

– Marszałek… Konstanty… Rokossowski… marszałek… Konstanty… Rokossowski…

– Co marszałek Rokossowski? – niecierpliwi się komisja.

Ten jeszcze raz powtórzył:

– Marszałek Konstanty Rokossowski… – I się rozpłakał.

Słuchaj, on mi zrobił taką reklamę. W dywizji i w okręgu się rozniosło, że żołnierze z plutonu chorążego Kuklińskiego, opowiadając życiorys marszałka Rokossowskiego, płakali! I zaraz potem zostałem wytypowany do Wyższej Szkoły Piechoty w Rembertowie. No powiedz, czy to nie zezowate szczęście?

Po roku w Pile wyjechałem więc pod Warszawę. Czyli zacząłem się przybliżać do miejsca, z którego wyszedłem.

Z Hanką? Z Hanką sprawy zaczęły się komplikować. Jak wiesz, starałem się o mieszkanie, bo postanowiłem jak najszybciej założyć rodzinę. Marzyło mi się, żeby moja rodzina od razu była bardzo liczna, jak ta zaprzyjaźniona z Wilna. To mi jeszcze nie wyparowało z głowy. Pamiętałem wzruszenie, jakie odczuwałem, gdy mała Asia siadała mi na kolanach, a ja opowiadałem jej bajki. Czułem się wtedy bardzo dorosły i za kogoś odpowiedzialny, a jej bezgraniczne zaufanie do mnie to uczucie pogłębiało.

I tutaj zaczynał się kłopot, bo przez ostatni rok dosyć często spotykałem się z Hanką, lecz nic z tego nie wynikło. Zacząłem się niepokoić.

– Nie wiem, dlaczego nie mamy jeszcze dziecka? – spytałem ją wprost. – Czy ty nie chcesz?

– Chcę – odparła.

Wysyłałem Hankę do lekarza po zaświadczenie, że z nią jest wszystko w porządku. Masz rację, to nie było zbyt delikatne. Przyznaję, podszedłem do sprawy za bardzo po żołniersku. Teraz inaczej bym na to spojrzał, ale wtedy byłem, co tu dużo mówić, szczeniakiem, który sobie wyobrażał, że nie wiem jak jest dorosły.

Hanka poszła do lekarza, ale wróciła bez zaświadczenia. Dlaczego go nie dostała, już nie wypytywałem, może coś było naprawdę nie w porządku, a może wstydziła się o nie poprosić, była przecież młodą dziewczyną. Więcej na ten temat nie rozmawialiśmy, a we mnie zaczęła dojrzewać decyzja o rozstaniu. Było lato, ona wyjechała na wczasy na Mazury, o ile pamiętam, wioska się nazywała Stare Jabłonki. Pojawiłem się tam u niej z torbą cukierków czekoladowych, żeby jej jakoś osłodzić te trudne chwile. Wypłynęliśmy łodzią na jezioro i wtedy jej powiedziałem.

Co powiedziałem? No to, co teraz mówię tobie, że dla mnie najważniejsza jest rodzina, a my chyba nie potrafimy jej stworzyć. Co ona na to? Nic, nie odezwała się ani słowem. Wróciliśmy na brzeg, odprowadziła mnie do autobusu. Na pożegnanie pocałowałem ją w rękę.

Nie widzieliśmy się cały rok. Czy o niej myślałem? Wiesz, to trudne pytanie… W moim życiu tyle się wtedy działo, że nie miałem czasu oglądać się za siebie. Wrocław, problemy w szkole, pobyt w pułku, to wszystko pozostało gdzieś w tyle… i Hanka, ona też. Poza tym dostawaliśmy dobrze w kość, bo wtedy trwała wojna koreańska, istniało również zagrożenie w Europie, mówiło się o konfrontacji, to wszystko mogło się łatwo tutaj przenieść. Myśmy byli na peryferiach. Ale to był czas, kiedy dochodziło do pierwszych starć pomiędzy komunizmem a kapitalizmem. Do mojej świadomości zaczęła docierać walka dwóch światów. Myślę, że wtedy właśnie toczyła się też walka o moją duszę. Wcale nie było przesądzone, na którą stronę dam się przeciągnąć, jak zawsze zadecydował przypadek.

Obława

W nocy usłyszałem walenie do drzwi. Goniec od dowódcy pułku. Mam się natychmiast zameldować w dowództwie. Ubrałem się szybko, ten żołnierz powiedział mi, że kompania została podniesiona na alarm. Który rok? To była zima pięćdziesiątego drugiego na pięćdziesiąty trzeci. Jednostka wojskowa w Pile. Zameldowałem się u dowódcy. Miał na sobie polowe ubranie, przygotowaną maskę gazową, broń. Było tam jeszcze dwóch pułkowników w wyjściowych mundurach, zorientowałem się, że są przedstawicielami jakiegoś wyższego sztabu albo może okręgu. Dowódca pułku przywołał mnie i mówi, że wyselekcjonowani żołnierze z pierwszego batalionu już właściwie są w tej chwili w pełnej gotowości na placu alarmowym i moim zadaniem jest udać się do Tucholi na Pomorzu i zameldować u szefa bezpieczeństwa. Miałem się tam stawić o godzinie trzeciej nad ranem, a dochodziła północ, więc czasu nie za dużo jak na taką podróż. Dopiero na miejscu jeden z obecnych u komendanta oficerów miał mi wydać zadanie bojowe. Masz rację, sytuacja podobna jak wtedy z generałami, ale tak to jest w wojsku. W drodze ten drugi, bardziej gadatliwy, nadmienił mi, że z jednostki lotnictwa zdezerterowała grupa żołnierzy.

Były to dziwne czasy, dziwne czasy… Słuchaliśmy Wolnej Europy, dochodziło do pierwszych ucieczek na Zachód, także wojskowych. Jednym słowem, w Europie pachniało prochem, a jeśli uciekła grupa żołnierzy, musiało mieć to posmak polityczny. Poczułem się trochę nieswojo, bo nikt nie lubi być

psem gończym, a poza tym, wiesz, ciągle mi się wydawało, że ktoś mnie obserwuje. Miałem odpowiednią adnotację w papierach, tę naganę partyjną, a w tamtych czasach, co tu dużo mówić, to często stanowiło próg nie do przebycia w wojskowej karierze, a nawet mogło oznaczać marną wegetację w jakiejś jednostce na prowincji. No tak, wszystko zawdzięczam marszałkowi Rokossowskiemu, ale jeszcze wtedy o tym nie wiedziałem. Zdawałem sobie jednak sprawę, że powierzenie mi takiego zadania miało stanowić pewnego rodzaju próbę. Czy można mi ufać i czy sobie poradzę. Tam było więcej żołnierzy niż jedna kompania, były ze trzy kompanie, i mnie wyznaczono na dowódcę. Ale nie miałem wyjścia, rozkaz – nie gazeta.

Drogi były śliskie, oblodzone. Sformowałem kolumnę samochodów. No i wyrywaliśmy, bo mieliśmy ściśle określony czas. Udało się. Bez większych przeszkód podjechaliśmy pod Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa. Na miejscu byli główny szef urzędu i komendant powiatowy milicji. Okazało się, że oni już wszystkich tych dezerterów wyłapali, z wyjątkiem jednego, dowódcy grupy. Jego też by zresztą złapali, gdyby nie skoczył z mostu do rzeki. Mnie postawiono zadanie, aby właśnie od tego mostu rozciągnąć tyralierę wzdłuż szosy i przeczesać lasy w kierunku jezior i bagien, gdzie zbieg z pewnością się ukrył. Razem ze mną do gazika wsiadł komendant powiatowy milicji.

Miałem ze sobą kuchnię polową, kucharze zaczęli przygotowywać śniadanie dla wojska, a ja rozciągnąłem tyralierę na odległość dwóch kilometrów. Na umówiony sygnał żołnierze mieli posuwać się w kierunku jezior, a my z komendantem ruszyliśmy leśną drogą. Nagle zaczyna się strzelanina, mimo że nie dałem żadnego rozkazu. Walą jak cholera. No wiesz, ktoś widocznie się przestraszył, nacisnął spust. A więc pierwsze załamanie, ja w strachu, że pójdę pod sąd. Potem się okazało, że winny był koziołek. Jeden z żołnierzy strzelił do koziołka, a jak poszedł pierwszy strzał,

inni też zaczęli strzelać. Nie było żartów, ten uciekinier miał broń maszynową. No, nie można strzelać na własną rękę, pewnie, że nie można, ale kto dojdzie, który to zawinił, potem strzelali wszyscy. Uciszyło się wreszcie. I wyobraź sobie, mniej więcej po godzinie czesania tego lasu patrzę, ktoś się wycofuje. Tysiące myśli przeleciało mi przez głowę. Pierwsza, że mam go, mam tego dezertera, a więc sukces, potwierdzenie moich umiejętności wojskowych i mojej lojalności, ale zaraz następna, że to człowiek, taki sam jak ja, mój rodak, Polak, który chciał się wydostać z tego komunistycznego bagna, chciał dotrzeć do wolnego świata. Zazdrościłem mu tak odważnej decyzji. Nie, nie uważałem go za zdrajcę, wtedy już miałem bezbłędne rozeznanie, komu podlega nasze wojsko i czyim interesom służy. Na szczęście, nie znałem całej prawdy, a kiedy do mnie dotarła, moje życie przestało należeć do mnie. Jako żołnierz w chwili zagrożenia powinienem poświęcić je ojczyźnie i zrobiłem to najlepiej, jak umiałem.

Na tej przesiece byliśmy tylko we dwóch, ja i komendant milicji. Odwróciłem jego uwagę, a potem powtarzałem komendy swoim żołnierzom: wolniej, wolniej. Chciałem dać tamtemu szansę ucieczki. I to był chyba moment przełomowy w moim życiu. Już wtedy na tej leśnej drodze dokonywałem wyboru, potrzebowałem jednak wielu lat, aby zejść do podziemia.

Czas grał na korzyść uciekiniera, wiedziałem o tym. Zarządziłem więc przerwę na śniadanie. W czasie śniadania przyszedł meldunek, że dezerter został ujęty.

To był młody chłopak, mniej więcej w moim wieku, wyszedł z lasu i napotkawszy furmankę, kazał się zawieźć do wioski. Może miał tam kogoś, kto by go ukrył, może miał tam dziewczynę. Był podoficerem, jak ci wszyscy, co zdezerterowali, a podoficerowie przeważnie rekrutowali się ze wsi. Oczywiście już tam nie dojechał, na odkrytym terenie był bezradny jak zwierzyna łowna. Sądziłem, że pójdzie w stronę

bagien, to była jego jedyna szansa. Mógł się tam zaszyć i przeczekać, ja bym przynajmniej tak zrobił.

Wiesz, chciałem tych dezerterów zobaczyć, miałem taki nakaz wewnętrzny, żeby ich zobaczyć, jakoś ich zapamiętać, nie mogłem się temu oprzeć. Pozwolili mi „obejrzeć" tylko jednego, tego właśnie kaprala, ich dowódcę.

Wszedłem do celi, siedział w kucki pod ścianą, z twarzą schowaną w dłoniach. Nie podniósł głowy.

– Może chcecie, żeby kogoś powiadomić? – spytałem cicho.

Nie odezwał się, pewnie myślał, że to prowokacja. On jeden dostał karę śmierci, jako inicjator ucieczki. Wyrok wykonano.

Po tej obławie nie chciało mi się wracać wprost po służbie do domu. Wolałem nie być sam, dlatego godzinami przesiadywałem w kasynie i chyba ostro piłem. Przychodziła tam wtedy bardzo ładna kobieta, zadbana, o pięknych jasnorudych włosach, które okalały jej twarz; były ruchliwe, jakby żyły własnym życiem, a ona, śmiejąc się, ciągle je poprawiała. Jej śmiech dziwnie na mnie działał: drażnił, a jednocześnie fascynował.

Wiedziałem, że to żona jednego z naszych dowódców, który został oddelegowany na roczny kurs do Moskwy. Nudziła się widocznie, spędzała więc czas tam, gdzie przychodziło sporo ludzi i można było sobie pogadać. Na brak towarzystwa nie narzekała, zawsze otaczał ją wianuszek chętnych do rozmowy. Przekomarzała się z moimi kolegami, flirtowała, ale zwykle wychodziła sama. Nie życzyła sobie, żeby ktoś ją odprowadzał.

– A jak panią pułkownikową wilk po drodze napadnie? – spytał któryś z kolegów.

– Na terenie jednostki wilki są oswojone! – odpowiedziała.

Kiedyś nieoczekiwanie przysiadła się do mojego stolika. Może dlatego, że ja jeden nie starałem się do niej zbliżyć, nie zagadywałem, nie prawiłem komplementów.

– Cóż to z pana porucznika taki samotnik? – spytała. –

Możemy się razem napić?

Nie tylko razem się napiliśmy, ale też razem wyszliśmy. Znalazłem się w jej mieszkaniu. Pierwszy raz widziałem takie luksusowe wnętrze, w nie najlepszym guście, ale za to bogato urządzone. Na drzwiach kotary ze złotymi frędzlami, meble podrabiane na antyki, a może zresztą autentyczne, odebrane jakimś burżujom, wrogom ludu.

Ona wyszła na chwilę, a potem pojawiła się w zwiewnym szlafroczku.

Wiedziałem, że to nie ma sensu, że nie powinienem tu przychodzić. Mogłem za romans z żoną dowódcy słono zapłacić, ale te wątpliwości nie były w stanie zagłuszyć pożądania, jakie odczuwałem na widok jej dorodnego ciała. Właściwie to był mój pierwszy tak bliski kontakt z kobietą, bo to, co przeżywałem z Hanką, działo się na progu fizycznej miłości – ani ja, ani ona nie potrafiliśmy pójść dalej, byliśmy zbyt nieśmiali i niedoświadczeni.

A żona komendanta przeciwnie, znała się na rzeczy i chciała się tą wiedzą ze mną podzielić. Kiedy od niej wychodziłem, zrobiło się już jasno. Prawdę powiedziawszy, kręciło mi się w głowie z fizycznego wyczerpania i nadmiaru emocji. Wydawało mi się, że przedtem byłem szczeniakiem, który niczego nie wie o życiu, i że oficerskie szlify zdobyłem dopiero teraz, ponieważ dopiero teraz stałem się prawdziwym mężczyzną.

W czasie wojny koreańskiej zaczęło do mnie docierać całe to zakłamanie systemu, którym przeżarte były wszystkie struktury armii. Weźmy choćby takie gadanie, że Południe napadło na Północ i była to wojna obronna, tylko że dziwnym trafem już w kilka dni po rozpoczęciu działań wojennych wojska Północy znalazły się pod Seulem. To były gadki dla głupich, a ja może byłem głupi, ale nie aż tak, żeby tego wszystkiego nie widzieć. Oczywiście, nauczony

doświadczeniem, zatrzymywałem to dla siebie. A potem przyszedł amerykański desant pod Inczhon, który odmienił losy tej wojny. To był dla mnie interesujący obraz sztuki operacyjnej. Amerykanie zastosowali taki manewr po raz pierwszy, lądując gdzieś na głębokich tyłach wojsk Północy. Obudziło to we mnie zapał do studiowania sztuki wojennej, sztuki operacyjnej. Interesowałem się tym od samego początku, ale to były właśnie zaczątki nowoczesnej wojny.

Słuchaj, musisz spojrzeć na tę moją wspinaczkę po drabinie wojskowej kariery tak, jak się ona odbywała, szczebel po szczeblu. Być może będę w stanie ci udowodnić, że właśnie w siłach zbrojnych, zniewolonych i idących za rozkazami sowieckimi, istniała najpełniejsza świadomość zależności Polski od Związku Radzieckiego. Mogli tego nie dostrzegać ani ksiądz, ani piekarz, może pisarka tak, ale już nauczyciel niekoniecznie. Duch niepodległości żył najsilniej w armii, bo armia jest powołana do obrony narodu. Jeżeli ktoś w armii widzi sprzeczność między tym powołaniem a rzeczywistym działaniem, wtedy zaczyna myśleć, zaczyna dociekać, co zrobić, aby było inaczej. Masz rację, ani generał Jaruzelski, ani Kiszczak, ani inni zniewoleni generałowie niczego nie dociekali, ale oni mieli dusze przeżarte komunizmem. Jednak nie wszyscy byli tacy, nie wszyscy.

Egzamin generałów

To było chyba na przełomie roku sześćdziesiątego piątego i szóstego. Generał Bordziłowski, sowiecki generał w polskim mundurze, poseł na Sejm PRL, wiceminister obrony narodowej, pod którego rozkazami służyłem, podjął decyzję o przeprowadzeniu egzaminów kontrolnych dla wyższej kadry dowódczej, dla dowódców okręgów wojskowych, doszedł bowiem do słusznego wniosku, że generałowie na najwyższym szczeblu spoczywają na laurach, wysługują się innymi i tracą z wolna wiedzę wojskową. Na wzór sowiecki postanowił więc zrobić im egzamin: indywidualne rozwiązywanie zadań operacyjno-strategicznych, wyniki egzaminu miały trafić do akt. Byłem współautorem takiego ćwiczenia egzaminacyjnego. Tak, pracowałem już wtedy w Sztabie Generalnym, byłem tam od sześćdziesiątego czwartego roku. Dlaczego mnie wybierano? Odpowiem ci na to bardzo prosto. Należałem do tych oficerów niższej rangi, którymi wierchuszka się wysługiwała.

Egzamin miał miejsce w Żaganiu. Wyrzucili wojsko z jednego z bloków, do każdego pomieszczenia wstawili stół, każdy z uczestników otrzymał mapę, taką ogromną, większą od tego pokoju, w którym teraz rozmawiamy. Na podstawie założenia operacyjnego, które ja przygotowałem, delikwent miał przeanalizować sytuację, ocenić położenie, podjąć decyzję operacyjną, przedstawić ją graficznie na mapie, napisać dyrektywę i uzasadnić swoją decyzję. Wygląda na to, że byłem katem polskich generałów? To oni dawali mi popalić,

wierz mi.

Nikt nie miał prawa się z nikim porozumiewać, konsultować, telefony były wyłączone. Tylko ja i współautor tego zadania mogliśmy się z nimi kontaktować, a nawet mieliśmy obowiązek przejść po kolei z pokoju do pokoju, zameldować się i spytać, czy nie ma niejasności w związku z samym założeniem. Nie wolno nam było nikomu pomagać ani też sugerować jakichkolwiek rozwiązań.

No i proszę ciebie, chodziłem od generała do generała, a oni łapali mnie za mankiet: co za sympatyczny major – mrugali do mnie – jak mi idzie, dobrze?

Bo wiesz, według tych kanonów sowieckich tylko jedna decyzja była prawidłowa. Wszystkie inne były złe. Starałem się nie pomagać, ale coś tam jednemu, drugiemu dawałem do zrozumienia, że myśli w złym albo dobrym kierunku. Ale trzymałem się na dystans, żeby nie odwalać za nich roboty, jak zwykle. Byłem też między innymi u naszego znajomego, generała Siwickiego, a jakże. Zameldowałem się, proszę ciebie. Ale on był dosyć bystry, miał to zadanie rozrysowane. Jaruzelski? Jaruzelski był wtedy szefem Głównego Zarządu Politycznego.

Wszedłem do następnego pokoju, czasu już pozostało niewiele, może godzina, półtorej. Trzasnąłem obcasami.

– Obywatelu generale, major Kukliński melduje się w celu udzielenia wyjaśnień.

Ten biedak mundur powiesił na oparciu, koszula przylgnęła do pleców, pot mu ścieka po twarzy. Udał, że mnie nie widzi albo naprawdę mnie nie zauważył, więc jeszcze raz się zameldowałem. Tym razem się obejrzał i mówi:

– Pan, panie majorze, to opracowywał?

Nie, nie pomyliłem się, nie mówił do mnie „obywatelu majorze” ani „towarzyszu majorze”, jak wszyscy, ale „panie majorze”.

– Technicznie ja – odpowiadam – ale scenariusz oparty jest

na wytycznych, które otrzymaliśmy z kolegą z góry. A czy pan generał ma jakieś w ątpliwości?

Jak on do mnie na pan, to i ja do niego na pan.

– Owszem, nie wiem tylko, czy pan major mógłby mi je wyjaśnić.

– Słucham, panie generale.

On się tak dziwnie uśmiechnął.

– Żeby pan chociaż przed frontem naszych wojsk narysował Tatarów, to każde polskie dziecko pamięta Legnicę, nasze zaszłości, ale postawiliście nam Amerykanów, kto będzie z nimi walczył?

To ćwiczenie, muszę dodać, miało być zadaniem bojowym przeciwko amerykańskiej 7. Armii Polowej.

Odpowiadam:

– Chciałbym zauważyć, panie generale, że my teraz jesteśmy po tatarskiej stronie, a wojsko, posłusznie melduję, będzie realizowało taki plan, jaki pan generał rozrysuje.

Pozostało już niewiele czasu, a on był raczej w lesie ze swoją robotą, wziąłem więc flamaster i postawiłem kilka strzałek w odpowiednich miejscach.

Jak się nazywał ten generał? Nie powiem. Ty to opiszesz, a biedaka otrąbią zdrajcą.

Na drugi dzień rano miało być omówienie tych prac. Ministrem obrony był wtedy Spychalski, jego zastępcą – inicjator całego zadania, powtórzę jeszcze raz, sowiecki generał w polskim mundurze. Rzecz miała miejsce w Żaganiu. To dlatego po moim przyjeździe do Polski w dziewięćdziesiątym ósmym roku powiedziałem, że myśl o współpracy z Amerykanami zrodziła się nad Wisłą i Bobrem, tak, tam właśnie leży Żagań.

Może i jestem romantykiem, ale gdybym nim nie był, nie wydarzyłoby się to wszystko, co się wydarzyło, nie siedziałabyś teraz ze mną w Waszyngtonie i nie nagrywała tej rozmowy.

Wtedy powiedziałem generałowi X, i do dziś w to wierzę, że

armia nie jest od tego, żeby dyskutować nad rozkazami, ale od tego, żeby rozkazy wykonywać. Armia ma taką strukturę, że nie może inaczej. Przecież i po stronie niemieckiej w drugiej wojnie było wielu żołnierzy przymuszonych do walki. Tak samo nasi żołnierze, którzy strzelali do robotników na Wybrzeżu, rzygali, chorowali, ale nie mieli wyjścia, a ci, co w sześćdziesiątym ósmym wchodzili do Czechosłowacji i napotykali żywe barykady?

Struktura tego wojska jest taka, że ono inaczej nie może działać. Mogą być pojedyncze odruchy niesubordynacji, przeciwstawienia się, wyłamania się z dyscypliny, ja jestem tego przykładem, ale w armii można tylko pracować nad zmianą rozkazów. I to na najwyższym szczeblu.

Jestem święcie przekonany, że gdyby w osiemdziesiątym roku nadeszły rozkazy „walczyć z Sowietami", kiedy stali na naszej granicy, ta armia walczyłaby z nimi tak ofiarnie, jak walczyła z Niemcami w trzydziestym dziewiątym. I dlatego moje myśli, moje dążenia, moje działania szły w tym kierunku, aby wojsko nie dostało rozkazów samobójczych dla mojego narodu.

Wracając do Żagania… Omówienie generalskiego ćwiczenia odbywało się w ogromnej sali gimnastycznej. Myśmy z kolegą przygotowali tekst przemówienia dla Bordziłowskiego. Kiedy mu je wręczyłem, spytał mnie, w obecności wszystkich generałów, jak oceniam zadanie.

Patrzę, stoi generał Molczyk, ten sam, który tak mnie sponiewierał w słynnej podróży autobusem przez zaspy. No i Bordziłowski teraz pyta:

– A jak tam generał Molczyk?

Odpowiadam:

– Obywatel generał pracę wykonał na ocenę bardzo dobrą, ale korzystał z pomocy zewnętrznej.

I tak było, Molczyk ściągnął sobie oficera operacyjnego, który za niego to ćwiczenie narysował.

A ponieważ był w tym czasie dowódcą okręgu, więc i te koszary były jego, i ochrona była jego, a myśmy nie mogli się mu przeciwstawić.

No i dalej trwa przepytywanie. Jak generał X, generał Y, w końcu pada nazwisko wiadomego generała.

Mówię:

– Praca bardzo dobra.

Wracając do tematu, uważam, że armia jest tak zbudowana, aby nie było możliwości niewykonania rozkazu. Tłumaczyłem to tutaj Amerykanom. Generałowie czterogwiazdkowi zadawali mi pytanie:

– Jeżeli dojdzie do wojny, czy żołnierz polski będzie walczył przeciwko nim?

Odpowiedziałem im jednym zdaniem:

– Nie znam przypadku, aby żołnierz oddawał się do niewoli wycofującym się armiom!

Bo przecież oni mieli doktrynę, która od początku zakładała obronę w strefie przygranicznej, na Wezerze, później na Renie…

Nasza tragedia narodowa polega na tym, że Zachód, Amerykanie, bo oni są dla nas najważniejsi, nie mają za grosz rozeznania, nie rozumieją sowieckiej duszy. I to zawsze się będzie mściło, bo im bardziej będą głaskać rosyjskiego niedźwiedzia, tym głośniej będzie ryczał. Tak jest, najlepiej kółko w nos i do cyrku, ale do tego nigdy nie dojdzie. My teraz jesteśmy w NATO, co wcale nie oznacza, że jestem spokojny o swój kraj. Już sobie Zachód hoduje drugiego generalissimusa w osobie Putina, ale to nie moja sprawa. Ja swoją wojnę z Sowietami zakończyłem. Przydałby się drugi Kukliński? Kto wie, może już gdzieś studiuje młody zapaleniec, podchorąży. B ędzie miał pełne ręce roboty – wyśledzić tę całą sowiecką agenturę w naszym kraju. Starzy już raczej nie. Zdziwisz się, ale w armii za moich czasów niektórzy z moich przełożonych

byli o dwie długości przede mną w prawo, jeżeli chodzi o antyradzieckość. Tyle że to byli ludzie z kompleksami chleba i soli, których nabawili się przy karczowaniu syberyjskich lasów, i nie widzieli możliwości przeciwstawienia się potędze sowieckiego kolosa, który zajmował obszar jednej szóstej kuli ziemskiej, miał wielką armię i broń jądrową. Ja nie miałem tych kompleksów, nie byłem w niewoli sowieckiej, zawsze towarzyszyła mi nadzieja, że możemy się wybić na niepodległość. Wybiliśmy się, i co? Nostalgia za komuną? Korupcja? Złodziejstwo i prywata? Poczekaj, na początku szumowiny zwykle wypływają na wierzch, jak się je zbierze, pozostanie czysta substancja polskiego narodu.

Córka komendanta

Los zawiódł mnie do wyższej szkoły w Rembertowie. Oczywiście, komendantem był sowiecki generał, jakże inaczej, który traktował pobyt w Polsce jak zesłanie. Nie bardzo go obchodziły losy szkoły, był raczej zainteresowany zawartością barku w swoim gabinecie. Wszyscy wiedzieli, że się tam zamykał i po prostu upijał. Większość wykładowców stanowili Rosjanie, niektórzy ledwo dukali po polsku. Więc tak wyglądała nauka, ale jak ktoś chciał, to się wiedzy trochę nałykał. Muszę ci powiedzieć, że należałem do tych, którzy się tej wiedzy nałykali. Co prawda nie żyłem samą nauką…

Wiesz, komendant miał jedną zaletę, przywiózł ze sobą żonę i córkę, która była, córka oczywiście, śliczną dziewczyną. Smukła, czarnowłosa o wielkich niebieskich oczach. Miała na imię Olga. Połowa moich kolegów się w niej kochała, a druga połowa chętnie by ją dopadła gdzieś w ciemnym kącie. Aja? Ja do niej nie startowałem, bo myślałem, że nie mam szans. Byłem chyba najniższy ze wszystkich, nie rzucałem się w oczy.

Co sobotę organizowano w sali gimnastycznej potańcówkę, aby adepci sztuki wojennej nie myśleli o głupstwach i nie szwendali się po mieście; każdy mógł przyprowadzić swoją dziewczynę. Ale ja dziewczyny nie miałem, znajomość z Hanką się urwała, zresztą ona i tak była daleko. Stałem więc zwykle pod ścianą, patrząc, jak inni się bawią.

Oczywiście, królową parkietu była córka komendanta. *Kapitanskaja docz?* No, trochę inaczej niż w literaturze, jej ojciec był generałem. Patrzyłem, jak się pięknie porusza, jak

się obraca w tańcu. Wodziłem za nią wzrokiem, i na tym się kończyło. Właściwie po to co sobota podpierałem ścianę, aby na nią popatrzeć.

I za którymś razem, wyobraź sobie, Olga nieoczekiwanie podeszła, bez słowa wzięła mnie za rękę i zaciągnęła na parkiet. Bliskość jej ciała tak mnie oszołomiła, że zacząłem mylić krok. I co tu gadać, deptałem dziewczynie po nogach. Widocznie jej to nie przeszkadzało, bo tańczyła ze mną do samego końca, a potem szepnęła mi do ucha, że zostawi uchylone okno w swoim pokoju. Okno było na pierwszym piętrze, ale wspiąłem się po rynnie bez żadnego wysiłku. Potem często się po tej rynnie wspinałem, a ona obejmowała mnie nagimi ramionami i szeptała o miłości. Wtedy wydawało mi się, że jestem w niej szaleńczo zakochany, ale gdzieś tam w głębi cały czas miałem na uwadze, żeby za bardzo się nie angażować. Ta znajomość nie miała przyszłości, bo ani Olga by tutaj nie została, ani ja bym nie wyjechał za nią do Moskwy. Z Hanką sprawa wyglądała inaczej, miałem wobec niej poważne plany, ale wiesz, jak wyszło, nie będę się powtarzał. A co się tyczy Olgi, po prostu nie mogłem zapomnieć, że jest Rosjanką. Dla mnie Rosjanie byli okupantami, pod ich rządami mordowano najlepszych synów narodu, rotmistrza Pileckiego, generała Fieldorfa, do dzisiaj nie wiadomo, gdzie są ich groby. A najgorsze, że Niemcy robili to swoimi rękami, a oni wyręczali się agentami, takimi jak Bierut, Cyrankiewicz, którzy podpisywali wyroki śmierci. A pomniejsi – Fejgin, Różański – urzędowali przy Alejach Ujazdowskich. W tym się przejawiała cała perfidia systemu: tak zamącić ludziom w głowach, żeby się nawzajem mordowali. Plan Stalina był genialnie prosty: *divide et impera*. Polaków straszono Niemcami, Ukraińców – Polakami, Słowaków szczuto na Węgrów, Węgrów zaś na Rumunów. Na końcu byli Czukcze, którymi pogardzało całe imperium.

Olga oczywiście nic tu nie zawiniła. Była naprawdę cudowną

dziewczyną, łagodną, pełną uroku. Patrzyła na mnie oczyma pełnymi łez. *Ja tiebia lublu, ja nie mogu bez tiebia żyt'*. A ja milczałem. Bo co jej mogłem powiedzieć? Nie robiłem żadnych planów, żyłem chwilą, ale bardzo chciałem, aby ta chwila trwała jak najdłużej. Właściwie to nie wyobrażałem sobie, że Olga może zniknąć z mojego życia, że nie będę mógł jej przytulić. Tak to ze mną było. Nie mogłem dokonywać prostych wyborów, musiałem z czegoś rezygnować, a to często bardzo bolało.

Po roku milczenia nieoczekiwanie dostałem od Hanki kartkę z widokiem Krakowa, gdzie była na wycieczce.

Kochany Rysiu,

Jak Ci się wiedzie? U mnie wszystko w porządku, jestem zdrowa, mam teraz dobrą pracę.

Taki sen miałam, ja i Ty, jako dwoje staruszków, oboje siwi, przygarbieni, siedzimy w ogródku pełnym kwiatów, na ławeczce przed domem. I w tym śnie wiem, że to jest nasz dom… Twoja Hanka

Zdecydowałem się w jednej chwili, poszedłem na pocztę i nadałem do niej telegram:

Jeżeli mnie jeszcze chcesz, przyjadę z dwoma świadkami i weźmiemy ślub. Ryszard

Nie, tym razem się już nie wycofałem, prowadziłem Hankę do ołtarza, w białej sukni i welonie, tak jak sobie wymarzyła. Z mojej rodziny była tylko matka, z jej strony natomiast mnóstwo różnych krewnych, stryjków, wujków i pociotków. Ona jest Ślązaczką z pochodzenia, właściwie na imię ma Johanna, stąd to zdrobnienie Hanka. Jej rodzina traktowała mnie dosyć nieufnie, oni tam byli zasiedziali z dziada pradziada, a ja przybłęda, przybysz nie wiadomo skąd.

Tak widocznie zapisano w gwiazdach, że będziemy razem. Co prawda wspólny dom na starość okazał się domem na drugiej półkuli, ale to też widocznie było zaplanowane. Ucieczka przed Olgą? Nie, chyba nie. Wspólne życie z Hanką zostało jedynie odłożone, przesunęło się w czasie mimo naszego zerwania. Myśmy już coś razem przeżyli, była przy mnie w trudnych chwilach.

Wróciłem do szkoły z obrączką na palcu. Bałem się spotkania z Olgą, unikałem jej. W końcu jednak musieliśmy się spotkać. Staliśmy naprzeciw siebie, ona od razu spostrzegła obrączkę. To była niema scena, żadne z nas nie powiedziało słowa. Zanim zdążyłem otworzyć usta, odwróciła się i zaczęła odchodzić. W tamtej chwili chciałem ją zatrzymać, pobiec za nią. Ale stałem jak wmurowany w ziemię. Potem ktoś mi powiedział, że Olga wyjechała do Moskwy.

Wiesz, jak pokazało życie, nie było to nasze ostatnie spotkanie.

W latach siedemdziesiątych zostałem wysłany na kurs dowódczy do Akademii Sztabu Generalnego im. marszałka Woroszyłowa w Moskwie. Idę korytarzem, a naprzeciw mnie zmierza jakiś babsztyl, niosąc pod pachą kilka wypchanych teczek. Mundur niemal pęka jej na piersi pod naporem wydatnego biustu. Mijamy się i nagle słyszę:

– Ryszard?

Odwracam głowę, a ona uśmiecha się do mnie, jakbyśmy byli dobrymi znajomymi.

– Nie poznajesz mnie?

– Nie – odpowiadam i coraz bardziej nieswojo się czuję, różne myśli przebiegają mi przez głowę: może to prowokacja, może nasłali ją, żeby mnie sprawdzić.

Ale znając ich metody, podstawiliby mi ładną dziewczynę, a nie takiego maszkarona na opuchniętych, słoniowych nogach.

– Jestem Olga.

W tej kobiecie o nalanej twarzy, z workami pod oczyma, nie mogłem dopatrzyć się żadnego podobieństwa do tamtej ślicznej dziewczyny. Ale to była ona.

Oszust

Po ukończeniu szkoły w Rembertowie wróciłem do swojego pułku w Pile. I tu mnie spotkała miła niespodzianka. Wiesz, przedtem ciągle się mnie czepiał oficer Informacji, taki szujowaty młokos. Wzywał mnie do siebie, wypytywał, wyraźnie szukał zaczepki. Na okrągło wertował moją teczkę, która już była dosyć gruba i została przesłana za mną ze szkoły oficerskiej. Jednym słowem, robił wszystko, abym w dalszym ciągu czuł się niepewnie.

Teraz idę przez plac alarmowy i widzę swojego kolegę ze szkoły oficerskiej. Padliśmy sobie w objęcia.

– Co ty tutaj robisz? – pytam.

– A ty?

– Jestem dowódcą kompanii.

– A ja nowym oficerem Informacji – odrzekł ze śmiechem.

W szkole był ze mną w jednej drużynie, spaliśmy łóżko przy łóżku. Pochodził z bardzo biednej rodziny, bodajże fornalskiej, i miał na nazwisko Oszust, ale oszust nie mógłby przecież służyć w Informacji, zmienił więc nazwisko na Staniszewski.

Nasze stosunki służbowe bardzo dobrze się układały, spotykaliśmy się też prywatnie, nie raz, nie dwa upiliśmy się we dwóch. Ale wydawało mi się, że coś go gnębi. Czasem miałem wrażenie, że chce mi coś powiedzieć, ale nie wie, jak to zrobić. Wreszcie nie wytrzymałem i zacząłem pierwszy:

– Słuchaj, Kaziu – mówię. – Jak masz coś do mnie, to wal prosto w oczy, nie jesteśmy delikatne panienki, tylko stare wygi.

A on na to:

– Wiesz, jest taka teczka brudów i to się za tobą ciągnie.

– Wróg ludu?

On skinął głową.

– Ja… spalę tę teczkę, zgadzasz się?

Od razu zobaczyłem swoją jaśniejszą przyszłość. Bo z takim ogonem, który by się za mną ciągnął, kariery w wojsku bym raczej nie zrobił.

I wiesz, przed paru laty ktoś mi przysłał „Życie Warszawy", gdzie Oszust opowiada tę historię z moją teczką. Już nie Staniszewski, bo wrócił do swojego nazwiska, widocznie był do niego bardziej przywiązany, niż się mogło wydawać. W końcu nazwisko dziwne, ale własne.

Z tym że, jak mnie to wtedy przedstawiał, to on sam na własną odpowiedzialność spalił moją teczkę, a w wywiadzie dla gazety powiedział, iż uzgodnił to z dywizją. No, ale gwarantował za mnie… Że nie narobię głupstw. W każdym bądź razie moje życie z Oszustem pod bokiem stało się łatwiejsze.

Ty nawet nie wiesz, co to były za czasy, jak ludzie się bali. W wojsku panował terror, czasami wystarczył jeden niesprawdzony donos, żeby zniszczyć komuś życie.

Sam miałem taką niebezpieczną wpadkę, z własnej głupoty. Przysiadł się do mnie w kasynie podpułkownik, znaliśmy się z widzenia, jak wszyscy na terenie naszej jednostki, ale nigdy z nim jakoś bliżej nie rozmawiałem. No i wypiliśmy jedną wódkę, drugą, rozmowa zeszła na tematy żeglarskie. On, okazuje się, też zamiłowany żeglarz, więc się rozpromieniłem, wypiłem z nim bruderszaft i odtąd uważałem za najlepszego przyjaciela. Aż tu woła mnie do siebie Oszust-Staniszewski, wyjmuje teczkę i pokazuje donosy, które na mnie pisał mój kompan z kasyna. Czytam, a tam przytoczone są słowo w słowo wszystkie nasze rozmowy, niemal każde zdanie, które do niego powiedziałem. I co gorsza, którego nie powiedziałem,

a on je sobie dokomponował.

– Czy to prawda, co ta kanalia wypisuje? – spytał mnie dla porządku mój szkolny kolega.

– A skąd, nieprawda – poszedłem w zaparte. – Przecież mnie znasz.

– No, owszem, znam cię i wiem, że czasami potrafisz coś chlapnąć. Ale szpiegiem amerykańskim to ty nie jesteś.

Popatrzył na mnie z naganą w oczach.

– Nie rozmawiaj więcej z tym szmondakiem, bo jakby ktoś inny był na moim miejscu, już byś bracie wisiał!

– Mogłeś mnie od razu uprzedzić – odrzekłem – a nie gromadzić tę makulaturę.

Oszust uśmiechnął się chytrze.

– Chciałem ci naocznie uświadomić, że trzeba trzymać j ęzyk za zębami. Lepiej się na tym wychodzi.

Przeprowadzka

Słuchaj, na początku pięćdziesiątego trzeciego roku zaczęto formować korpus przeciwdesantowy w Polsce, który początkowo składał się z trzech brygad. Jedna w Kamieniu Pomorskim, druga w Kołobrzegu i trzecia w Gdańsku. Już wtedy były przymiarki do uderzenia na Zachód, a tutaj miano „zabezpieczać tyły". Ta sowiecka paranoja! Oni uważali, że jeżeli pójdą na Bonn, Paryż i tak dalej, to Amerykanie wylądują im na głębokich tyłach i narobią tam bigosu, tak jak to się stało w Korei, mówiłem ci, amerykański desant pod Inczhon.

No i, proszę ja ciebie, nie kto inny, a nasz przyjaciel Staniszewski miał wytypować zaufanego człowieka do 15. Batalionu Przeciwdesantowego w Kołobrzegu, wytypował więc mnie. Tak, tak, teczka już była spalona, pozostał po niej jeno popiół. Działo się to w maju pięćdziesiątego trzeciego, już po śmierci wodza, po śmierci Stalina. Wielka żałoba, wywieszanie obrazów, klęczenie, palenie świeczek, wszyscy płakali, nie tylko ci partyjni, cały świat płakał. Lewica na Zachodzie też płakała, bo to był ojciec narodów. W ten sposób tuż po śmierci Stalina znalazłem się w Kołobrzegu. Postawiono mnie na stanowisku oficera operacyjnego brygady. Potrzebowali tam kogoś, kto trochę pisze, trochę rysuje.

Jakiś czas wcześniej w kasynie garnizonowym poznałem bardzo sympatycznego podpułkownika Kitę. Racja, nazwisko jak z *Trylogii* Sienkiewicza. Podpułkownik miał ujmujący sposób bycia, wrodzoną kulturę, od razu można było poznać, że to oficer II Rzeczypospolitej. Byłem trochę samotny

w Kołobrzegu, bo Hanka została w naszym pilskim mieszkaniu, tam miała pracę, więc dosyć często się z tym podpułkownikiem spotykaliśmy, graliśmy w szachy, opowiadał mi o swoich przeżyciach wojennych, walczył na Zachodzie. Któregoś dnia nie przyszedł. Potem się dowiedziałem, że został aresztowany i skazany na karę śmierci. Co się stało? Otóż przechodząc na emeryturę, zgodnie z tradycją w przedwojennym wojsku, zbierał sobie fotografie kolegów na pamiątkę i wklejał do albumu. To była ta zbrodnia – oskarżono go, że gromadził zdjęcia oficerów w celach szpiegowskich. Zrozumiałem wtedy, że w tym bałaganie, jaki panował w armii, przy tych sprzecznych rozkazach, niekompetencji, nieuctwie, można było stracić życie z najgłupszego powodu. Na zawsze pozostał mi w pamięci przypadek podpułkownika Kity i kiedy po latach współpracy z Amerykanami musiałem uciekać z kraju, myślałem, jak niezbadane są wyroki losu – on za głupie pamiątkowe zdjęcia stracił życie, ja przez dziewięć lat codziennie igrałem ze śmiercią, a jednak mnie nie dopadła.

No tak, lata pięćdziesiąt trzy, pięćdziesiąt cztery, pięćdziesiąt pięć to lata terroru. Wojsko było milczące… Wolno było jedynie powtarzać to, co pisały gazety, o czym donosiło radio i co otrzymywaliśmy w konspektach z Zarządu Politycznego.

Mój batalion zajmował się między innymi tworzeniem umocnień na Wybrzeżu, z tym że sama plaża należała do Wojsk Obrony Pogranicza, była zaorana i niedostępna nie tylko dla zwykłych śmiertelników, ale także dla nas.

Mój odcinek, za który byłem odpowiedzialny, ciągnął się kilkanaście kilometrów, każdy z moich żołnierzy musiał dziennie ułożyć około siedemdziesięciu płyt betonowych, umacniających transzeje. Masz rację, jak w obozie pracy. Moi podkomendni się buntowali, panował straszny gorąc, pot lał się im po plecach i jakoś to układanie nie szło… Żeby więc ich zachęcić, obiecałem kąpiel, nie zważając na zakazy. Robota

zaraz ruszyła z miejsca. Słowo się rzekło, pod koniec dnia dałem komendę: do morza! I moi chłopcy puścili się pędem przez te zabronowane plaże.

Dosłownie po kilkunastu minutach pojawił się gazik z podoficerami WOP-u.

Pytają, kto tujest dowódcą. Odpowiadam, żeja. Oni nie mogli zjechać do nas, więc ja udałem się do nich.

– Wyście dali polecenie kąpieli w miejscu zabronionym? – pyta dowódca patrolu, w pełnym rynsztunku, pasek pod brodą, mars na czole.

A ja, rozumiesz, stoję przed nim w kąpielówkach w paski.

– To jesteście aresztowani.

Ja na to z całym spokojem:

– Chłopcy, dajcie sobie spokój z tym aresztowaniem, bo jak tylko gwizdnę, to my was razem z waszym gazikiem tutaj utopimy!

Moi żołnierze mnie obstąpili i nie były to pokurcze, ale zdrowe byki, bicepsy jak trzeba.

– Jeżeli macie zastrzeżenia co do mojej decyzji, to jest od tego droga służbowa, proszę złożyć na mnie meldunek, zażalenie. Ale teraz nigdzie z wami nie pojadę.

Moi chłopcy jeszcze ciaśniej mnie obstąpili, więc oni, chcąc nie chcąc, się wycofali. Takie to były czasy, myśmy strzegli wybrzeża na polecenie sowieckie, a nie mieliśmy prawa nawet nóg zamoczyć. Było to dla mnie tym bardziej przykre, że zaraz za tą wodą leżały takie kraje, jak Szwecja, Dania, Norwegia, wolny demokratyczny świat. Tak bliski i tak daleki, oddzielony od nas drutami kolczastymi.

We wrześniu pięćdziesiątego trzeciego roku nastąpiło radosne wydarzenie, narodziny pierwszego syna. Gdzieś tam w głębi byłem lekko rozczarowany, bo chciałem, żeby to była dziewczynka, moja pierwsza wymarzona córeczka, a potem miały się urodzić następne, Kasie, Basie i Zosie. Ale

pogodziłem się z tym dosyć szybko. Nie dane mi było zresztą uczestniczyć w tym wydarzeniu, bo jak wiesz, Hanka przebywała wtedy w Pile, a ja na Wybrzeżu. W każdym bądź razie chodziłem dumny jak paw. Tak byłem dumny, że z Kołobrzegu do Piły jechałem całe trzy dni, chociaż spokojnie wystarczyłoby kilka godzin. Jak już wreszcie dotarłem na miejsce, zaraz po wyjściu z dworca spotkałem kolegów, którzy zaczęli mi gratulować, no to wstąpiliśmy do pierwszej knajpy i piliśmy do północy. Nie mogłem syna zobaczyć, bo wszyscy po kolei mi gratulowali i wszyscy chcieli się z tej okazji napić. Do domu dotarłem nad ranem. Drugi syn przyszedł na świat w marcu 1955 roku już w Kołobrzegu, tam się całą rodziną przeprowadziliśmy.

Bliskość morza wyzwoliła we mnie tęsknotę za pływaniem, która cały czas tkwiła gdzieś głęboko, zaszczepiona jeszcze przez ojca. Kiedy byłem małym chłopaczkiem, zabierał mnie na spływy kajakowe po Wiśle. Ojciec należał do klubu wodniackiego, chyba to było Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie, jakoś tak.

W Kołobrzegu spotkałem bratnią duszę, lekarza wojskowego, który pochodził z Wilna, byłego akowca, porządnego człowieka. Mogliśmy godzinami rozprawiać o żeglarstwie i z wolna dojrzewała w nas myśl, aby wprowadzić to w czyn. Zacząłem w piwnicy budować żaglówkę, co wzbudziło niepokój oficera Informacji, czy przypadkiem nie zamierzam tą łódką uciec na Zachód. Z tego kraju szczęśliwości ludzie starali się nawet przeprawiać do Szwecji na dmuchanych materacach, oficer budujący łódź musiał więc wzbudzać podejrzenia. Ale i ja, i mój druh ukończyliśmy szczęśliwie budowę swoich łódek. Jego żaglówkę nazwaliśmy „Bryza”, moją „Morka”. Mój kolega, jak ci mówiłem, był lekarzem w jednostce, jednocześnie pracował jako epidemiolog w szpitalu w Kołobrzegu. Jego żona była farmaceutką, zawsze troszkę spirytusu aptecznego odlała

i robiło się z tego wyborne nalewki, moją ulubioną była nalewka na owocach pigwy. Przygotowywaliśmy się do dziewiczego rejsu po Mazurach bardzo starannie, wędziliśmy mięsa według średniowiecznej receptury, na gałęziach jałowca, zupełnie jak wojowie udający się na wojenną wyprawę. Namiotów wtedy jeszcze nie było, toteż nasze żony uszyły nam namioty z drelichu, palce sobie pokłuły do krwi, ale uszyły. O tak, Hanka to była żona na niepogodę. Moja matka trochę podgadywała, że tylko ja jestem dla niej ważny, że dzieci stawia na drugim miejscu, ale nie była to prawda. Matka nie mogła wybaczyć Hance, że popłynęła ze mną w ten rejs, zostawiając dwumiesięczne dziecko – to się działo w czerwcu pięćdziesiątego piątego roku, a Bogdan urodził się w marcu. Tak, był spod znaku Ryb i chyba rzeczywiście ciągnęło go do wody, bo w Stanach jego zawodem stało się nurkowanie. No więc wzięliśmy cały sprzęt, łodzie, namioty, tę szynkę uwędzoną, zamarynowaną, zapeklowaną według receptury z czasów Jagiełły, i dotarliśmy do Giżycka.

Byłem zachwycony Mazurami. Te krajobrazy, te jeziora… tak, wtedy po raz pierwszy to wszystko oglądałem. Nasze łódki miały być niezatapialne dzięki wodoszczelnej klapie w przedniej części kadłuba. Gwarantowaliśmy naszym żonom, że nawet jak żaglówka się przewróci, utrzyma się na wodzie. No więc uroczyście spuszczamy je na wodę, z tymi wszystkimi bagażami, obciążenie dosyć duże. A, jeszcze jedno, takie małe łódki żaglowe powinny mieć najwyżej siedem metrów żagla, ale myśmy mieli wielkie ambicje i daliśmy po piętnaście metrów, czyli dwa razy tyle. Najpierw chcieliśmy łódki wypróbować we dwóch. Zostawiliśmy żony na stacji, a musisz wiedzieć, że dworzec kolejowy w Giżycku jest przy samym jeziorze, spuściliśmy łodzie na jezioro i przy tych wielkich żaglach wiatr zagonił nas na drugą stronę Niegocina, nie było możliwości, by zawrócić. Te biedne kobiety tam czekają, niepokoją się, ale jakoś wróciliśmy. To było jedno z moich

piękniejszych przeżyć, te wakacje na jeziorach.

Ważny jest także dzień ostatni, gdzieś na Bełdanach w okolicach Rucianego. Rozpaliliśmy ognisko nad wodą, piekliśmy kiełbaski i dopijaliśmy resztki nalewki, która nam została. Byłem już na lekkim rauszu i mówię:

– Spróbujmy, czy te łódki są rzeczywiście niezatapialne!

Więc we dwóch z panem doktorem weszliśmy do wody, rozhuśtaliśmy łódkę i przewróciliśmy ją na bok, a ta, rozumiesz, bul, bul, bul i poszła na dno.

Czyją łódkę poświęciliśmy? Moją, oczywiście moją, bo ja zawsze muszę przegrywać… Czy czuję się przegrany? Mamy rok dwa tysiące drugi. Polska od trzynastu lat jest wolnym krajem, a połowa obywateli tego kraju uważa mnie za zdrajcę, tak samo uważają prezydent i minister obrony, a przecież dokumenty, które przekazywałem Amerykanom, były pisane w języku rosyjskim. Chyba więc jednak przegrałem, ale nie do końca, bo jeżeli chociaż jeden mój rodak doceni, co dla niego zrobiłem, to mi musi wystarczyć.

Chciałem pływać po morzu. Byłem zresztą wicekomandorem klubu żeglarskiego w Kołobrzegu i pływałem klubowymi jachtami, ale zapragnąłem mieć własny.

Jacht

W kołobrzeskim porcie stał wrak poniemieckiego jachtu, który został zatopiony w czasie działań wojennych w czterdziestym piątym roku. Marynarka wojenna wydostała go z basenu i miała wspólnie z harcerstwem i gwardią, czyli z milicjantami, wyremontować. No więc wyciągnięto ten jacht, postawiono na kozłach i pokutował tak przez sześć, może siedem lat. Wyszabrowano z niego, co się tylko dało, nie było żadnych okuć, poza tym wpływy atmosferyczne, słońce, deszcz na przemian, spowodowały, że stał się właściwie próchnem.

Ale tak byłem zafascynowany jego kształtem, iż zaproponowałem maszoperii, to znaczy marynarce, harcerstwu i gwardii, że oddam im swoją łódź, która była pięknie wykończona, gotowa do pływania, w zamian za ten wrak. Oni się ucieszyli i zamiana doszła do skutku. Pewnie się tam jeden z drugim pukali w głowę, po co mi taka dziurawa łajba, ale ja byłem szczęśliwy, że stałem się jej właścicielem.

I zaczęła się moja przygoda z odbudowywaniem jachtu. Nazwałem go „Legenda”, może dlatego że krążyły różne legendy na jego temat. Według jednej Hitler podarował ten jacht Ewie Braun na urodziny, według innej należał do rodziny bogatych gdańskich przemysłowców i wewnątrz miał wykończenia ze szczerego złota. Kolejna mówiła, że tuż przed wybuchem wojny przypłynął nim do Szczecina inny bogacz z kochanką na pokładzie, ich śladem podążała zazdrosna żona i kiedy pojawili się na nabrzeżu, zastrzeliła oboje. Skąd się wziął w Kołobrzegu? Właściwie nie wiadomo, mówiłem ci, że

to były takie tylko bajania. Prawdę powiedziawszy, nie był to jacht szczególnie luksusowy. Miał niecałe dziewięć metrów po pokładzie, dwa metry dziesięć szerokości. Były tylko cztery koje do spania, w tym dwie tak zwane hundekoje, bardzo niewygodne, dla szczupłych dziewczyn, takich jak ty… wiesz, jak one wyglądały? To takie jak gdyby szuflady, pakujesz w nie nogi i jak się przewracacz, to wszystkie żebra łamiesz. Więc z tym prezentem dla Ewy Braun byłbym ostrożny. Lepiej, pewnie, że lepiej, iż nie należał do niej, nie jest to moja ulubiona postać historyczna, i jej kochaś też nie.

Mojemu przyjacielowi doktorowi złożyłem propozycję nie do odrzucenia, żeby pomógł mi odbudować ten wrak. Byłby wtedy naszą wspólną własnością i moglibyśmy swobodnie sobie żeglować. On na mnie popatrzył i powiedział:

– Wiesz co, ty potrzebujesz pomocy, ale lekarskiej. Ja cię już dzisiaj skieruję do psychiatry.

Słowem, uznał mój pomysł za nierealny, niemożliwy do zrealizowania, ale postanowiłem, że ten jacht odbuduję o własnych siłach. Znalazłem pustą bramę przy ulicy Trzebiatowskiej w Kołobrzegu. Kiedyś stał tutaj szereg kamienic i wchodziło się przez nią na podwórze, teraz wyglądała jak doczepiona do samotnego budynku. Zwróciłem się do mieszkańców domu, czyby mi nie pozwolili wykorzystać tej bramy. Spytali, co mam zamiar tam robić. Kiedy się dowiedzieli, że chciałbym remontować jacht, zgodzili się bez problemu. Miałem z tego nawet profity, bo na parterze od frontu mieściła się prywatna masarnia i jej właściciel, pan Leon, bardzo sympatyczny facet, zaglądał do mnie i nie bez tego, że z pustymi rękami, od czasu do czasu przyniósł jakąś kiełbasę albo kawał wędzonki. Siadał w kącie i patrzył, jak pracuję.

– Myśli pan, że coś z tego będzie, panie Rysiu? – pytał sceptycznie.

– Jak bym tak nie myślał, to bym nic nie robił, panie Leonie.

A ja, jak pan widzi, wprowadzam swoje marzenie w czyn!

Brama z jednej strony miała solidne drzwi, na których powiesiłem kłódkę, z drugiej zaś, od tyłu, dorobiłem plecy z desek i wyszło z tego całkiem przyzwoite pomieszczenie. Wstawiłem piecyk, czyli kozę z rurą, żeby było ciepło w zimie, a potem sprowadziłem jacht, ustawiając go stępką do góry. Musisz wiedzieć, że w tym czasie nie dostałabyś w sklepach niczego, co byłoby ci potrzebne do takiego remontu: ani okuć, ani nawet głupich gwoździ mosiężnych. A musiałem wymienić wszystkie wręgi, stępkę, dziobnicę, a przynajmniej jedną jej część, pianki, poszycie, kabinę, właściwie, prawdę powiedziawszy, wszystko, ale widzisz, kształt tej łodzi był tak niezwykły, zbliżony do ideału.

To był jacht regatowy, wyobrażałem go sobie na morzu, jak pływa dumnie, jak pruje dziobem fale, i to wywoływało dreszcz na plecach, chciałem mu przywrócić dawną świetność i należne miejsce. Zbudowano go według projektu Artura Tillera, jednego z najlepszych niemieckich konstruktorów jachtów. Odszukałem w antykwariacie we Wrocławiu książki jego autorstwa, specjalnie w tym celu wybierając się na Śląsk. Przedtem dzwoniłem, szukałem materiałów, aż kuzyn Hanki dał mi znać, że natknął się na jakieś opracowania o jachtach. Odnalazłem również zminiaturyzowaną dokumentację mojego jachtu i nie posiadałem się ze szczęścia, to mi bowiem bardzo ułatwiało zadanie, nie musiałem działać po omacku. Hanka, która znała niemiecki, tłumaczyła mi całe rozdziały tych książek. Od Tillera wiele się nauczyłem o konstrukcji takich małych regatowych jachtów morskich.

Wtedy mi się wydawało, że przedsięwzięcie, jakiego się podjąłem, będzie obliczone na całe moje życie, ale nie miałem zamiaru się wycofać. Kupowałem w tartaku po dwie deski, bo nie stać mnie było jednorazowo na więcej, w składnicy złomu wygrzebałem i odkupiłem za grosze zwój drutu miedzianego, potem wystarałem się o maszynkę do robienia nitów. Moi

chłopcy i Hanka zostali zatrudnieni przy tłuczeniu nitów, bo potrzebowałem ich tysiące, naprawdę tysiące. Do maszynki wchodziło dziesięć kawałków drutu określonej długości i, wiesz, to było tak, że jak stuknąłeś młotkiem, tworzyła się główka. Znalazłem też wielki kocioł, który mi służył do parowania i kształtowania wręgów na kadłubie.

Gromadziłem narzędzia stolarskie i materiały, czyli deski, farby, gwoździe, to musiała być stal nierdzewna. Jacht nie miał okuć, więc sam, posiłkując się rycinami z książek, strugałem modele i dawałem je do odlewania. Miałem znajomego w Koszalinie, inżyniera, który dorabiał mi różne części. Dopuściłem się wtedy nawet przestępstwa – potrzebna mi była blacha miedziana na podkładki do nitów, więc przewiercałem pięciogroszówki. To było zabronione, niszczyłem przecież wytwory narodowej mennicy.

Miałem też chwile zwątpień i załamań, bo początkowo wydawało mi się, że tylnica jest zdrowa, ale kiedy się dobrałem do tych bebechów, okazało się, że i to jest do wymiany. Tylnica musiała mieć specjalny kształt, a bardzo trudno było dostać w całości kawałek dębu, jakiego potrzebowałem, o klejeniu z kilku kawałków nie było mowy, bo skąd wziąć odpowiednie kleje? Zajęło mi sporo czasu, zanim udało mi się znaleźć krzywe drzewo, ale to nie był koniec kłopotów, bo musiałem pertraktować z właścicielem posesji, aby zgodził się je ściąć. Przyjeżdżałem do niego kilka razy, z wódką oczywiście, bo jak inaczej. On, owszem, chętnie wypijał kieliszeczek, jeden, drugi, ale jakoś nie mógł się zdecydować. Byłem już bliski zwątpienia, kiedy pomógł mi przypadek – piorun uderzył w drzewo i rozłupał je na połowę. Zdobyłem więc idealny materiał na tylnicę, w kształcie zbliżonym do kija hokejowego. Płaska część musiała być dłuższa, bo przylegała do steru, a ster miał przynajmniej półtora metra. Wszystko pasowało. Masz rację, widocznie Pan Bóg czuwał nade mną i zesłał piorun.

No więc w ciągu dnia miałem służbę, a popołudniami pracowałem przy jachcie. Dzieci przynosiły mi jedzenie w trojakach, wiesz, jak to wyglądało? Trzy miski w nosidle. Przychodziła Hanka, malowaliśmy, pokostowaliśmy kadłub. Spędzałem tam każdą wolną chwilę, nie jeździliśmy na urlopy. Przyniosłem sobie maleńkie radio i kiedy prace przeciągały się do późnej nocy, słuchałem muzyki.

Wziąłem też do pomocy szkutnika, któremu coś tam płaciłem, ale był takim samym zapaleńcem jak ja, czasami nawet tam nocował. Praktycznie całą moją pensję pochłaniała odbudowa jachtu, żyliśmy z tego, co zarabiała Hanka, a ona wtedy zarabiała więcej ode mnie. Przez cały ten czas nie usłyszałem od niej słowa wymówki, chociaż nieraz widziałem, że ma na to ochotę. Jaka kobieta by to tak pokornie znosiła? Mąż stale nieobecny. Przecież myśmy nigdzie nie bywali, ani u znajomych, ani w kinie, ani na koncertach. Był tylko jacht i problemy… W momencie, kiedy się na niego zamieniałem, miał jeszcze żelazny kil, co prawda ołów balastowy już został ukradziony, pozostało jednak żeliwo ważące przeszło trzy tony. Nie mogłem tego od razu zabrać, szukałem odpowiedniego pomieszczenia, a kiedy już wreszcie takie znalazłem, okazało się, że kil zniknął. Od razu pobiegłem do składnicy złomu, ale niestety spóźniłem się. Mój kil, wraz z innym żelastwem, został przewieziony wagonem towarowym do Szczecina. Tam to przetapiali albo dalej ładowali na barki.

Nie dałem za wygraną, wziąłem dwa dni zwolnienia i pojechałem do Szczecina na złomowisko. Czułem się jak Krzysztof Kolumb, kiedy w ogromnej stercie pordzewiałych rur, prętów, pogiętych blach odnalazłem swój kil. Musiałem za niego jeszcze raz zapłacić, na szczęście po cenie złomu. Ale jak go z powrotem przetransportować? O wynajęciu wagonu nie było mowy, kogo byłoby na to stać. W końcu dogadałem się z kolejarzami na boku i ci przewieźli mi moją zgubę.

Było ciężko, bardzo ciężko, ale przeżyłem też chwile

szczęścia, kiedy mój jacht przeszedł pomyślnie inspekcję Polskiego Rejestru Statków: konstrukcja, wyposażenie, a także próby stateczności i bezpieczeństwa wypadły pomyślnie. Chrzest „Legendy” odbył się latem sześćdziesiątego roku, a więc odbudowa łodzi trwała pięć lat. Tak jest, całe pięć lat, kiedy to dzień w dzień podążałem do swojej bramy. Wcale nie uważam tego czasu za stracony, praca przy jachcie bardziej rozwinęła mnie duchowo niż studia w wojskowych akademiach.

O tak, moje poczynania były pilnie obserwowane, nikomu nie chciało się pomieścić w głowie, że zadaję sobie tyle trudu tylko po to, aby móc popływać po morzu. Coś musiało się za tym kryć. Z tym, że odbudowa jachtu trwała latami, a przez te lata wiele się w Polsce zmieniło, chociaż w wojsku te zmiany przebiegały znacznie wolniej. Kiedyś w kasynie podszedł do mnie oficer Informacji i tak niby żartem zapytał:

– No to kiedy się, towarzyszu kapitanie, ewakuujecie z rodziną?

Nie bardzo zrozumiałem, co ma na myśli.

– Kierunek Bornholm? – uzupełnił swoje pytanie.

Krzywo się uśmiechnąłem.

– Chcę mieć po prostu swoją łajbę – odpowiedziałem – i pływać, kiedy mi przyjdzie ochota.

– I myślicie, że się wam to uda? Udało mi się. W pierwszy rejs zabrałem przyjaciela doktora i swoją rodzinę, co im się jak najbardziej należało. Przecież bez ich pomocy niczego bym nie dokonał. Jak mówię, nie był to jacht luksusowy, nierzadko sprawiał nam prysznic, nadchodząca wysoka fala zalewała pokład, a Bałtyk, jak wiesz, nie jest zbyt ciepłym morzem. Ale o to mi właśnie chodziło. Aby pokonywać trudy żeglowania, w duchu conradowskim. Byłem wiernym czytelnikiem Conrada, potem, już w Ameryce, czytałem go w oryginale i w jakiś sposób odkrywałem na nowo. Może to, że był jak ja Polakiem, pozwoliło mi pogodzić się z myślą, że Bałtyk jest dla

mnie na zawsze stracony, ale żeglować można też po innych morzach i oceanach. Na początku nie chciałem o tym myśleć, nie jeździłem na wybrzeże atlantyckie, zapatrzony w kierunku Europy. Z czasem, pod wpływem namowy młodszego syna Bogdana i, jak powiedziałam, powrotu do twórczości Conrada, pojawiła się myśl, aby sprawić sobie jacht. Ale to już były innego typu przeżycia niż tamte zapamiętane.

Pewnie dlatego że byłem wtedy dużo młodszy. Poza tym, wchodząc na pokład swojej łodzi, czułem się pierwszy po Bogu. Mój jacht był dla mnie rodzajem szalupy ratunkowej, cały ten komunizm, wszystkie zakazy, nakazy, pozostawały na brzegu. Czułem się naprawdę wolny. A tutaj wolność się nieco zdewaluowała, jak wszystko, czego się ma w nadmiarze.

Wiesz, to, że mnie tak pilnowano, że nie mogłem swobodnie się poruszać i stale miałem towarzystwo, było męczące, ale nie miało nic wspólnego ze zniewoleniem, jakie nam fundował system.

W tym pierwszym dziewiczym rejsie z Kołobrzegu do Gdyni miałem jeszcze jeden powód do satysfakcji – uznanie, jakie wyczytałem z oczu mojego przyjaciela. Nic nie mówił, ale był wyraźnie poruszony, a znając go, wiedziałem, że nieczęsto ulega wzruszeniom.

W Gdyni poszliśmy we dwóch na piwo.

– Wiesz, Ryszard – powiedział doktor. – Znamy się tyle lat, a ja mam wrażenie, że tak naprawdę niewiele o tobie wiem.

– Niczego przed tobą nie ukrywam.

– Nie o to chodzi. Mnie się wydaje, że ty ukrywasz coś przed sobą.

Pomyślałem, że trafił w sedno. Od dawna miałem niejasne poczucie, że jest we mnie jakaś sfera nieznana, do której nie potrafię dotrzeć. Teraz? Teraz jestem chyba człowiekiem wypalonym, niczego już w sobie nie szukam.

Androsiuk

Pamiętasz, zaraz po twoim przyjeździe do Stanów opowiedziałem ci o swojej przeprawie z generałami, których całych i zdrowych miałem dowieźć autobusem na miejsce ćwiczeń w Czersku na Pomorzu? Chciałbym teraz do tego wrócić. Wkrótce po tym, jak rozpocząłem pracę w Sztabie Generalnym, na poligonie w tymże Czersku miały się odbyć wspólne ćwiczenia polsko-radzieckie. Rosjanie zdecydowali się pokazać wyższej kadrze dowódczej sposoby dostarczania głowic jądrowych polskim siłom zbrojnych. Jak wiadomo, myśmy mieli tylko środki przenoszenia, czyli rakiety operacyjno-taktyczne o krótkim zasięgu, bodajże do trzydziestu kilometrów, i operacyjno-taktyczne do stu siedemdziesięciu kilometrów. Mieliśmy też „nosicieli broni jądrowej" – samoloty, jeśli się nie mylę, TSU 20 i torpedy.

Tak naprawdę miał to być pokaz siły naszego wschodniego sąsiada, który po kryzysie kubańskim za wszelką cenę chciał umocnić swoją pozycję na kontynencie europejskim. Aby podkreślić rangę tego wydarzenia, jego kierownikami zostali ze strony radzieckiej marszałek Greczko, a z naszej strony marszałek Spychalski. Do nas należało zapewnienie tła operacyjnego tych ćwiczeń, a także ich zorganizowanie od początku do końca, Rosjanie zaś mieli, jak to się mówi, przyjść na gotowe i uczestniczyć w samych pokazach. Drogą lądową i powietrzną miały przybyć tak zwane *sborocznyje* brygady i zademonstrować instalowanie głowic jądrowych.

Nad organizacją tego ćwiczenia i wszystkimi operacjami mój

szef powierzył pieczę pułkownikowi Androsiukowi. Był to oficer bardzo inteligentny, o dużej wiedzy i wybitnym talencie wojskowym, naprawdę niewielu mogło mu w armii dorównać. Postać poza tym niezwykle barwna, obdarzona fantazją, co w sztywnych strukturach wojskowych nie uchodziło za zaletę. Androsiuk miał starszego brata, który był dyrektorem departamentu w Komisji Planowania przy Radzie Ministrów i przydzielał środki finansowe na rzecz wojska, więc rozumiesz, że dzięki temu pułkownik stawał się w armii kimś nietykalnym. Tuszowano jego różne wybryki, nawet takie jak ten z Mazur, który groził degradacją i sądem wojskowym. Androsiuk był wtedy dowódcą brygady rakiet operacyjno-taktycznych w Orzyszu. Którejś soboty poszedł do knajpy przy rynku, gdzie na zakrapianej kolacji spędzał miło czas w towarzystwie komendanta milicji. Czy może UB? Nie, raczej milicji. To miejscowa milicja miała za zadanie ochraniać brygadę pułkownika z zewnątrz, ale nie wiedziała, co chroni i po co. Widocznie nie dawało to komendantowi spokoju, bo w pewnej chwili powiedział:

– My tu was tak chronimy, chronimy, a co wy tam naprawdę macie? Myślę, że wy tam gówno macie!

– Tak? Co my tam mamy? To ja ci pokażę, co my tam mamy! – wycedził pułkownik.

Wezwał przez radio helikopter, który wylądował pośrodku rynku, vis-à-vis restauracji, wzbudzając niemałą sensację wśród mieszkańców miasteczka, zapakował do niego komendanta i pokazał mu stanowiska startowe rakiet, ujawniając tym samym osobie postronnej najpilniej strzeżoną tajemnicę wojskową. I taki był, ten Androsiuk, potrafił pracować w pocie czoła całymi tygodniami, ale potem musiał się, że tak powiem, napić. Znikał na kilka dni i nic go nie obchodziło.

Przyszliśmy do pracy w sztabie w tym samym dniu – on, pułkownik z dużym doświadczeniem, i ja, zielony major, tuż po

Akademii Sztabu Generalnego.

Któregoś dnia wzywają mnie do szefa. Wchodzę, w jego gabinecie jest już pułkownik Androsiuk, na biurku rozłożona wielka mapa sztabowa.

Szef mówi do mnie:

– Majorze, popatrzcie na tę mapę, czy wy coś z tego rozumiecie?

– Prawdę mówiąc, nie bardzo – odpowiadam.

Na co odzywa się Androsiuk:

– To może ja tę mapę odwrócę do góry nogami?

Szef zrobił się purpurowy na twarzy, ale odpowiedział spokojnie:

– Dziękuję wam, pułkowniku, jesteście wolni.

Kiedy zostaliśmy sami, potarł czoło, był wyraźnie zakłopotany.

– Pułkownik Androsiuk to doświadczony oficer, ale widocznie nie ma serca do tego zadania. Wy to za niego dokończycie.

I tak oto zostałem głównym specjalistą od opracowywania wielkich ćwiczeń. Chociaż wtedy, wychodząc z gabinetu szefa ze zwojem map pod pachą, byłem przerażony. Nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać. Aby opracować takie ćwiczenie, trzeba było mieć ogromną wiedzę, przede wszystkim znać potencjał jednej i drugiej strony, metody walki. Tą drugą stroną było oczywiście NATO. To przeciw niemu ustawiałem na papierze swoje armaty i tworzyłem scenariusze przyszłej wojny. Za pierwszym razem pomogli mi koledzy, dobrymi radami służył mi też sam Androsiuk. W głębi duszy go podziwiałem, ja musiałem dochodzić mrówczą pracą do tego, co jemu przychodziło tak łatwo. Gdyby tylko chciał, mógłby zrobić wielką karierę.

Jakie były jego dalsze losy? Po kolejnej aferze alkoholowej awansował na attache wojskowego przy jednej z ambasad.

Sztab

Moja praca w Sztabie Generalnym to była droga krzyżowa. Wierz mi, powoli docierało do mnie, w czym uczestniczymy, jaką rolę w rzeczywistości odgrywa Wojsko Polskie, ale dojdziemy do tego… Wydaje mi się, że to, iż zostałem wybrany do pracy w sztabie, zawdzięczałem wyjątkowym zdolnościom graficznego przedstawiania decyzji i przebiegu operacji wojennych na mapach. Miałem też bardzo dobrą pamięć do danych, liczb, dat, nazwisk, więc kiedy ci z góry potrzebowali natychmiast jakichś szczegółowych informacji, zwracali się z tym do mnie. Co powiedziałaś? Że to przydatne w pracy szpiega? I mnie miałaś na myśli? Ja nie byłem szpiegiem!!! Nawiązałem wojskową współpracę z Amerykanami dla dobra mojego narodu! I Amerykanie to zrozumieli, i docenili, nigdy nie wyskoczyli z jakąś propozycją finansową, bo wiedzieli, że mogliby mnie tym obrazić. Przepraszam, że podniosłem głos, ale chciałbym, żeby to było jasne, przynajmniej dla ciebie.

Żebyś to lepiej zrozumiała, żebyś jakoś to zobaczyła, opowiem ci o początkach pracy. Moim bezpośrednim przełożonym był pułkownik Szczepaniak. Posiadał dużą wiedzę, trzeba mu przyznać, ale był człowiekiem niepozbieranym, słabym organizatorem, a to u wojskowego wada, bo w wojsku trzeba wyrażać się i działać precyzyjnie, żeby nie wyniknęło z tego jakieś nieszczęście.

Miało się odbyć ćwiczenie operacyjno-strategiczne „Wrzesień 65” czy 66… muszę pomyśleć, Jaruzelski został wtedy mianowany szefem sztabu… to był chyba sześćdziesiąty

piąty rok, o ile się nie mylę. Chodziło o ćwiczenie frontowe z udziałem właściwie wszystkich sił zbrojnych, a także sztabu jednej armii z Białoruskiego Okręgu Wojskowego. Na pewne odcinki tego ćwiczenia mieli zostać zaproszeni wybrani przedstawiciele ataszatów wojskowych, rozumiesz, żeby im pokazać, że my się tylko obroną zajmujemy. Miało to być bardzo ważne ćwiczenie i miał je osobiście opracować mój szef, ale jak to on, zaczął coś, nie skończył, gdzieś poszedł. Wszystko spadło na mnie, a ja byłem zupełnie bezradny, bo nic mi nie wytłumaczył. W zadaniu miały uczestniczyć tylko poszczególne sztaby z ośrodkami łączności w terenie. Włączono w to jednak jedną dywizję, aby na niej sprawdzić, jak te wysmażone przez generałów rozkazy są realizowane w praktyce.

I, prawdę powiedziawszy, ja to ćwiczenie sam zrobiłem od początku do końca, bo on narysował dwie kreski i się zmył. Musiałem dokomponować sytuację w skali całego teatru wojennego, musiałem zrobić do tego założenia. Powiem ci, że merytorycznie to zadanie było przygotowane dobrze, ale kompletnie położono je w sensie organizacyjnym. Polegało ono na tym, że dowódcy otrzymywali jakieś założenia, podejmowali decyzje i na podstawie ich decyzji trzeba było przygotować rozjemców. Kim byli rozjemcy? To byli oficerowie reprezentujący kierownictwo ćwiczenia przy dowództwach i sztabach. Zgodnie z tradycją sowiecką oni „podgrywali”, jak te działania przebiegały w rzeczywistości.

Ale, jak wspomniałem, Szczepaniak organizacyjnie kładł wszystko na łopatki. Jeździł sobie z marszałkiem Spychalskim wysłuchiwać ustaleń wszystkich generałów, dowódców frontów, okręgów wojskowych, potem rodzajów sił zbrojnych, lotnictwa, marynarki i tak dalej, a ja miałem przygotować na podstawie decyzji, których nie słyszałem, przebieg operacji kolejnego dnia i instruować rozjemców. Tylko że mój szef towarzyszył marszałkowi prawie do samego rana, a rano

przyszedł i powiedział mi dwa słowa albo i nie powiedział. Może nie zapamiętał. I nie wiedziałem, jakie decyzje zostały podjęte! Ci rozjemcy czekali zdenerwowani. Nie było żartów, oni z tego centrum dowodzenia czasami musieli pojechać czy polecieć helikopterem sto, dwieście kilometrów. Wyobraź sobie, jak się czułem, będąc w tym całym zamieszaniu centralną postacią. Mapa operacji, naprawdę ogromna, dwadzieścia na trzydzieści metrów, i ja przy niej kompletnie zdezorientowany. Miałem oczywiście do pomocy oficerów, personel techniczny, kreślarki, które wypinały zgrabne tyłeczki, ciągnąc tuszem to, co ja rysowałem ołówkiem. Ale co tak naprawdę mogłem rysować, tylko swoje domysły!

W tym ćwiczeniu brał także udział słynny pilot z Zachodu, Stanisław Skalski, wtedy był chyba podpułkownikiem, potem został generałem. Mieliśmy dowodzony przez niego dywizjon poderwać w powietrze, powinien był nadlecieć w momencie, kiedy marszałek Spychalski, generałowie sowieccy i ci z ataszatów zbliżą się do umówionego rejonu. I wskutek jakiegoś przekłamania, pewnie maczał w tym palce mój słynny szef, dywizjon został podniesiony o czterdzieści minut za wcześnie. A musisz wiedzieć, że piloci mieli ograniczony czas lotu, czas przebywania w powietrzu. Patrzę, sunie cały dywizjon, niebo pociemniało od skrzydeł. Co teraz robić… Kazaliśmy im krążyć i czekać na rozkazy. W końcu nadjechała generalicja i pokaz się odbył, dosłownie na ostatnich kroplach paliwa. Ale piloci popisali się, trzeba im przyznać, lecieli lotem koszącym prawie przy samej ziemi, to robiło wrażenie. Tym obserwatorom zachodnim udowodniliśmy, że my się tylko bronimy i umiemy to robić, a po zakończeniu pokazu ćwiczenie potoczyło się dalej. Ofensywa poszła na Zachód i aplikacyjnie myśmy już opanowali Danię i operację zaczepną rozwinęliśmy w kierunku na Holandię. Ale wyniknęły trudności z opanowaniem Norwegii od północy. Marszałek Spychalski mówi:

– Dowódca 2. armii ma przygotować plan zaatakowania Norwegii od południa.

W przeddzień zakończenia ćwiczenia marszałek odwiedził nasz pokój. Było nas tam dwudziestu, może piętnastu chłopa, i ja, jako najstarszy stopniem, krzyknąłem:

– Obywatele oficerowie!

Wszyscy się wyprężyli, złożyłem marszałkowi raport. Wtedy on z marsową miną zapytał mnie:

– A kto tym całym bałaganem kieruje?

Byłem tak zdenerwowany, że nie dosłyszałem tego o „bałaganie”, dotarło do mnie tylko „kto tym kieruje”, więc wypaliłem:

– Obywatel marszałek, jako kierownik tego ćwiczenia.

On już o nic nie pytał, tylko zrobił w tył zwrot i wyszedł.

Po chwili wpada pułkownik Szczepaniak i zaczyna wydziwiać nad mapą. Tu za gęsto, tego nikt nie rozpozna i tak dalej. Po prostu mnie zdrowo opieprza.

Nie odzywałem się. Przez siedem dni i siedem nocy nie zmrużyłem nawet oka, miałem więc w głowie taki szum, że ledwo rozumiałem, co on mówi, dotarły jednak do mnie jego ostatnie słowa: że będzie musiał to wszystko zrobić sam.

Odwraca się już i wychodzi. A tam obok na stole stała paczka z różnokolorowymi tuszami. Niewiele myśląc, schwyciłem ją i pieprznąłem za nim. Omal go nie trafiłem, kałamarze upadły na podłogę, szkło się rozprysło i tusz zaczął wyciekać. Pułkownik skamieniał. Chyba nie bardzo wiedział, jak się ma zachować, ale kiedy popatrzył na mnie, zrozumiał, że gotów jestem się na niego rzucić. Było mi już naprawdę wszystko jedno.

Bez słowa wyszedł. To on, nie kto inny, był twórcą tego całego bałaganu. Zrozum, ja harowałem jak wyrobnik, nie spałem przez okrągły tydzień, a ten nagle wyskakuje, że musi po mnie wszystko poprawiać. Oczywiście, za to, co zrobiłem, mogłem zostać zdegradowany, mogłem wylecieć z wojska,

a nawet mogli mnie aresztować. Tylko kary śmierci by mi wtedy nie dali, dali mi ją potem… Wyobraź sobie, Szczepaniak tego incydentu nie zgłosił i później nigdy do niego nie wracaliśmy: ani ja, ani on.

Teraz wzywają mnie do szefa sztabu. W gabinecie Jaruzelskiego jest także jego zastępca, generał Chocha.

Nazajutrz Jaruzelski miał wszystko referować, a ja miałem dokumentować, pokazywać olbrzymim kijem na mapie, co, gdzie. No wiesz, scenariusz tej całej papierowej wojny, jak to przebiegało. Zobowiązali mnie, aby mapa była gotowa na określoną godzinę, bo chcą coś sprawdzić. Więc słaniając się dosłownie na nogach, przygotowałem wszystko, a moi kreślarze poprawili tuszem oznaczenia, żeby to jakoś wyglądało i było czytelne.

A zastępca Jaruzelskiego mi mówi:

– Wiecie, towarzyszu Kukliński, jak ja bym był na waszym miejscu, tobym na tę mapę powiesił jeszcze jedną mapę i jeszcze jedną, i jeszcze następną, żeby to dniami się odbywało, właśnie tak, dokumentować to dzień po dniu.

Pociemniało mi w oczach. Tę mapę robiło dwudziestu ludzi przez tydzień i ja mam to teraz rozdzielać na pięć części. Robota straszna, a czasu mało, właściwie tylko noc, kolejna nieprzespana noc, i bardzo wątpliwe, czyby się z tym zdążyło.

Na to odzywa się Jaruzelski:

– Towarzyszu generale, dajmy spokój, towarzysz major jest bardzo zmęczony. Idźcie, towarzyszu majorze, się przespać.

Masz rację, ludzki był człowiek, i mówię to bez tej kpiny, jaką słyszałem w twoim głosie. Często się potem zastanawiałem, co go popychało do takich nieludzkich decyzji, dlaczego wydał rozkaz strzelania do robotników w grudniu siedemdziesiątego roku. Doszedłem do wniosku, że on stał się taką samą ofiarą systemu jak my wszyscy, a może nawet większą, bo ten system uczynił z niego wasala Moskwy. Generał naprawdę uważał, że sojusz z Sowietami to jedyne

wyjście dla Polski. Smutne jest tylko to, że jego myślenie się nie zmieniło… Świadczy o tym jego wypowiedź, że jeśli przywróci mi się cześć i honor, to będzie znaczyło, że on nie miał czci i honoru, że on był winny, on i reszta generalicji. A przecież to była sprawa wyboru: tkwić w tym bagnie czy starać się z niego jakoś wyjść. Ja skorzystałem ze swojej szansy, a oni nadal w tym siedzą, mimo że Związek Radziecki przestał istnieć, a wraz z nim wszystkie sojusze, którym przysięgali być wierni. Ja nie przysięgałem, nie przysięgałem, że jako polski żołnierz będę służył interesom sowieckim. Interesom amerykańskim też nie służyłem, wybrałem Amerykanów na sojuszników, tak jak Jaruzelski wybrał Rosjan, ale historia pokazała, że to ja miałem rację.

Już około V wieku przed naszą erą chiński wódz i filozof Sun Zi stworzył *Sztukę wojenną*, jest tam fragment, którego nauczyłem się na pamięć: „Kto rozumie, jak prowadzić wojnę, podporządkowuje sobie obce armie bez walki, bierze obce twierdze bez oblężenia i niszczy wrogie mocarstwa bez długich pochodów wojennych. Można więc osiągać korzyści bez używania broni, a to dzięki podstępowi wojennemu”. I ja się do tego stosowałem, stosowałem podstęp wojenny i udało mi się wygrać swoją wojnę z wrogim systemem, który na moich oczach zamienił się w proch.

Widzisz, w miarę jak byłem dopuszczany w swojej pracy w sztabie do coraz większych tajemnic, zaczęło do mnie docierać, jak tragiczne byłoby położenie Polski w momencie konfliktu nuklearnego z Zachodem. Sowieckim celem strategicznym było dotarcie do cieśnin Skagerrak i Kattegat, Morza Północnego i Atlantyku. W pierwszym rzucie miały brać udział sowieckie dywizje stacjonujące w NRD, dywizje czechosłowackie, Wojsko Polskie i sowieckie wojska rozlokowane w Polsce. Ogółem około dwóch milionów żołnierzy. Pierwszy front – to siły sowieckie w Niemczech, drugi front – armia czeska, trzeci front – polski. Jaruzelski

twierdził, że należeliśmy do sił drugiego uderzenia, ale kłamał! Świadomie kłamał. Mieliśmy włączyć się do walki w trzecim dniu wojny, traktowano więc nas jako najbliższą rezerwę strategiczną pierwszego uderzenia! Osiemset tysięcy polskich żołnierzy miało ruszyć na Niemcy, Belgię, Holandię i Danię. To była moim zdaniem utopia, nigdy byśmy tam nie dotarli, po prostu byśmy nie zdążyli, NATO by nas zatrzymało, zrobili by nam krwawą jatkę. Ale Sowietom o to chodziło, nasze wojska miały być krwawą tarczą, torującą im drogę do serca Europy. Spróbuj sobie wyobrazić, co czuje żołnierz, który jest powołany do obrony swojego narodu, a odkrywa, że przez swoje działania naraża ten naród na śmiertelne niebezpieczeństwo. Spróbuj sobie wyobrazić, co czułem. Wiesz, miałem taki zwyczaj, żeby pracować w nocy. Bo w ciągu dnia ciągle ktoś zaglądał do mojego pokoju, czegoś ode mnie chciał, dokądś mnie odwoływano. Tak sobie ułożyłem, że wpadałem do domu na obiad, taki obiad połączony z kolacją, potem ucinałem sobie siedmiominutową drzemkę, tyle mi było potrzeba, żeby się zregenerować. Hanka miała przykazane, żeby mnie obudzić dokładnie za siedem minut. Wracałem do sztabu i pracowałem tam do trzeciej, czwartej nad ranem. O czwartej przychodziły maszynistki, żeby przepisać to, co wypociłem. Do tego czasu byłem sam. Wiesz, w nocy człowiek jakby dalej widzi i ja widziałem coraz ostrzej, a to, co widziałem, to była zagłada Polski. Chwilami czułem się jak Konrad na szczycie Mont Blanc.

Mam tutaj taką mapę… Skąd ją mam? Przecież przez te jedenaście lat współpracy z Amerykanami przekazałem im tony najtajniejszych dokumentów, pochodzących wprost z Kremla.

No więc spojrzyj na tę mapę, widzisz, tutaj masz dwadzieścia strategicznych dróg, którymi by szły przez Polskę wojska sowieckie drugiego rzutu strategicznego. Widzisz te cztery drogi, tutaj zaznaczone? A, B, C i D… a tutaj dziewięć

strategiczych dróg kolejowych. Odległość jednej drogi od drugiej wynosi około dwudziestu, trzydziestu kilometrów, a niekiedy tylko piętnaście. Tymi drogami podczas pierwszych dni wojny przemieszczałoby się ponad milion ciężkich pojazdów i około dwóch milionów ludzi. A tutaj popatrz, rzuć okiem na ten dokument. Znasz rosyjski? Tyle o ile? No to widzisz, ten dokument wylicza polskie zobowiązania wobec Sowietów w razie wojny. To jest oficjalna umowa międzypaństwowa, kawałek ci przetłumaczę, to będziesz miała bliższe pojęcie.

Do przewozu wojsk i środków materiałowych Armii Radzieckiej utrzymywać w parku taboru kolejowego PRL, z gotowością podstawienia do przygranicznych rejonów załadunkowych w ciągu pierwszej dekady nie mniej niż: platform dwuosiowych – 16 000, platform czteroosiowych i sześcioosiowych, przydatnych do przewozu czołgów – 4000, cystern – 3500.

No masz, to jest to, do czego, jak twierdzi Jaruzelski, nie miałem dostępu. Dlaczego pisane po rosyjsku? Dlatego że to było jednostronne zobowiązanie Polski wobec ZSRR na wypadek wojny, więc po co to tłumaczyć, wystarczy, że Kreml to miał.

Rzecz w tym, moja kochana, że na taki atak NATO odpowiedziałoby atakiem jądrowym na terytorium Polski. Musieliby przerwać szlaki zaopatrzeniowe drugiego rzutu sowieckiego uderzenia. Nie mieliby po prostu innego wyjścia. Uważam, że prezydent amerykański nie chciałby uderzać na Sowietów wprost, bo oni mogliby w odwecie uderzyć na USA. Niemcy by były chronione, bo nie można bronić jakiegoś terenu, niszcząc go. Logiczne? Pozostawała więc Czechosłowacja, no i my. Przy tym Czesi byli w lepszym położeniu, bo tylko jedna droga i jeden szlak kolejowy wiodły przez ich terytorium.

To nie są moje scenariusze, wymyślone czy coś.

Wiedzieliśmy dokładnie, że NATO przewidywało od 400 do 600 uderzeń nuklearnych na Polskę. Co by po tym zostało? Spalona ziemia!

Więc ja, spędzając noce w swoim gabinecie, główkowałem, jak z tego wyjść. Taak… jak tu nie podstawiać taboru kolejowego i tych obiecanych Sowietom cystern. Rozważałem różne wyjścia, niezbyt niestety realne, bo wyjście było właściwie jedno: zmienić doktrynę wojenną Wojska Polskiego. No bo jak tu mieć pretensje do Amerykanów, że zechcą użyć broni jądrowej przeciwko nam, kiedy ileś tam tysięcy polskich żołnierzy ruszyłoby na tę nieszczęsną Danię. Mogliby tam dotrzeć przez morze i się poddać? Słuchaj, wojska NATO by ich przedtem w tym morzu zatopiły.

Nie tylko ja przeżywałem takie rozterki i wątpliwości co do sensu przyszłej wojny. Sztab Generalny nie był najlepszym miejscem, żeby o tym rozprawiać, szczególnie w większym gronie, jednak w zaciszu gabinetów można było mówić, co się myśli. Zdziwisz się, ale Ministerstwo Obrony i Sztab Generalny Wojska Polskiego były chyba najbardziej antysowieckimi instytucjami w Polsce Ludowej. Więc nawet się zbytnio nie kryłem ze swoimi poglądami. Zastanawialiśmy się z kolegami, jak wpłynąć na Sowietów, żeby wycofali się z planów agresji na Zachód. Kiedyś zahaczyłem o to w rozmowie z generałem Chochą, wiesz, zastępcą Jaruzelskiego, tak, tym samym, który kazał mi przerabiać mapy, ale to było dawno. Tymczasem zostałem pułkownikiem i jego prawą ręką. Chocha przedtem wysłał taki sygnał, mówiąc publicznie, że zmiana planów na obronne jest jak najbardziej uzasadniona, bo planowanie wojny byłoby tańsze, uniknęłoby się przypadkowego jej wybuchu i związanych z tym tragicznych konsekwencji.

Rozmowa z nim dała mi do myślenia. Generał zaczął mówić o polskiej doktrynie militarnej, o tym, co do mnie już dawno dotarło, pamiętasz, że Polska zmieni się w ziemię niczyją,

niszczoną przez NATO w następstwie wojny, którą wygrywaliby Sowieci.

– Nikt na górze nie chce mnie słuchać – poskarżył się generał.

– Panie generale – odrzekłem – jeżeli przyjaciele odmawiają, może dogadać się z wrogami?

I nagle zimny pot mnie oblał, bo to jedno zdanie wystarczyło, żeby mnie oddać pod sąd. Ale on się tylko gorzko uśmiechnął.

– Pułkowniku – stwierdził – dotarliśmy do abstraktu, na tym zakończmy.

Kto w polskiej armii miał podobną wiedzę jak ja? Odpowiem na to tak: na pewno wszyscy, którzy pracowali w Zarządzie Operacyjnym Sztabu Generalnego, to znaczy ci, którzy planowali wojnę, a więc szesnastu oficerów, nie licząc mnie, i nasi zwierzchnicy. Dlaczego tylko ja się wyłamałem? Zadajesz mi trudne pytania. Może dlatego że nie pozwoliłem odebrać sobie marzeń.

Moja decyzja o współpracy z Amerykanami dojrzewała latami. Zaczynem był chyba sześćdziesiąty ósmy rok – ktoś nacisnął guzik i polska armia wzięła udział w agresji wbrew narodowym interesom, a nawet wbrew prawu, bo przecież Sejm w tej sprawie niczego nie postanowił. Wiesz, to było dla mnie przeżycie porównywalne z tymi, jakie wyniosłem z okupacji, kiedy widziałem, jak strzelano do ludzi, a może i gorsze, bo tym razem mnie i moim żołnierzom kazano strzelać. Zostałem wysłany do sztabu marszałka Jakubowskiego w Legnicy w celu przygotowania ćwiczeń naszych wojsk w ramach Układu Warszawskiego. Od razu się zorientowałem, że nie chodzi o żadne ćwiczenia, ale o inwazję na Czechosłowację. Na mapach sztabowych jednostki armii czechosłowackiej były oznaczone kolorem niebieskim, a takim kolorem oznaczano armie wroga. Przeżyłem szok, myśli kłębiły mi się w głowie: co robić, przecież nie wolno dopuścić, abyśmy wzięli udział w bratobójczej walce. Niestety, wszystko na to

wskazywało. Nie wiadomo było, jak się zachowają Czesi, ale zachowali się wspaniale, naprawdę, cały naród; gdyby chociaż jeden żołnierz wystrzelił, mogłoby dojść do masakry. Masz rację, jak wtedy z tym koziołkiem w trakcie poszukiwań dezertera. To właśnie tak wygląda. Przeżyliśmy chwile grozy, kiedy zaginęła jedna czechosłowacka dywizja i nikt nie wiedział, gdzie jest: ani my, ani Sowieci, ani nawet sami Czesi. W końcu się odnalazła, po prostu nawaliła łączność, ale nerwy były straszne. Kreml już był przygotowany na wszystko.

Słuchałem zachodnich radiostacji, tam jednak rozbrzmiewały wyłącznie protesty przeciw wojnie w Wietnamie. I gdzieś na marginesie wzmianki o „praskiej wiośnie". Doszedłem do wniosku, że tamci nie wiedzą, co się szykuje, i że trzeba ich koniecznie powiadomić. Gdyby podniósł się szum w mediach niemieckich, francuskich, amerykańskich, mogłoby to powstrzymać Sowietów.

Jechałem w stronę czeskiej granicy, gdzie stacjonowały polskie wojska, naprawdę z ciężkim sercem. W pewnej chwili zauważyłem, że kierowca wołgi ma na szyi medalik.

– Jesteście wierzący? – spytałem go.

– Ma się rozumieć – odpowiedział. – Pochodzę z Litwy, a my tam katolicy, cała kolonia polska. Mama mnie prosiła, żeby przywieźć więcej medalików. Mam ich całą kieszeń.

Jego otwartość mnie rozbroiła. Zaryzykowałem i poleciłem mu zboczyć na szosę wrocławską. Miałem nadzieję, że napotkam jakiś zachodni samochód, zatrzymam go i przekażę informacje o tym, co się szykuje. Staliśmy na poboczu, ale mijały nas samochody wyłącznie z polską rejestracją. Z wolna docierało do mnie, że nic nie mogę zrobić, dosłownie nic. Kazałem kierowcy ruszać.

Po przyjeździe na miejsce zadzwoniłem do szefa. Powiedziałem, że moja żona ciężko zachorowała i w związku z tym proszę o możliwość powrotu do domu. Tak, znowu Hanka mi pomogła, jej wymyślona choroba posłużyła mi za

pretekst do wycofania się z tej brudnej wojny.

Hanka to Ślązaczka, a na Śląsku taka jest rola kobiet: mało mówić i wspierać męża we wszystkim. Widziałaś film Kutza *Perła w koronie?* To na pewno pamiętasz scenę, w której żona górnika myje mężowi nogi, kiedy ten wraca z kopalni do domu. Nie, Hanka mi nóg nie myła, ale była naprawdę wspaniałą żoną.

Miałem nadzieję, że w Warszawie łatwiej mi będzie przekazać komu trzeba wiadomość o zbliżającej się inwazji. Nie było to jednak proste, przecież nosiłem mundur. Gdybym zadzwonił albo wszedł do ambasady amerykańskiej, natychmiast bym został namierzony. Zacząłem główkować, w jaki sposób przekazywać informacje do wolnego świata tak, żeby nie skończyło się to dla mnie aresztowaniem, a może nawet śmiercią. Jeszcze nie miałem żadnego pomysłu, ale kiedy w kilka miesięcy później wysłano mnie do Niemiec Wschodnich jako obserwatora ćwiczeń, skorzystałem z okazji i skopiowałem plany ewentualnych działań wojennych na tym terenie. Stało się to możliwe dzięki omyłce sowieckiego dowódcy, który dał mi te plany do ręki. Nie wiedziałem jeszcze, co z tym zrobię, jak wykorzystam, ale chciałem mieć ten materiał na wszelki wypadek. No tak, ryzykowałem, jasne, że ryzykowałem, ale uważałem, że to warte ryzyka.

Misja

Rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi okazał się dla mnie przełomowy. Otóż narodził się pomysł, aby wysłać „na wycieczkę zagraniczną” grupę oficerów ze Sztabu Generalnego. Ci oficerowie, wśród nich ja, mieliby szansę zobaczenia miejsc, które były teatrem planowanych przez nich działań wojennych. Pomysł już w samym założeniu był ryzykowny, bo jeśli wieje za granicę jakiś oficer służby wywiadowczej, jego wiedza jest cząstkowa, my zaś znaliśmy najtajniejsze plany Układu Warszawskiego. Ale widocznie dla naszego dowództwa gra była warta świeczki. Oczywiście, zdawałem sobie sprawę, że nasza wycieczka będzie pilnie obserwowana w czasie całej podróży, to znaczy popłynie z nami jakaś „wtyczka”, a nawet może jeden będzie pilnował drugiego.

Pod koniec lipca wypłynęliśmy z Gdyni jachtem żaglowo-motorowym, na dwanaście osób, i tyle liczyła nasza załoga. W książeczkach żeglarskich mieliśmy powpisywane zawody: nauczyciel, profesor uniwersytetu, inżynier, słowem – udawaliśmy cywilów, turystów, mimo że nasz jacht należał do klubu wojskowego. Na pokładzie nie mieliśmy żadnego wyposażenia wywiadowczego, tylko aparaty fotograficzne. Nie, nie pamiętam już, jaki miałem zawód w czasie tej wyprawy, ale występowałem pod własnym nazwiskiem, co okazało się pomocne w powziętych przeze mnie zamiarach.

Najpierw zawinęliśmy do portu w Sassnitz w Niemczech Wschodnich, później do portu w Kilonii i wreszcie do

Wilhelmshaven. To miejsce wybrałem na nawiązanie kontaktu z Amerykanami. Dlaczego właśnie tam? Bo to miejsce symbol. To tutaj dotarła w czasie drugiej wojny światowej 1. Dywizja Pancerna generała Maczka. Mówi ci coś to nazwisko? Właśnie, wspaniała postać, wspaniały dowódca i człowiek. Wiedział, że nie może wrócić do ojczyzny, ale nie przyjął od Anglików obywatelstwa, zrzekł się też emerytury za zasługi i pracował w barze jako zwykły kelner. Nie mógł wybaczyć Angolom, że sprzedali nas Sowietom. Wiesz, większość jego żołnierzy też nigdy do Polski nie dotarła, a ci, co wrócili, byli prześladowani i mordowani przez komunistów. Chciałem więc teraz jakoś uczcić fakt, że dywizja generała Maczka tutaj stacjonowała. To miała być historyczna sztafeta pokoleń.

W czasie całego rejsu udawałem wesołka, ale pilnie obserwowałem kolegów i zastanawiałem się, który z nich jest „wtyczką". I chyba dość szybko odgadłem. Bo wiesz, na pokładzie często odbywały się libacje, jak to w takich rejsach, czasu dużo, dookoła woda, ja jednak tylko udawałem, że piję wraz z innymi. Wylewałem wódkę, gdy nikt nie patrzył. Nie za kołnierz, bardziej komfortowo, wprost za burtę. Po jakimś czasie zorientowałem się, że ktoś jeszcze wpadł na taki sam pomysł. No to już byłem w domu i wiedziałem, na kogo szczególnie powinienem uważać. W Wilhelmshaven tylko my dwaj zeszliśmy na ląd, ja oficjalnie chciałem się rozejrzeć za sklepem z częściami do mojego starego opla. Kupiłem go okazyjnie na Węgrzech i okazał się wspaniałym pretekstem do wymykania się z portu w kolejnych miejscach postoju. Wiadomo, że takich części wtedy w Polsce nie można było dostać. Wybraliśmy się więc do miasta tylko we dwóch, a ja uważałem, żeby zbyt pospiesznie nie pozbywać się jego to warzystwa. To on chciał się pozbyć mnie, widocznie, żeby bez świadków porozumieć się z centralą. Wreszcie zostałem sam.

Nie znałem miasta, błądziłem więc dosyć długo, zanim udało mi się kupić papier, koperty i ołówek. Teraz zaczęło się

poszukiwanie poczty, słabo radziłem sobie z niemieckim, trudno więc mi się było dopytać o najbliższy urząd pocztowy. W dodatku miałem niewygodne buty, które obcierały mi pięty, w pewnym momencie zacząłem utykać. Słowem, same przeciwności. Pomyślałem, czyby nie zrezygnować, nie zawrócić do portu. Ale to nie leżało w moim charakterze, poddawać się, ruszyłem więc przed siebie. Kilka przecznic dalej dostrzegłem wreszcie budynek z czerwonej cegły, a na nim napis: Postamt. Odetchnąłem z ulgą, wszedłem tam i zabrałem się do pisania listu. Nie mogłem tego uczynić wcześniej, na jachcie, to by było zbyt niebezpieczne. Treść listu w języku angielskim już wcześniej sobie dokładnie przemyślałem.

Jestem oficerem w jednym z państw Układu Warszawskiego i chciałbym spotkać się z przedstawicielem amerykańskich sił zbrojnych. To powinien być co najmniej pułkownik i powinien znać język rosyjski.

Jestem tutaj przejazdem. Zadzwonię do waszej ambasady w Hadze w ciągu najbliższych pięciu, dziesięciu dni. P.V.

Dlaczego tak się podpisałem? Bo litera V oznacza zwycięstwo i jest rzadko używana w pisowni polskiej, a P, wiadomo, od Polish. Aby zapamiętać ten skrót, zakodowałem sobie dwa słowa: Polski Viking.

Swój list pisałem drukowanymi literami pochylonymi w lewo, aby uniemożliwić ewentualne rozpoznanie charakteru pisma, a zaadresowałem do ambasady amerykańskiej w Bonn. Bez adresu zwrotnego. Wewnątrz była druga koperta, adresowana do amerykańskiego attache wojskowego. Zanim wrzuciłem list do skrzynki, starannie wytarłem odciski palców. Zrobiłem to instynktownie, nie miałem przecież najmniejszego doświadczenia w tych sprawach.

Wszystko to zajęło mi kilka godzin, tymczasem zrobiło się

późno i byłem coraz bardziej zdenerwowany. Powinienem wziąć taksówkę i jak najszybciej wrócić do portu, ale zwyczajnie nie miałem pieniędzy. Wlokłem się więc z powrotem, coraz bardziej utykając. Kiedy dotarłem na miejsce, było już ciemno. Na szczęście na jachcie trwała libacja i moje wyjaśnienia, że zabłądziłem, zostały przyjęte ze zrozumieniem. Tylko ten kolega, z którym wybrałem się do miasta, bacznie mi się przyglądał; on wrócił dużo wcześniej.

– Dostałeś części do samochodu? – zagadnął.

– Tylko je obejrzałem, są nie na moją kieszeń. Może gdzie indziej będzie taniej – odrzekłem bez mrugnięcia okiem.

W tej podróży towarzyszył mi mój młodszy syn Bogdan. Kiedy już leżeliśmy na koi, spytał szeptem:

– Tato, gdzie ty naprawdę byłeś?

To był bardzo trudny dla mnie moment, bo nagle sobie uświadomiłem, że moje życie się zmienia, że oto rozdziela się na życie oficjalne i utajone. I o tym drugim życiu z nikim nie będę mógł rozmawiać, nawet z najbliższą rodziną. To mnie skazywało na samotność, ale taka była cena decyzji, jaką właśnie podjąłem.

– Zabłądziłem – odpowiedziałem synowi.

W Holandii wpłynęliśmy do największej bazy NATO w Den Helder. Wokół były setki okrętów wojennych i łodzi podwodnych, toteż pojawienie się naszego jachtu wywołało niezłą panikę. Od razu ruszyła pielgrzymka na nasz pokład, najpierw bosman, potem oficer kontrwywiadu, za nim oficer marynarki.

– To baza wojskowa, czy panowie zdają sobie z tego sprawę? – padło pytanie.

Zrobiłem wystraszoną minę.

– Baza wojskowa? Nic nie wiedzieliśmy, jesteśmy cywilami, na wycieczce krajoznawczej. Ale jak tu nie wolno, to się zaraz stąd wycofamy.

– Jeśli wyrazicie zgodę, odholujemy was do królewskiego jachtklubu – zaproponował ten z kontrwywiadu.

Tak się też stało, przycumowaliśmy we wskazanym miejscu. Na nabrzeżu były prysznice, klub oficerski. Wszędzie dużo świateł. To się od razu rzucało w oczy i pomyślałem ze smutkiem, że nasze strony przypominają ciemny barak.

Potem popłynęliśmy kanałami do Amsterdamu, Rotterdamu i w końcu do Hagi. Z budki telefonicznej w okolicy nabrzeża zadzwoniłem do ambasady amerykańskiej, sądząc, że jest usytuowana w Hadze, ale to była zła informacja. Natychmiast zostałem połączony z kimś, kto doskonale znał rosyjski. Umówiliśmy się późnym wieczorem na dworcu kolejowym.

– Będę stał przy głównym wejściu z „Time'em" w ręku – powiedział mój rozmówca.

Nie miałem trudności z opuszczeniem jachtu, bo wielu moich kolegów wybierało się poobserwować nocne życie miasta. Krążyły legendy o tym, że w Holandii skąpo ubrane panienki siedzą w oknach i czekają na klientów.

Ja udałem się na dworzec. Od razu dostrzegłem mężczyznę trzymającego gazetę w ręku, był wysoki, szczupły, mocno już szpakowaty, nosił okulary w złotych oprawkach. Przeszedłem obok niego i cicho powiedziałem: „Dobryj wieczer". Opuściłem dworzec, a kiedy się ukradkiem obejrzałem, stwierdziłem, że podąża za mną. Wsiedliśmy do samochodu, oprócz kierowcy było jeszcze dwóch mężczyzn. Podjechaliśmy pod mały, ustronny hotel, tam mężczyzna w złotych okularach przedstawił mi dokumenty pułkownika armii amerykańskiej. Pozostali też byli wojskowymi, chociaż tak jak on ubrani po cywilnemu. Ja miałem do okazania tylko licencję kapitana jachtowego i paszport. Powiedziałem im, że reprezentuję poglądy pewnej grupy polskich oficerów i chociaż mnie do tego nie upoważnili, z pewnością zgodzą się na współpracę, bo myślą tak samo jak ja. Spytali mnie o nazwiska tych oficerów, więc im je podałem. Widziałem, że moi rozmówcy są

zaskoczeni tą wypowiedzią. Spodziewali się czego innego, indywidualnej współpracy, a ja im dałem do zrozumienia, że chcę zawiązać spisek w wojsku. Złożyłem też na ich ręce „deklarację intencji". Brzmiała ona następująco:

My, Polacy, w następstwie podziału świata na dwa obozy znaleźliśmy się w strefie wpływów sowieckich. Nie był to jednak nasz wybór. Nie chcemy uczestniczyć w wojnie przeciwko NATO, przeciwko Zachodowi. Pragniemy wycofania się Polski z Układu Warszawskiego.

Czy waszym zdaniem jest szansa nawiązania współpracy pomiędzy Wojskiem Polskim a siłami amerykańskimi stacjonującymi w Europie? Po to, by zapobiec wojnie, a w razie jej wybuchu, by pomóc w działaniach w polskim interesie narodowym?

Nic mi na razie nie odpowiedzieli. Czułem, że nagrywają naszą rozmowę, ale brałem to pod uwagę, jak również i to, że będą chcieli mnie sprawdzić. Około północy odwieźli mnie w pobliże portu. Ustaliliśmy, że spotkamy się w Amsterdamie, Rotterdamie i po raz ostatni w Ostendzie, bo to był nasz końcowy przystanek przed powrotem do Polski.

Leżałem na koi z otwartymi oczami prawie do rana, obok smacznie spał mój syn, który nic nie wiedział o moich życiowych decyzjach, nie mógł wiedzieć, a przecież one także jego dotyczyły. Jak bardzo, miało się to okazać w przyszłości. Ale już poszedłem na wojnę, a na wojnie dzieją się różne tragiczne rzeczy. Każdy żołnierz podziemia w czasie okupacji narażał swoją rodzinę i pewnie przeżywał te same rozterki, co ja teraz, i nie miało znaczenia, że podziemna armia była bardzo liczna. Poza tym walka była wpisana w mój zawód, a ponieważ przeciwnik był w tej walce Goliatem, ja musiałem zostać Dawidem.

W Amsterdamie spotkałem się z Henrym – tak, to ten oficer

w złotych okularach – w śródmieściu, w samochodzie zaparkowanym obok kanału. Już do nich nie telefonowałem, po prostu mówiłem, gdzie będę i kiedy, a oni proponowali godzinę i miejsce spotkania. Spotykaliśmy się albo w hotelowym pokoju, albo w zaparkowanym samochodzie. Szedłem na to drugie spotkanie z uczuciem niedowierzania, że to się jednak wydarzyło, że to trwa. Wysłałem list i otrzymałem na niego odzew. Nie ma odwrotu. To znaczy, wiesz, mogłem odwrócić się na pięcie i odejść, nie byłoby wtedy dalszego ciągu tej historii, ale nie zrobiłem tego. Masz rację, to trochę tak jak z odbudową jachtu, jak już wbiłem w kadłub jeden gwóźdź, musiałem potem wbić drugi i trzeci.

Henry był tym razem w samochodzie sam, nawet bez kierowcy. Rozmawiał ze mną bardziej otwarcie, domyśliłem się więc, że zostałem przez nich sprawdzony i informacje co do mojej osoby się potwierdziły.

– Słuchaj, Richard – powiedział wprost – twój pomysł zawiązywania spisku w wojsku w obecnej sytuacji jest skazany na niepowodzenie. To nie przetrwa roku, miesiąca, a nawet kilku dni, wierz mi. Narazisz na niebezpieczeństwo siebie, narazisz swoich kolegów.

– Jesteśmy żołnierzami i dobro naszej ojczyzny jest sprawą nadrzędną – odpowiedziałem.

Henry zapalił papierosa, mnie też częstował, byłem jednak zbyt zdenerwowany i napięty, abym mógł się zaciągnąć dymem. Miałem ściśnięte gardło.

– Richard, ojczyzna teraz tego od was nie wymaga, nie musicie dla niej od razu ginąć. Spróbujcie najpierw zrobić coś rozsądnego.

– To znaczy co?

– Możesz nam przekazywać informacje, abyśmy nie działali po omacku. Bo to jest niebezpieczne. Podobno u was krąży takie powiedzenie: „Im mniej wiesz, tym lepiej śpisz”, a u nas odwrotnie. Jeżeli będziemy znali posunięcia wroga, będziemy

wiedzieli, jak go w porę powstrzymać. Twoja ojczyzna tylko na tym zyska.

Czułem się bardzo rozczarowany, że Amerykanie nie przyjęli naszej wyciągniętej ręki, nie chcieli z nami współpracować. Co innego konspiracyjna współpraca, a co innego przekazywanie in formacji. To nosiło zupełnie inną nazwę i ta nazwa mi się bardzo nie podobała. Powiedziałem o tym Henry'emu.

– Rozumiem twój sposób myślenia, ale on się musi zmienić, bo sytuacja tego wymaga, i mam nadzieję, że się zmieni – zakończył.

Umówiliśmy się, że jeżeli zechcę nawiązać z nimi kontakt już w kraju, powinienem zaparkować samochód w ustalonym miejscu i pozostawić uchylone okno, ktoś do środka wrzuci list. Ale minęło kilka miesięcy, zanim się na to zdecydowałem. Musiałem zmienić sposób myślenia, jak mi to przepowiedział Henry, musiałem jakoś dojrzeć do decyzji podjęcia współpracy z Amerykanami na ich warunkach, nie z wojskiem, ale z agencją wywiadowczą.

Sztab Generalny Wojska Polskiego mieścił się przy Rakowieckiej, dokładnie naprzeciw słynnego więzienia, w którym w latach stalinowskich zakatowano wielu wspaniałych Polaków, prawdziwych patriotów. Z mojego okna na trzecim piętrze widziałem bramę, jak się z wolna otwiera, wpuszczając więzienne karetki, i jak się za nimi zamyka. Pomyślałem, że może nadejść taka chwila, kiedy ta brama zamknie się także za mną. Ale już właściwie byłem zdecydowany na podjęcie współpracy z amerykańskim wywiadem. Po gruntownym przemyśleniu ca łej sprawy doszedłem do wniosku, że Henry miał rację – mój pomysł zawiązania spisku w wojsku nie mógł się udać.

Pozostawiłem samochód w umówionym miejscu i uchyliłem okno. Jednak ani tego dnia, ani następnego niczego w nim nie znalazłem. Być może moje wątpliwości trwały zbyt długo i tym

razem Amerykanie się zniechęcili. Tak sobie myślałem. Postanowiłem, że ostatni raz pozostawię samochód na ulicy. Kiedy po niego wróciłem, zauważyłem, że na wycieraczce leży biała koperta. Znalazłem w niej informację o terminie i miejscu spotkania. Kartka napisana była po polsku, na maszynie. Bez podpisu.

Miałem się spotkać z kimś, kto będzie czekał w zaparkowanym samochodzie na tyłach Cmentarza Wolskiego. Główna aleja tego cmentarza prowadzi do ulicy Jana Olbrachta, tam ten samochód miał czekać. Podano mi kolor i markę. Obok po chodniku miała się przechadzać kobieta w jasnym berecie. Gdyby na mój widok wsiadła do auta, powinienem jak najszybciej się oddalić.

Była późna jesień siedemdziesiątego drugiego roku. Szedłem cmentarną aleją, pustą o tej porze, liście szeleściły pod moimi butami. Jakoś źle mnie to nastrajało, chciałem już to spotkanie mieć za sobą.

Wszystko się odbyło tak, jak zostało zaplanowane, z tym tylko, że na to spotkanie przyszedłem w mundurze, co, według moich rozmówców, było olbrzymim błędem.

– Niech pan nigdy więcej nie przychodzi po wojskowemu – na wstępie usłyszałem wymówkę.

Ci ludzie to byli Polacy, małżeństwo w średnim wieku, kobieta miała kresowy akcent. Nigdy później ich nie spotkałem. Teraz wręczyłem mężczyźnie w samochodzie – ona ciągle się przechadzała – sześćsetstronicowy materiał na temat wojsk sowieckich, o który mnie poproszono w czasie letnich spotkań. Sądzę, że Amerykanie już mieli te dokumenty i chcieli mnie w ten sposób sprawdzić.

Wróciłem do domu z uczuciem wielkiego znużenia. Położyłem się na chwilę przed kolacją i zasnąłem, Hanka nie mogła się mnie dobudzić. Myślę, że to była reakcja na ogromne napięcie, jakie mi towarzyszyło tego dnia. Kiedy wreszcie się ocknąłem, zobaczyłem wystraszoną twarz żony.

Stała nade mną w nocnej koszuli.

– Jesteś chory, źle się czujesz? – pytała.

To był moment, kiedy chciałem jej powiedzieć, co się naprawdę wydarzyło. Ale przecież nie mogłem jej tym obarczać, ze względu na nią samą i na powodzenie mojej misji.

Kiedy to nie tak... ja jej nie oszukiwałem. Starałem się ją chronić, po prostu czegoś o mnie nie wiedziała, ale nigdy się nie wie wszystkiego o drugim człowieku, nawet najbliższym. Przez te wszystkie lata musiałem bardzo pilnować, aby te moje dwa wcielenia się ze sobą nie stykały. Porobiłem zabezpieczenia, używając terminologii morskiej, falochrony. Specjalnie wszystkim opowiadałem, że mi się małżeństwo nie układa i myślę o rozwodzie, aby w razie czego Hanka była poza podejrzeniem, że cokolwiek wiedziała o mojej misji. Otaczałem się kobietami, bywałem w knajpach, bardzo często w modnym Klubie Aktora w Alejach Ujazdowskich, zdarzało się, że prosto stamtąd jechałem do pracy. Trzymałem nawet w biurku przybory do golenia.

Nie sądzę, aby moje opowieści o nieudanym życiu osobistym do niej docierały, nie stykała się z tym środowiskiem. Gdyby ktoś jej jednak o tym powiedział, na pewno wyczułbym w niej jakąś zmianę. Nie wiem, czy się domyślała, że są inne kobiety, nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale miała pewność, że nasze małżeństwo nie jest zagrożone. A to było dla niej najważniejsze – że jesteśmy wszyscy razem, ona, ja, nasi synowie. Kiedy dostaliśmy przydział na dom przy Rajców 11 na Nowym Mieście, chodziliśmy tam często. Tak jak inni wybierali się całą rodziną na niedzielny spacer, tak my odwiedzaliśmy nasze przyszłe gniazdo rodzinne, patrzyliśmy, jak się buduje. A potem razem je wykańczaliśmy, sami zrobiliśmy z synami, a właściwie z młodszym synem, bo starszy nie miał do tego drygu, drewniane schody na górę. Hanka nam pomagała, jak wtedy przy jachcie.

Może się to wydać dziwne, ale zawsze uważałem swoje życie prywatne za udane, miałem dobry kontakt z synami, obaj świetnie się uczyli, mieli podobnie jak ja mnóstwo zajęć. Starszy syn, Waldemar, był typem mola książkowego, siedział wiecznie w bibliotekach, natomiast młodszy, Bogdan, złapał po mnie bakcyla żeglowania, często więc razem pływaliśmy. Wtedy się dużo ze sobą rozmawia. Z Hanką? Wiesz, nasze małżeństwo oczywiście zmieniało się w czasie, wcześniej istniała między nami silna więź fizyczna, ale jak się urodziły dzieci, Hanka się trochę ode mnie odsunęła. Na początku to przeżywałem, potem się z tym pogodziłem. Kochałem ją, ale to już była inna miłość niż przedtem, raczej głęboka przyjaźń, co jest nie mniej cenne. Dlaczego mam nie wierzyć w to, co mówię? Absolutnie w to wierzę. A poza tym w życiu nie ma nic stałego, wszystko się zmienia. I nasz związek się zmieniał.

Po wylądowaniu w Ameryce jakbyśmy się na nowo odnaleźli. No tak, ona po raz kolejny uratowała mnie z opresji, ze śmiertelnej opresji, ale nie to było powodem odrodzenia się wzajemnych uczuć. Znaleźliśmy się na obcym gruncie, w pełnej izolacji od dawnego życia, od języka. Nawet nie wolno nam było, ze względów konspiracji, rozmawiać ze sobą po polsku, udawaliśmy Rosjan. W takiej sytuacji szuka się oparcia w bliskiej osobie, zaczęliśmy spać znowu w jednym łóżku. I nagle jakby powróciły czasy narzeczeńskie… Hanka w papierach nie była moją żoną, dano jej inną tożsamość. Choć to nie miało znaczenia, zaczęliśmy się sobie przyglądać, jakby poznawać od nowa. W czasie tych pierwszych lat w Stanach nastąpił renesans naszych uczuć, potem, no cóż, to się zmieniło. Nie, powodem nie były inne kobiety, chociaż zdarzały mi się niewinne przygody. A propos, opowiem ci jedną zabawną historię.

Zacząłem pracę w Departamencie Obrony. Pracowałem w jednym pokoju, biurko w biurko, z młodą panią oficer. Miała na imię Wendy i dość nietypową urodę: rude kręcone włosy,

zadarty nos, piegi i wiecznie zdziwione oczy. Trochę się z nią przekomarzałem, czasami jedliśmy razem lunch, a kiedy ktoś wpadał do naszego pokoju, przedstawiałem ją jako swoją narzeczoną, jednocześnie puszczając do niej oko. W sztabie często się tak wygłupiałem z sekretarkami i one wiedziały, że to żarty, a moja amerykańska koleżanka traktowała moje zaloty śmiertelnie serio. Jak się w tym zorientowałem, od razu przeszła mi ochota do żartów. Ale Wendy, wyobraź sobie, odkryła, gdzie mieszkam, i któregoś dnia zjawiła się w naszym domu podczas mojej nieobecności. Oficjalnie byłem człowiekiem wolnym, a ponieważ Hanka przedstawiła się jej jako moja siostra, Wendy zaczęła się do niej wypłakiwać, jaki to ze mnie drań. Nie chcę się z nią o żenić, chociaż obiecywałem. Hanka się oczywiście wściekła, awantura była, szkoda mówić.

Jakie masz wątpliwości? Jeżeli masz jakieś wątpliwości, musisz mi o nich powiedzieć, skoro książka ma oddawać prawdę o moim życiu. Z tą konspiracją w sztabie? Przysięgam ci, że tak właśnie było, że taką propozycję złożyłem Amerykanom. Oczywiście, byłem naiwny, bo potem oni mi powiedzieli, że wśród nazwisk, które wymieniłem, byli ludzie dwulicowi, a ja ich traktowałem jak przyjaciół. Co to znaczy dwulicowi? No, modlili się pod figurą, a diabła mieli za skórą, czyli komunizm. Byli też tacy, którzy wbrew swoim przekonaniom, dla awansu, dla kariery gotowi byli sprzedać własną matkę. Ja wybitnie nie nadawałem się na szpiega. Nie byłem odpowiednio przezorny, ratowało mnie tylko to, że w sztabie panował nieopisany bałagan. Podawałem ci przykłady – nawet sam marszałek nie wiedział, że jest kierownikiem ćwiczeń, które się właśnie odbywają. Gdyby było inaczej, moje błędy, jakich popełniłem mnóstwo, bardzo szybko wyeliminowałyby mnie z gry.

Uważałem siebie za przedstawiciela polskiego narodu,

polskiego wojska i chciałem się spotkać z kimś z dowództwa NATO albo z amerykańskim sekretarzem obrony, a nie z oficerami z CIA, ale to było, delikatnie mówiąc, mało realne. Moi amerykańscy partnerzy, świetnie wyszkoleni, byli doskonałymi pracownikami operacyjnymi, nie mieli jednak zielonego pojęcia, co tak naprawdę im przekazuję. Wagę tych materiałów doceniono dopiero w Waszyngtonie, docenił je też prezydent Reagan, większość z nich bowiem trafiała na jego biurko.

Rozpoczęcie współpracy z nimi to był trudny moment w moim życiu, bo ta jedna decyzja pociągała za sobą inne, wiązała się z koniecznością wprowadzenia istotnych zmian w moim sposobie bycia. Wymyśliłem sobie, że zacznę się otaczać kobietami, ale to nie było wcale proste, gdyż wymagało wiele zachodu, na co po prostu brakowało mi czasu. Na terenie sztabu pracowały naprawdę ładne dziewczyny. Czasem jedną albo drugą przyciągnąłem do siebie, pocałowałem w policzek. To było proste. Ale już propozycja spędzenia razem czasu czy wspólnego wyjazdu za miasto wcale prosta nie była. Bo dziewczyna mogła się spodziewać dalszego ciągu, a tego wolałem uniknąć. Zastanawiałem się, jak to najlepiej rozegrać. I postanowiłem wypróbować swoją metodę na maszynistce ze sztabu, która zawsze mi się podobała. Miała coś ujmującego w sposobie bycia, wrodzoną wrażliwość, co bardzo ceniłem u kobiet. Nigdy nie znosiłem wulgarnych bab. No więc dziewczyna była interesująca, ale przedtem nie przyszłoby mi do głowy, aby proponować jej spotkanie. A teraz się z nią umówiłem. Poszliśmy na kolację, potem odwiozłem ją pod dom. I co dalej? – myślałem. – Trzeba to będzie w pewnym momencie uciąć, niech najpierw jednak wszyscy zauważą, że się z nią umawiam. Tylko że tutaj wystąpiła między nami niezgodność interesów, bo ja chciałem, aby jak najwięcej osób dowiedziało się o naszym flircie, a ona chciała to ukrywać. W końcu zrezygnowałem ze spotkań z nią.

Skończyło się na dwóch kolacjach w restauracji i pójściu do kina.

Potem w Klubie Aktora poznałem początkującą aktorkę, młodziutką i niedoświadczoną, toteż miałem duże opory, zarzucając na nią sieć. Bardzo łatwo dała się złapać. Nasze spotkania zwracały uwagę, bo mnie w tym klubie już znali, ale trochę z innej strony – zwykle wpadałem coś zjeść, wypijałem pięćdziesiątkę i już mnie nie było – a teraz zacząłem tam przesiadywać i na oczach wszystkich podrywać dziewczyny. O tej aktorce sporo się wtedy mówiło, bo zadebiutowała w teatrze od razu w głównej roli i miała niezłe recenzje. Obserwowano ją więc uważnie, a mnie przy okazji, ale o to właśnie chodziło. Posyłałem jej kwiaty, bywałem na spektaklach z jej udziałem, a potem zabierałem ją na kolację. Koledzy robili do mnie oko. „No i jak tam, ta aktoreczka?". „Bardzo w porządku" – odpowiadałem i też robiłem do nich oko. Któregoś wieczoru, gdy ją odwoziłem, zaproponowała, abym wstąpił do niej do domu, bo chce mnie przedstawić matce. Opierałem się, jak mogłem, ale dziewczyna się uparła. Przyznam, że było to dla mnie okropne przeżycie, czułem się jak ostatni łobuz, bo jej matka, naprawdę wspaniała pani, jeszcze młoda i chyba bardziej interesująca niż córka, rozmawiała ze mną jak z przyszłym zięciem.

– Krysia jest taka naiwna, tak łatwo ją oszukać – powiedziała – więc bardzo się cieszę, że pan jest i nad nią czuwa.

Już się więcej z tą aktorką nie umówiłem, chociaż dzwoniła do mnie wiele razy, napisała też list z prośbą o wyjaśnienia, co się stało, co takiego zrobiła, że nagle nie chcę jej znać. Postanowiłem milczeć, bo co jej mogłem powiedzieć? W końcu się zniechęciła i dała mi spokój. Ale to była dla mnie nauczka, aby nie zadawać się ze zbyt młodymi dziewczynami. W grę mogły wchodzić tylko mężatki, bo te miały na ogół mniej czasu, nie polowały na męża, a często, znudzone małżeństwem, szukały przygód. Ja, co prawda, przygód nie

szukałem, chodziło mi wyłącznie o alibi, ale pewnie dało się to jakoś pogodzić.

Drugie spotkanie „szpiegowskie” odbyło się mniej więcej po dwóch miesiącach. Ustaliliśmy możliwość porozumiewania się za pomocą pewnych sygnałów. Wysyłałem je, kiedy byłem gotowy ze swoim materiałem. Dla nich zorganizowanie spotkania ze mną było skomplikowaną operacją, angażującą wiele osób, aby zgubić ubeckie ogony.

Spotkanie odbyło się o zmroku, niedaleko parku na Pradze. Przyszedłem w cywilnym ubraniu, jak sobie życzyli, ale w jasnych spodniach, z daleka rzucających się w oczy.

Mój oficer prowadzący obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem.

– Jack (taki miałem pseudonim; ci, co się ze mną komunikowali, nie wiedzieli, jak się naprawdę nazywam), jesteś może myśliwym?

Pokręciłem przecząco głową.

– Ja jestem i powiem ci, że gdybyś był dziką kaczką, już bym cię ustrzelił!

Kiedy wiele lat później spotkaliśmy się w Ameryce, zaprosił mnie do swojego letniego domu i towarzyszyłem mu jako obserwator w polowaniu na kaczki. Przypomniałem mu wtedy naszą pierwszą rozmowę i obaj się z tego śmialiśmy. Tak, z wieloma ludźmi, z którymi pracowałem przez te wszystkie lata „wywiadowcze”, utrzymywałem potem kontakt. Zapraszali mnie do prywatnych domów, przedstawiali mi swoje żony, swoje dzieci, psy…

Zacząłem się zastanawiać, jak usprawnić przekazywanie dokumentów, aby nie odbywało się z ręki do ręki, bo mogło to grozić dekonspiracją. Oczywiście, każdy mój ruch w tej sprawie groził dekonspiracją, przez lata współpracy z Amerykanami moje życie każdego dnia wisiało na włosku, i byłem tego świadom. Doszedłem do wniosku, że powinniśmy

mieć stałe skrytki, i w tym celu wydzierżawiłem od chłopa kawałek ziemi niedaleko Mińska Mazowieckiego. Postawiłem tam coś w rodzaju letniego domku, prawdę powiedziawszy, była to drewniana buda, na którą nie potrzebowałem zezwolenia. Okolica była przepiękna, las, niedaleko rzeczka, nikogo nie powinno więc dziwić, że często tam przyjeżdżałem, i to nie sam.

Moja rodzina nie miała pojęcia o istnieniu tego miejsca, przywoziłem tutaj znajome kobiety. W tym względzie byłem już recydywistą, wiedziałem, jak się mam zachowywać, aby uwodzona przeze mnie niewiasta za wiele sobie nie obiecywała. I wiesz, przekonałem się, że wielu z nich wcale nie chodziło o seks.

Czasami wystarczyło dziewczynę przytulić, pogładzić po włosach. Nikt tu nikogo nie oszukiwał, chodziło o rozmowę, o przyjemne spędzenie czasu. Oczywiście, one tak to traktowały, bo dla mnie to było nadzwyczaj trudne zadanie – jak oddalić się na chwilę tak, by nie wzbudzić ich podejrzeń.

Generał Kiszczak przyznał potem w jednym z wywiadów prasowych, że kontrwywiad popełnił zasadniczy błąd, nie przesłuchawszy w porę tych wszystkich maszynistek i sekretarek, które w biały dzień wywoziłem samochodem służbowym za miasto. Gdyby je tak przycisnąć, wyszłoby na jaw, że te wyjazdy miały dziwny charakter… Że pułkownik Kukliński niczego właściwie od nich nie chciał, coś tylko opowiadał, żartował, a w którymś momencie znikał na chwilę w lesie i zaraz namawiał do powrotu do Warszawy. Tak właśnie było, tym razem mój dawny kolega wyjątkowo powiedział prawdę.

Koniecznie chcesz wiedzieć, gdzie były te skrytki? Początkowo w dziupli starego dębu. Wkładałem do niej pakunek i przysypywałem suchymi liśćmi, trawą. Potem zmieniłem kryjówkę, bo wyobraź sobie, wprowadziła się tam wiewiórka. Nie odstraszył jej ludzki zapach. Może uznała, że

to dobra lokalizacja, gdyż wszędzie wokoło rosły krzewy leszczyny, więc spiżarnię miała pod bokiem. Najdłużej przetrwała skrytka pod mostkiem. Wyjmowałem tam jedną cegłę i to był najbezpieczniejszy schowek. Rzeka, co prawda, nie była osłonięta drzewami, ale za to mogłem obserwować, czy w pobliżu nic podejrzanego się nie dzieje, a i sam nie wzbudzałem podejrzeń, bo nikogo nie powinno dziwić, że siedzę sobie nad wodą albo się kąpię. Zimą? Można spacerować, zatrzymać się na mostku, zejść na lód.

Te dziewczyny, którymi się otaczałem i które w pewnym sensie wykorzystywałem, to było naprawdę dla mnie trudne… przecież bez ich wiedzy wplątywałem je w swoje rozgrywki z systemem. Niemniej uważałem, że moja misja wymaga ofiar, ja sam narażałem się najbardziej. A one? Być może gdyby nie ja, przejechałyby po nich i po ich rodzinach sowieckie czołgi.

Raz jednak taka randka pod Mińskiem o mało nie skończyła się tragicznie i dla mnie, i dla mojej towarzyszki. Wyobraź sobie, coś tam wypiliśmy, pieczemy kiełbaski na ogniu, upał straszny, toteż oboje byliśmy dość skąpo odziani.

Nagle z lasu wyskakuje facet z bronią. Był po cywilnemu, sądziłem więc, że to tajniak.

– Ręce do góry! – krzyczy.

Wolno się podniosłem, całe życie przeleciało mi przed oczyma. Byłem pewien, że to koniec. Trochę się tylko dziwiłem, że działał sam. To nie są ich metody, zza tych krzaków powinno ich wyskoczyć dziesięciu, piętnastu. Oczekiwałem, że się to za chwilę stanie. I nagle słyszę:

– Heniek, daj spokój!

Okazało się, że to zazdrosny mąż, który nas śledził. Jakoś z tego wybrnąłem, a raczej dziewczyna sprawę załagodziła. Była w sztabie kreślarką, bardzo zdolną, często całymi nocami pracowaliśmy razem. Teraz zaczęła mu tłumaczyć, że to tylko niewinny wypad za miasto z kolegą z pracy. On początkowo

nie dowierzał, bo żona nie miała na sobie za wiele ubrania, ale potem przysiadł się do ogniska i w końcu razem odjechali. Skąd miał broń? Był, jak ja, wojskowym.

Wyobraź sobie, że ta historia błyskawicznie rozniosła się po sztabie, co było mi bardzo na rękę. Ona opowiedziała koleżance, ta puściła to dalej. Wszyscy się po cichu podśmiewali, że zazdrosny mąż jednej z kreślarek chciał się z Kuklińskim strzelać.

Posiadłem umiejętność pisania w języku wojskowym, krótko, zwięźle, pisałem więc większość wystąpień generała Jaruzelskiego. Trwało to przeszło sześć lat. Kiedyś w Budapeszcie zostałem wezwany do jego pokoju o jedenastej w nocy. Był już w piżamie.

– Dlaczego nie wstawiliście do mojego przemówienia zwrotu „manewr przyfrontowy", którego użyłem? – spytał lekko podniesionym głosem.

– Bo manewr przyfrontowy, obywatelu generale, oznacza, że dajemy Sowietom wolną rękę na wysyłanie naszych wojsk, gdziekolwiek będą chcieli. Aja rozmawiałem rano z Bułgarami i oni powiedzieli wprost, że jakbyśmy mieli jakieś problemy z Niemcami, to musimy sami sobie radzić, oni nie przejdą ze swojej strefy do naszej. To dlaczego my mamy z naszej się ruszać, obywatelu generale?

Zapadła cisza, po chwili kazał mi się odmeldować. Ale nie przywrócił już tego sformułowania w swoim wystąpieniu następnego dnia.

Jak już mówiłem, im dłużej pracowałem w Sztabie Generalnym, tym dobitniej docierało do mnie, że Wojsko Polskie nie służy narodowi, ale interesom ZSRR. Weź taki stan polskiej armii: prawie pół miliona żołnierzy. Utrzymaj to teraz, to było wielkie obciążenie dla naszej gospodarki, bo w grę wchodziło wyżywienie wojska, utrzymanie koszar, umundurowanie, przede wszystkim zaś uzbrojenie i zapasy

wojenne, a przecież byliśmy biednym krajem i podobno bezpiecznym pod skrzydłami wschodniego sąsiada, naszego Wielkiego Brata! Ale to właśnie nasz Wielki Brat nie godził się na redukcje w polskiej armii. Mieliśmy więc liczne wojsko, tyle że bardzo słabo uzbrojone. Na przykład w latach 1981-1985 musieliśmy zaciągnąć u Sowietów ponadmiliardowy kredyt w rublach na zakup militarnego złomu. Oni nie sprzedawali na kredyt uzbrojenia najnowszej generacji. Tak było w latach siedemdziesiątych z zakupem rakiet SAM do systemu obrony przeciwlotniczej. Sowieci chcieli nam je wepchnąć, przed czym broniliśmy się, wiedząc, że mają system nowocześniejszy. Zmusili nas jednak do kupna tych starych SAMów, i to w ogromnej ilości, jako rezerwy na wypadek wojny. I chyba w niecały rok po zakupie przez nas tych rakiet dowódca obrony powietrznej ZSRR i Układu Warszawskiego, marszałek Kołdunow, przedstawił nową ideę obrony przeciwlotniczej i zalecił usunięcie SAMów z naszego arsenału. Dasz wiarę? Ruscy polecili nam teraz system S 200 Vega, ale te rakiety też kupowaliśmy niechętnie, bo były piekielnie drogie i niezbyt nowoczesne. Więcej ci powiem, kiedy chcieliśmy je rozmieścić wokół Warszawy, Sowieci nie wyrazili na to zgody i polecili zainstalować je na Pomorzu. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta – były tam potrzebne nie nam, ale im, do obrony Bałtyku przed rakietami odpalanymi w Danii w kierunku Związku Radzieckiego.

Wiesz, przekazując Amerykanom informacje o nowoczesnym uzbrojeniu radzieckim, odczuwałem pewien rodzaj satysfakcji, że Ruscy nas wystawiali do wiatru, a teraz ja ich wystawiam. Ktoś mógłby się przyczepić, jakim sposobem mogłem przekazywać dane techniczne, skoro dokumentacja czołgu T-72 zajęłaby cały wagon. No więc nie przesyłałem Amerykanom takich wagonów, ale oni wcale nie potrzebowali kopiować nowych systemów broni, tylko chcieli wiedzieć, jak na nie reagować. Na przykład Sowieci zbudowali czołg

z pancerzem trudnym do przebicia z przodu, bo obliczali, że artylerii najłatwiej było oddać „strzał bezwzględny”, czyli trafienie wprost. Ale ponieważ taki czołg był bardzo obciążony z przodu i po bokach, od góry miał jedynie „skórkę”. I to była ta najważniejsza informacja potrzebna do tego, żeby powstał natowski samolot A10A służący do niszczenia czołgów z powietrza. I do tego Amerykanie potrzebowali mnie. Przekazałem im dokładną charakterystykę S 200 Vega, łącznie z systemem sterowania, a także radziecki system kodowania informacji – oczywiście, znowu nie dokumentację produkcji maszyn kodujących, ale istotne szczegóły techniczne. Potem system trzech bunkrów dowodzenia – kryptonim „Albatros” – zbudowanych w latach siedemdziesiątych. Podałem grubość betonowych murów, ich głębokość, sposób zawieszenia metalowego pomieszczenia dowództwa i w przybliżeniu lokalizację, z dokładnością do jednego kilometra. Te bunkry mogły pomieścić około trzydziestu osób, głównodowodzącego i jego bezpośrednią obsługę. Jeżeli chodzi o ten położony na południu, miałem najmniej dokładne informacje, ale Amerykanie pozyskali je z innego źródła. Spytałem ich już tutaj, w Ameryce, czy zlokalizowali wszystkie bunkry, i usłyszałem odpowiedź twierdzącą. Oczywiście, najdokładniejsze dane miałem o bunkrze zbudowanym w Polsce, ale nie będę ci o tym mówił, bo może teraz zostanie wykorzystany zgodnie z polskimi interesami. No tak, wiedzą o nim i Ruscy, i Amerykanie, ale trzeba dmuchać na zimne, może ktoś jednak o nim nie wie, na przykład bin Laden. Przekazałem Amerykanom ponad trzydzieści pięć tysięcy stron różnych dokumentów. Nigdy ich nie liczyłem, nie było to dla mnie ważne, ważna była ich zawartość. Amerykanie je liczyli, bo widocznie to lubią.

Istnieje w Waszyngtonie specjalny sejf z tymi dokumentami, do którego mam nieograniczony dostęp, właśnie z niego wziąłem mapę, aby ci pokazać oznakowanie dróg natarcia

wiodących przez Polskę w chwili wybuchu wojny. Pamiętasz? Drogi A, B, C, D, tak jest. Byłem dla Amerykanów swego rodzaju instrumentem wczesnego ostrzegania, szybszym od satelity. Mogłem natychmiast ich zawiadomić o sowieckiej gotowości do ataku. Wiesz, gdzie stoi kościół św. Anny na Krakowskim Przedmieściu? Tam jest wieżyczka. Stamtąd nadawałem swoje meldunki, a osoba, która je odbierała, siedziała w ławce kościelnej z książeczką do nabożeństwa, pogrążona w modlitwie. Tak to wymyśliłem. Ponieważ nie było mile widziane, aby oficerowie chodzili w niedziele na msze święte, ja, katolik, potrzebujący kontaktu z Panem Bogiem, bywałem w świątyni w dni powszednie, kiedy nie było tam ludzi. Opowiadałem o tym kolegom, którzy chyba nie bardzo wierzyli w moją pobożność, bo kiedy jeden z nich przypadkiem natknął się na mnie wychodzącego z kościoła, ze zdumienia aż przystanął.

– To ty naprawdę się modlisz?

– Naprawdę.

I oczywiście rozgadał o tym po całym sztabie. Stało się to dyżurnym tematem do żartów, a w dniu moich imienin koledzy zrzucili się na różaniec dla mnie.

Nawet mój szef to skomentował:

– Chyba nagrzeszyłeś, Ryszard, przyznaj się bez bicia.

Gdybym się przyznał, pewnie byś zemdlał z wrażenia – pomyślałem.

Nie, nie uważałem, że moja współpraca z Amerykanami jest grzechem. Ciążyło mi tylko, że muszę to ukrywać, kłamać nawet najbliższym. Ale taką mi przydzielono rolę w służbie ojczyźnie. No, masz rację, sam ją sobie przydzieliłem, to tym trudniejsze. Nikt mi nie kazał niszczyć spokojnego życia sobie i swojej rodzinie. Przecież moja kariera w wojsku świetnie się rozwijała, miałem dom w pięknej okolicy, jacht, słowem – wszystko, co jest potrzebne człowiekowi do szczęścia. A ja to zamieniłem na wieczny niepokój, na oglądanie się za siebie,

nasłuchiwanie, czy już po mnie idą. Dlaczego? Może dlatego, że nie chciałem być nawozem historii, że chciałem ją sam tworzyć.

David

W latach siedemdziesiątych byłem jeszcze na trzech czy czterech wyprawach jachtowych, które miały bardzo podobne cele jak te podczas pierwszego rejsu. Udając turystów, robiliśmy po drodze zdjęcia potrzebne Sowietom. Problem polegał na tym, że w razie wojny ich potężna Flota Bałtycka byłaby bezużyteczna, gdyby nie dało się jej przeprowadzić przez Cieśniny Duńskie na Morze Północne. Stąd wynikało nasze zainteresowanie cieśninami Skagerrak i Kattegat. Rosjanie potrzebowali panoramicznych zdjęć tego rejonu, ale mieli z tym trudności i dlatego poprosili o to polski wywiad. Moja załoga miała podczas kolejnych rejsów fotografować określony fragment szwedzkiego wybrzeża.

I wyobraź sobie, wyglądało to zupełnie jak w komedii sensacyjnej – my, polscy oficerowie udający turystów, płynęliśmy jachtem po Bałtyku wzdłuż szwedzkiego wybrzeża, a za nami, także udający turystów, innym jachtem płynęli oficerowie amerykańscy, między innymi znany ci już Henry „okularnik" i David Forden, z którym najdłużej utrzymywałem kontakt. Henry poznał mnie z Davidem chyba w Hamburgu i przedstawił go jako trzygwiazdkowego generała, upoważnionego do podejmowania wszelkich decyzji. Potem David sam mi się przyznał, że tylko pracuje na stanowisku odpowiadającym pozycji generała.

– CIA? – spytałem.

A on odpowiedział twierdząco. Był szefem słynnego Russia Department.

W czasie tych szpiegowskich rejsów spotykałem się więc z Amerykanami. Dyskutowaliśmy nad formą naszej współpracy, czego ja od nich oczekuję, czego oni ode mnie. Płynęli za nami, tam gdzie myśmy się zatrzymywali i schodzili na ląd, oni robili to samo. Pretekstem do samotnych wypraw do miasta był mój wysłużony opel. Henry kupował do niego części i wręczał mi je razem z paragonami ze sklepów.

W jednej z nadmorskich miejscowości w Szwecji mieliśmy zabawić dłużej, więc i ja miałem więcej czasu na spotkania z moimi amerykańskimi kolegami. Siedzieliśmy z Davidem pod parasolem i piliśmy piwo, było burzowo i parno, obaj się pociliśmy i ocieraliśmy chusteczkami pot z czoła. Tak to zapamiętałem, ten podobny gest w tym samym niemal czasie. Jak w komedii braci Marx, tylko że to nie była komedia, lecz dramat z niewiadomym zakończeniem.

David próbował mi to uświadomić, uważał, że za bardzo się narażam.

– Skoro podjąłem się tej misji, chcę ją wykonać jak najlepiej – powiedziałem.

– Ale możesz rozłożyć to w czasie, zamiast codziennych komunikatów – jeden na tydzień.

– No świetnie – odrzekłem. – Zamiast kilku sowieckich pocisków z głowicami jądrowymi – jeden. Tylko co z tego może wyniknąć?

David się uśmiechnął.

– Richard, czy w historii twojego kraju był już bohater podobny do ciebie?

Ja też się uśmiechnąłem.

– Nawet nie wiesz ilu. Mieliśmy kiedyś miasto o nazwie Lwów i to miasto w dziewiętnastym roku przed atakiem nacjonalistów ukraińskich obroniły dzieci, dosłownie dwunasto-, trzynastoletnie. Śpiewa się o nich piosenki.

– *Died so that we tonight live in freedom* – wypowiedział wolno David. – Razem z nimi leżą nasi lotnicy, Graves, Kelly

i MacCallum. Oni też zginęli za Lwów. Niestety, ich pomnik na Cmentarzu Łyczakowskim zniszczyli komunistyczni barbarzyńcy.

To był moment wielkiego porozumienia, braterstwa broni. Ten mężczyzna z innego świata, o tak odmiennym od mojego życiorysie, wydał mi się nagle kimś bliskim. I nie było to złudzenie, tak się zaczynała nasza prawdziwa męska przyjaźń.

David pisywał do mnie prywatne listy, był, jak ja, zamiłowanym żeglarzem. Napisał mi kiedyś, że jego marzeniem jest pokazać mi swój kraj, Stany Zjednoczone. Chciałby mi też przedstawić swoją żonę i synów. Nie wiedząc, że stanie się to tak szybko, odpisałem mu, że chętnie go kiedyś odwiedzę, może na emeryturze, kiedy wybiorę się jachtem w wymarzoną podróż dookoła świata. Już nie popłynę w taką podróż, planowaliśmy ją wspólnie z moim młodszym synem, Bogdanem.

Te letnie wyprawy jachtowe urwały się z chwilą, gdy u szefa sztabu zjawił się szef kontrwywiadu i ostrzegł, że jeśli nie przerwiemy rejsów, on nie gwarantuje, czy nie zostaną przekazane na Zachód tajemnice wojskowe. Według niego tylko wywiad i kontrwywiad mogły swobodnie poruszać się poza granicami, oficerowie operacyjni mieli zaś zbyt dużą wiedzę o kuchni naszej armii.

Zaniepokoiłem się jego wizytą, bo na złodzieju czapka gore… Tak, byłem złodziejem wielu tajemnic, ale złodziejem był też Prometeusz, który wykradł z Olimpu ogień i podarował go ludziom. Spotkała go straszna kara? A czy mnie nie spotkała gorsza? Straciłem obu synów. Gdybyśmy nie uciekli, gdybyśmy pozostali w Polsce, oni by teraz żyli. Tak, ja bym z pewnością nie żył, ale to byłoby bardziej sprawiedliwe. Wobec kogo? Wobec mojej rodziny.

Większość informacji przekazywałem Amerykanom w formie

pisemnej. Przy ich opracowywaniu korzystałem najczęściej z materiałów oryginalnych, czasem z kopii, ale też z własnych opracowań sporządzanych na podstawie dostępnych mi oryginałów. W siedemdziesiątym siódmym roku podczas spotkania ministrów obrony Układu Warszawskie go w Budapeszcie o mało nie zostałem złapany za rękę. Sowieci przedstawili tam koncepcję wspólnej obrony powietrznej. Ministrów obrony zapoznali z całym systemem kontroli, ale na papierze dali nam tylko polski wycinek. Na ścianie sali posiedzeń w węgierskim Ministerstwie Obrony wisiała ogromna plansza pokazująca schemat całego systemu. Zastanawiałem się, jak to skopiować. Na szczęście, co godzinę robiono dziesięciominutową przerwę i wszyscy wychodzili z sali. Wyszedłem razem z innymi, ale po chwili wróciłem i zacząłem odrysowywać ten schemat. Tak byłem zajęty, że zupełnie nie zwracałem uwagi, co się dzieje dokoła. I nagle czuję czyjąś dłoń zaciskającą się na moim ramieniu.

– *A wy czto, pałkownik, diełajetie?*

Zobaczyłem sowieckiego pułkownika KGB.

W głowie pustka, kolana miękkie.

– Kopiuję system – odpowiadam spokojnie, chociaż wiele mnie ten spokój kosztował.

Ten poczerwieniał na twarzy. Zły znak, zaraz zawoła straż i każe mnie aresztować.

– Po co to wam potrzebne? Wiecie, że to zabronione?

Na co ja bez zastanowienia mówię:

– Dostałem takie polecenie od swojego szefa, generała Jaruzelskiego.

Brzmiało to mało prawdopodobnie, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. Spojrzał na mnie spod ciężkich opuchniętych powiek.

– *Uchoditie* – usłyszałem.

Przez kilka kolejnych dni żyłem w strasznym napięciu. Wystarczyło, aby tamten spytał generała, czy to prawda,

i byłbym skończony. Tymczasem nic się nie działo. Jaruzelski traktował mnie jak dawniej, siedziałem obok niego w czasie posiedzeń, przygotowywałem jego wystąpienia. Ale to mogła być tylko gra. Może byłem obserwowany, może mnie przejrzeli i teraz czekają, aż popełnię błąd.

Po powrocie do Warszawy wciąż miałem się na baczności, lecz mijały tygodnie i nikt nie przychodził mnie aresztować. Znowu zagłębiłem się w swojej pracy. David stale próbował mnie powstrzymywać przed podejmowaniem zbyt ryzykownych działań, raz nawet był już w drodze do Warszawy, żeby odbyć ze mną osobistą rozmowę i przemówić mi do rozsądku. Ale ja wiedziałem, co robię i na co się narażam. To była moja misja. Oni tylko mi pomagali, o tym, co im przekazywałem, decydowałem sam, nie wiedzieli przecież, do jakich materiałów będę miał dostęp.

Od początku Amerykanie traktowali mnie jak przyjaciela, a nie jedynie źródło informacji. Opracowano nawet plan ratunkowy mojego wyjazdu z Polski, w który zaangażowano wiele osób. W razie niebezpieczeństwa mogłem dzwonić pod kilkanaście numerów telefonicznych, mogłem też wejść do ich ambasady i powiedzieć, że nazywam się Jack Strong, to by mi otworzyło wszystkie drzwi. Pod koniec miałem klucz od bocznego wejścia do budynku. Te plany ewakuacyjne nie obejmowały mojej rodziny, tylko mnie. Jak się miało okazać, był to błąd. Potem, już w Ameryce, też tylko ja otrzymałem dożywotnią ochronę. Dlaczego nie wystąpiłem o ochronę dla swoich bliskich? Z paru powodów. Może później o tym powiem.

Musisz pamiętać, że mnie nikt nie zwerbował, z własnej inicjatywy podjąłem współpracę z CIA, i to w momencie, kiedy Związek Radziecki był u szczytu swojej potęgi militarnej, a Amerykanie po klęsce w Wietnamie właściwie nie byli zdolni do obrony, włączyli wsteczny bieg. Próbowałem ich obudzić, wskazać na realne zagrożenie ze strony sowieckiego

niedźwiedzia i myślę, że w dużym stopniu mi się to udało. W końcu miałem informacje z pierwszej ręki, wprost z Kremla, byłem oficerem łącznikowym pomiędzy Wojskiem Polskim a armią sowiecką. Zwykle pełniłem też funkcję sekretarza polskiej delegacji na posiedzeniach Układu Warszawskiego. Moja współpraca z Amerykanami otrzymała najwyższą klauzulę tajności jako operacja GULL, informacje ode mnie otrzymywała grupa sześciu VIP-ów z tak zwanej listy BIGOT i prezydent Stanów Zjednoczonych. Mówię o tym, żebyś miała pojęcie, jak wielkiemu podlegałem ciśnieniu i jak odpowiedzialnie musiałem postępować. Gdybym jakoś nawalił, nie zdążył na czas ze swoimi materiałami, mogłoby to mieć nieobliczalne konsekwencje.

Amerykanie nazywali mnie Freedom Fighter.

I jako amerykański Freedom Fighter cieszyłem się paradoksalnie zaufaniem polskich i sowieckich generałów, do tego stopnia, że w siedemdziesiątym piątym roku ubiegłego wieku – jak ten czas leci! – zostałem oddelegowany na elitarny kurs dowódczy do Akademii Sztabu Generalnego im. marszałka Woroszyłowa w Moskwie.

Moskwa

Tam właśnie spotkałem na korytarzu moją dawną znajomą, Olgę, była wykładowcą w akademii. Ucieszona ze spotkania zaprosiła mnie na swoją daczę pod Moskwą, a ja przyjąłem zaproszenie, nieświadom, jakie z tego wyniknie zamieszanie. Mąż Olgi, wysoki oficer KGB, przez jakiś czas był także „dyplomatą" i wraz z rodziną przebywał w Stanach Zjednoczonych, i nie tylko, jak się potem miało okazać. Ich córka, Natasza, studiowała romanistykę. Nieco zdziwiony spytałem, dlaczego wybrała akurat romanistykę, a Olga odpowiedziała: „Bo francuski to romantyczny język". Jak się później przekonałem, Natasza też była romantyczna, w każdym razie bardziej niż jej ojciec, który wiozący mnie samochodem na letnisko, pokazał mi mijany po drodze dom.

– Tu pracował pułkownik Oleg Pieńkowski. Okno na drugim piętrze. Mówi wam coś to nazwisko?

A tobie coś mówi? Właśnie, mało ludzi o nim wie. O szpiegach nigdy nie jest głośno. Pułkownik Pieńkowski pracował dla Amerykanów w okresie kryzysu kubańskiego, został zdemaskowany i poniósł straszliwą karę. Jego dawni towarzysze spalili go żywcem… Żebyś wiedziała, skrępowanego, obnażonego do połowy, wsunęli go, jak chleb do pieca, do hutniczej kadzi z surówką. Czynili to bardzo powoli, kręcąc przy tym film pokazowy dla przyszłych adeptów Akademii im. Woroszyłowa, aby raz na zawsze wybić im z głowy podobne pomysły.

Zastanawiałem się, dlaczego mąż Olgi, nadkładając sporo

kilometrów – z powrotem jechaliśmy dużo krótszą drogą – pokazał mi to okno. Czyżby KGB wzięło mnie na muszkę? Czy na wszelki wypadek chcieli mi wybić z głowy jakieś poczynania nie po ich myśli? Jak swoim studentom? Zanim przyjechałem do Moskwy, byłem dokładnie sprawdzony – przez nasze służby i przez ich służby. I nie powiem, że dobrze się czułem podczas tego sprawdzania. Prześwietlali mnie i mój życiorys ze wszystkich stron i nic na mnie nie znaleźli. W ich oczach byłem czysty, co nie znaczy, że nie podejrzany. Jeżeli chodzi o Sowietów, podejrzany był każdy.

Letni dom Borowkowów był pięknie usytuowany w lesie, nieopodal płynęła rzeka. Olga powiedziała mi w zaufaniu, że obok ma swoją daczę rodzina Michałkowów, wszyscy sławni – matka, ojciec, synowie. Ojciec był autorem hymnu radzieckiego, to naprawdę nie byle co. To więcej niż Oscar dla młodszego syna.

Siedzimy na werandzie, ciepły wieczór, w krzewach jaśminu śpiewają słowiki, a z domu wychodzi…

Olga, tyle że o dwadzieścia lat młodsza, taka jaką zapamiętałem z Rembertowa, a może i ładniejsza.

Olga miała trochę za krótkie nogi, za to jej sobowtór długie i smukłe. Mogłem je w pełni ocenić, bo Natasza była w szortach.

W czasie kolacji trochę się przekomarzaliśmy, my dwoje, dziewczyna miała cięty języczek i ciągle mi przygadywała, jakby wiedziała, co mnie łączyło kiedyś z jej matką. Może Olga jej się zwierzyła, chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, i chciała się na mnie zemścić? Zupełnie jak jej ojciec, który mi pokazał okno Pieńkowskiego. Podejrzewałem tu podtekst osobisty, ale generał mógł spać spokojnie, jego żona była dla mnie tylko młodzieńczym wspomnieniem. Co innego córka… Owszem, przyszła mi do głowy taka myśl, że Natasza mogłaby być moją córką. Jej wiek w przybliżeniu się zgadzał. Kiedy następnego dnia wybrałem się z Olgą na spacer nad rzekę,

spytałem mimochodem, ile Natasza ma lat. Olga pospieszyła z odpowiedzią, jakby bojąc się, że coś jeszcze na ten temat powiem. Mogłem odetchnąć z ulgą. Także z tego powodu, że nie robiła żadnych aluzji do przeszłości i traktowała mnie jak dobrego znajomego. Byłem jej za to wdzięczny.

Całkiem miło wspominałem weekend spędzony z rodziną Borowkowów, chociaż wolałbym go spędzić w towarzystwie samych pań, matki i córki. Gospodarz za bardzo mi się kojarzył z oknem Pieńkowskiego, a poza tym instytucja, w której pracował, nie należała do moich ulubionych. Na szczęście nie udzielał się towarzysko w czasie tych dwóch dni, podobno przywiózł ze sobą jakąś pilną robotę. Na samej górze miał swój gabinet i - sprawdziłem – światło paliło się tam długo w nocy. Dużo bym dał, aby móc zajrzeć do dokumentów, które generał miał w swoim posiadaniu. Olga powiedziała mi, że jej mąż ma bardzo odpowiedzialną pracę. Może w tych papierach było coś na marszałka sowieckiej armii i jego generałów. To dopiero uczta! Niestety, nie miałem najmniejszych szans się do nich dobrać.

W czasie kolacji pan domu, siląc się na uprzejmość, podtrzymywał konwersację.

– *Nu kak wam nrawitsa, towariszcz pałkownik w naszej priekrasnoj stranie?* – spytał, ocierając usta serwetką.

Ponieważ pytanie zawierało odpowiedź, grzecznie potaknąłem. Na tym rozmowa utknęła i ożywiła się dopiero po kilku kieliszkach.

– Ale i gdzie indziej na świecie też bywa pięknie – podjął temat gospodarz. – Widzieliśmy z Olgą wodospad Niagara. Myślałem, czy nie dałoby się go przenieść do nas, ale u nas wody też pod dostatkiem.

A potem nagle spytał:

– Byliście, pułkowniku, w Ameryce?

Od razu przyszło mi do głowy, że mnie testuje, czy przypadkiem nie pracuję dla wywiadu. Ale on nawet nie czekał

na odpowiedź, snując swoje opowieści o dalekich krajach. Macki KGB rozciągały się na cały świat, czego mój rozmówca był żywym dowodem.

Wydawało się, że z rodziną Borowkowów pożegnałem się na zawsze, bo mnie już na daczę nie zapra szali, a i ja nie miałem ochoty podtrzymywać z nimi kontaktów. Przy rozstaniu powiedzieliśmy sobie z Olgą:

– Zdzwonimy się.

– Tak, zdzwonimy się.

Choć oboje wiedzieliśmy, że nikt do nikogo nie zadzwoni.

Bardzo się więc zdziwiłem, kiedy pewnego dnia zawiadomiono mnie z dyżurki na dole, że mam gościa. Byłem zakwaterowany na terenie uczelni, w internacie dla studentów. Okazało się, że to Natasza. Lekko speszona powiedziała, że ma bilety na chór Aleksandrowa, a to rzadka okazja, bo oni stale jeżdżą po świecie i w Moskwie występują niemal gościnnie. To mogło być prawdą, bo tutaj, w Stanach, widziałem ich plakaty. A jakże, czerwona gwiazda krzyczała z ulicznych billboardów. I ludzie walili jak w dym. A gdyby tak pojawił się chór Wehrmachtu i umieścił na plakatach reklamowych swastykę, czy też byłyby takie zachwyty? W Ameryce może tak, tutaj nie wszyscy wiedzą, kim był Hitler. Sam widziałem w telewizji sondę uliczną, w której na pytanie o tego pana ktoś odpowiedział, że to idol muzyki country. Szczęśliwy naród, masz rację, chociaż i oni mają swoje rany, niektóre bardzo głębokie. Więc tutejsze zachwyty nad chórem Armii Czerwonej można zrozumieć, ale w Europie?

Poszedłem z nią na ten występ. Damie nie wypadało odmówić. Ale wiesz, jak kurtyna poszła w górę i zobaczyłem tych podstarzałych chórzystów w mundurach, na piersiach pełno medali, to mi się zebrało na wymioty. Grozą powiało, kiedy zaśpiewali pierwszą pieśń. Jak grzmot przetoczyło się po sali: *Wstawaj, strana ogromnaja, wstawaj na smiertnyj boj…*

To było przecież aktualne. I wciąż jest aktualne, bo nie wierzę, że Rosja podkuliła ogon na zawsze. Obserwuję Putina, on już ma ciągoty mocarstwowe.

Jeszcze jest słaby, ale przy pomocy Zachodu stanie na nogi i wtedy im pokaże. Taki ten Zachód jest, wyhodował Hitlera, Stalina, a teraz hoduje Putina. Dla Polski to bardzo, bardzo niedobre.

Wyszliśmy po koncercie na ulicę, deszcz leje jak z cebra. Chciałem zaprosić Nataszę na kolację, ale nie było taksówki, zanim jakąś znaleźliśmy, oboje byliśmy przemoknięci do suchej nitki. Wtedy zaproponowała, aby wstąpić do niej. Sądziłem, że to pretekst, mimo że naprawdę deszcz nas zaskoczył, ale deszcz deszczem, wieczór był ciepły, mogliśmy szybko się wysuszyć. Natasza wyglądała wzruszająco, z włosami poskręcanymi od wilgoci przypominała małą dziewczynkę. Ale na pewno nią nie była. Prowadziła ze mną gierki, jak wtedy na daczy. Okazało się, że mieszka z koleżanką. Chciały być niezależne od rodziców, dlatego na spółkę wynajęły mieszkanie.

Natasza się przebrała, ja wylałem wodę z butów i poszliśmy do restauracji. Potem odwiozłem ją do domu. Kiedy wróciłem na swoją kwaterę, byłem zadowolony, że tak to się potoczyło. Bliskość pięknej kobiety odbiera mężczyźnie rozum, a potem są z tego kłopoty. Co prawda, Natasza była dorosła, ale o tyle ode mnie młodsza, no i tatuś kagebista w tle…

ale być może za jego sprawą doszło jednak do romansu.

Któregoś dnia zadzwoniła i zaproponowała, abyśmy wybrali się we dwoje do nich na daczę. Rodziców nie ma w Moskwie, a matka zostawiła jej samochód. Chybabym odmówił, gdyby nie myśl, że może uda mi się zajrzeć do biurka na górze. Supertajnych dokumentów generał pewnie tam nie trzymał, ale jakieś na pewno były. Wiesz, gdyby to był jakiś sztabowiec, tak by mnie to nie podniecało, bo do tych materiałów miałem niezły dostęp, i to drogą służbową. Ale KGB pozostawało poza

moim zasięgiem.

No i pojechaliśmy. Natasza była nieco zwariowana, więc nie wiedziałem, jak się wieczór potoczy. Liczyłem się również z tym, że spędzę noc w pokoju gościnnym, jak za pierwszym razem. Ale tak się nie stało. Natasza zrobiła wspaniałą kolację, z kawiorem i szampanem, bo jak inaczej. A potem oświadczyła, że chce się ze mną kochać.

– Wiesz, Natasza – powiedziałem – mogłaś poczekać, aż ja ci to zaproponuję.

Nadąsała się.

– Ale ty jesteś zacofany!

W łóżku nie była jednak taka wyemancypowana, czułem jej nieśmiałość, naturalną uległość. Byłem oszołomiony bliskością jej ciała. Odtajałem od środka, na chwilę zniknęło napięcie, które nieustannie mi towarzyszyło, odkąd zacząłem prowadzić podwójne życie.

Kiedy zasnęła, zwinięta w kłębek, z kolanami pod brodą, postanowiłem zrealizować swój plan.

Wymknąłem się z sypialni i stąpając na palcach, dotarłem na górę. Drzwi do gabinetu generała miały solidny zamek i były zamknięte na klucz. Rozejrzałem się dookoła i przez okno w korytarzyku wydostałem się na dach. Znalazłem tam klapę prowadzącą na strych, a na strychu w podłodze była druga klapa, wprost nad gabinetem generała. Otworzyłem ją bez trudu i zeskoczyłem do środka.

Zamki w biurku łatwo puściły. Zacząłem fotografować dokumenty, nie przyglądając się specjalnie, co w nich jest. Chciałem jak najszybciej wrócić na dół.

Tak byłem tym pochłonięty, że nie słyszałem, jak Natasza weszła na górę i tą samą drogą co ja dotarła do gabinetu. To znaczy coś słyszałem, ale był silny wiatr i zdawało mi się, że to gałęzie uderzają o dach.

Nie mogło gorzej wypaść, po prostu przyłapała mnie na gorącym uczynku, fotografującego dokumenty jej ojca.

– Co ty robisz, Ryszard?

Myśli kłębiły mi się pod czaszką. Nie miałem pojęcia, jak z tego wybrnąć.

– Rozumiesz, jak to jest – zacząłem z głupim uśmiechem. – Zawsze chce się wiedzieć jak najwięcej o wspólnikach. Jestem Polakiem, twój papa to Rosjanin, a poza tym armia to armia. A KGB to KGB…

Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Chyba mnie nie zabijesz?

– Nie, Natasza.

Powiedziałem to z takim przekonaniem, że jej ściągnięta strachem twarz przybrała normalny wyraz.

– No to… rób, co masz robić, ja wracam do łóżka – rzekła i podciągnąwszy się na rękach, zniknęła na strychu.

Jeszcze stamtąd wyjrzała.

– Nie martw się o szuflady, on tutaj często pije i potem nie pamięta, czy wszystko pozamykał!

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Czy to nie była z jej strony jakaś gra. Wrócimy do Moskwy i wtedy mnie wyda albo nawet teraz wybiegnie, tu wszędzie dookoła były dacze, i sprowadzi kogoś. Nie starałbym się jej zatrzymać. Po prostu nie mógłbym jej zrobić krzywdy, raczej sam bym się zabił. Miałem na dole truciznę zaszytą w klapie munduru. Tak jak wtedy ten nabój, który trzymałem w poduszce. Pod tym względem byłem antyszpiegiem. Nie nadawałbym się na bohatera powieści szpiegowskiej ani filmu szpiegowskiego. Nie oglądałem zresztą takich filmów, miałem dość napięć na co dzień.

Myślałem o tym wcześniej, co bym zrobił, gdybym został złapany. I samobójstwo wydawało się jedynym wyjściem. Nie dlatego że byłem tchórzem czy uważałem, że robię coś złego. Byłem dumny ze swojej misji. Ale narażać się na tortury albo zrobić z siebie widowisko? To nie wchodziło w grę. Pewnie by mnie przetransportowali do Moskwy, bo głównie tajemnice Moskwy zdradzałem Amerykanom. Oni poinstruowali mnie,

abym w razie wpadki się nie bronił, bo to by pogorszyło sprawę. Dawali do zrozumienia, że mogliby mnie z tego wyciągnąć. Wiedziałem jednak, że wpadka oznacza śmierć. Ci tutaj nie poszliby na żadną wymianę. Nie wybaczyliby mi, że pod samym ich nosem działałem bez przeszkód przez tyle lat. W jednej tylko sprawie posłuchałem swoich amerykańskich przyjaciół – przestałem nosić broń.

Wtedy zszedłem ze strychu na dół i zajrzałem do sypialni. Natasza naprawdę spała, po dawnemu zwinięta w kłębek, oddychała równo, jak człowiek śpiący spokojnym snem. Ja już nie mogłem zmrużyć oka.

Rano rozmawialiśmy, jak gdyby nigdy nic, o głupstwach, byliśmy na spacerze nad rzeką, a po południu wyjechaliśmy do Moskwy.

Podwiozła mnie pod internat. Kiedy się żegnaliśmy, spojrzała mi prosto w oczy i rzekła:

– Nienawidzę go.

Domyśliłem się, że mówi o ojcu.

Przez kilka kolejnych dni żyłem podszyty strachem. Byle kroki na schodach przyprawiały mnie o szybsze bicie serca. Ale nikt po mnie nie przyszedł. Pod koniec tygodnia Natasza zadzwoniła. Umówiliśmy się na spotkanie.

Spotykaliśmy się przez cały ten czas, kiedy byłem w Moskwie. Zwykle wtedy, gdy jej koleżanka gdzieś wyjeżdżała albo gdy Natasza ją prosiła, aby przenocowała u rodziców. Nie, na daczę już nie jeździliśmy. Chyba oboje mieliśmy stamtąd złe wspomnienia. Nigdy później mnie nie spytała, dlaczego fotografowałem te materiały, mimo że z pewnością nie uwierzyła w bajeczkę, którą jej opowiedziałem. Była na to zbyt inteligentna.

W ciągu tego roku staliśmy się sobie bardzo bliscy, chociaż oboje wiedzieliśmy, że ta sprawa nie ma przyszłości. W Polsce czekała na mnie rodzina. Nigdy nie mówiliśmy o uczuciach, ale kiedy się żegnaliśmy, Natasza miała łzy w oczach.

Flesz

Wiosną siedemdziesiątego szóstego roku, wkrótce po moim powrocie z Moskwy, byłem o krok od zdemaskowania. Nie podawałem Amerykanom danych o obecności wojsk sowieckich w Polsce, bo dokumentacja na ten temat była potężną księgą z mapami rozmieszczenia ich sił. Wyniesienie dokumentów zakrawałoby na cud, tym bardziej że przechowywano je w archiwum. Nadarzyła się jednak okazja i mogłem dotrzeć do tej księgi. Nie byłem w stanie skopiować tylu map w swoim gabinecie, musiałem je wynieść poza teren sztabu, „wypożyczyć" Amerykanom i jak najszybciej odnieść na miejsce. Czasu było niewiele. Korzystając z przerwy obiadowej, nadałem pilny komunikat do kogo trzeba, że musimy się spotkać. Odpowiedź przyszła błyskawicznie. W umówionym miejscu czekał samochód. Przekazałem mapy i miałem się po nie zgłosić za dwie godziny. Ale kiedy już wysiadałem z auta, błysnął flesz. Ktoś z ukrycia zrobił mi zdjęcie.

Zacząłem oddalać się szybkim krokiem. Obejrzałem się po jakimś czasie, stwierdzając, że nikt za mną nie idzie. Ale to oczywiście nic nie znaczyło. Wchodziłem do różnych bram i podwórkami przedostawałem się na ulice. Miałem ciągle wrażenie, że jestem obserwowany. To było okropne uczucie, czułem się dosłownie jak zwierzyna łowna. Każdy mijany przechodzień mógł mnie zajść od tyłu i przystawić mi broń do pleców. W końcu dotarłem na dworzec Warszawa Śródmieście i w ostatniej chwili wsiadłem do wagonu kolejki podmiejskiej.

Wydawało mi się, że śledzący mnie ludzie zrobili to samo. Kiedy pociąg ruszył ze stacji Powiśle, przytrzymałem automatyczne drzwi i wyskoczyłem. Nikt nie wyskoczył za mną. To był moment ulgi, nie miałem jednak wcale pewności, czy ci ludzie, kimkolwiek byli, nie jechali za pociągiem samochodem i czy teraz nie mają mnie z powrotem na muszce.

Długi czas krążyłem po nabrzeżu, a potem wszedłem na most Gdański i pustą teczkę zrzuciłem do wody. Piechotą dotarłem do postoju taksówek, każąc taksówkarzowi zawieźć się na Dworzec Główny, gdzie całą dobę czynny był salon fryzjerski. Fryzjer ostrzygł mnie najkrócej, jak tylko mógł. Zadzwoniłem też do syna i poprosiłem go, aby zabrał mój samochód zaparkowany w pobliżu miejsca, w którym przekazywałem mapy Amerykanom. Powiedziałem mu, że trochę wypiłem i nie chcę sam prowadzić.

Do domu wróciłem nad ranem. Zdjąłem cywilne ubranie, które miałem na sobie, i zacząłem ciąć je na kawałki. Wtedy z góry zeszła Hanka, w nocnej koszuli, mocno zaspana.

– Co ty robisz? – spytała ze zdumieniem, widząc, że niszczę marynarkę.

Przez chwilę milczałem.

– To są sprawy zawodowe, nie chciałbym o tym mówić – rzekłem wreszcie.

– To teraz w wojsku każą ciąć żyletką ubranie na kawałki?

Nie odpowiedziałem, ale ona, zawsze taka małomówna, nie dawała za wygraną.

– Ryszard, czy ty masz jakieś kłopoty?

Może powinienem jej powiedzieć, zanim tu po mnie przyjdą – przebiegło mi przez myśl. Ale to byłoby tak, jakbym częściowo przerzucał na nią odpowiedzialność. Nie, nie powinna wiedzieć o niczym. Tylko w ten sposób mogłem ją chronić.

– Idź spać – odezwałem się ostro.

Chwilę jeszcze postała, a potem się odwróciła i zaczęła

wchodzić na schody. Zrobiło mi się jej żal, zrobiło mi się żal nas obojga, bo odgradzała nas moja tajemnica. Kiedy wyciągałem rękę do żony, miałem uczucie, że czynię to nad rwącą rzeką, i musiałem bardzo uważać, aby jej nie wciągnąć w ten nurt.

Zostałem sam i zniszczyłem do końca ubranie, które miałem na sobie w chwili, gdy mnie sfotografowano. Spaliłem je w kominku. Kiedy tak wrzucałem strzępy materiału do ognia, ogarnęło mnie uczucie wszechogarniającego zmęczenia. Czułem się jak Mickiewiczowski Konrad Wallenrod, który przyjął na siebie ciężar odpowiedzialności za podjętą samotnie decyzję. Rozumiałem go jak nikt, z tym że on prowadził swoją armię na pewną śmierć, a ja tego właśnie za wszelką cenę starałem się uniknąć. Tą ceną było moje życie.

Usiadłem w fotelu i czekałem. Nadszedł ranek, nikt po mnie nie przyszedł. Nie było kroków na ganku, nie było walenia w drzwi.

Obudzili się moi synowie, wstała też Hanka, słyszałem, jak się krząta po kuchni. Te zwykłe poranne czynności – brzęk rozstawianych talerzy, upuszczona na podłogę łyżeczka, rozchodzący się po domu zapach kawy – wszystko to wydawało się czymś zdumiewającym, jakby już nigdy miało mnie nie dotyczyć. A jednak życie toczyło się dalej i ja w nim uczestniczyłem.

Wypiłem tylko kawę i wyruszyłem do pracy, przedtem jeszcze zajrzałem do kościoła św. Anny, aby nadać wiadomość.

Jeżeli mnie nie aresztują, o godzinie pierwszej po południu zgłoszę się po mapy. Jack Strong

Ktoś w sztabie mógł już się zorientować, że mapy zniknęły. Ale żeby to sprawdzić, musiałem się tam najpierw znaleźć.

Kiedy wszedłem do holu, zauważyłem, że obok strażnika stoi jakiś cywil. Byłem pewien, że czeka na mnie. Powstrzymałem

się ostatkiem woli, aby po prostu nie uciec. Czując, jak po plecach spływają mi lodowate krople potu, wolnym krokiem minąłem strażnika. Ten osobnik w jasnym płaszczu z podniesionym kołnierzem wbił we mnie wzrok, ale mnie nie zatrzymał. Dotrwałem do przerwy obiadowej i taksówką pojechałem do miejsca, w którym pozostawiono dla mnie mapy. To była portiernia pewnej instytucji cywilnej. Nie mogłem odebrać dokumentów z ręki do ręki, bo byłem w mundurze i za bardzo rzucałem się w oczy. Na szczęście, wydano mi aktówkę bez problemu.

Wróciłem do sztabu. Musiałem jeszcze raz przejść obok strażnika i wspiąć się schodami na trzecie piętro, gdzie mieścił się mój gabinet. Pół godziny później wezwano mnie do szefa. Zacząłem się tłumaczyć, dlaczego nie zdążyłem z opracowaniem, ale on stwierdził, że to nie takie pilne, i zlecił mi coś innego. Wróciłem do siebie, tam czekał już na mnie oficer, który zażądał zwrotu wypożyczonej księgi. Dokładnie sprawdził, czy czegoś nie brakuje, i pokwitował odbiór dokumentu.

Do dziś nie wiem, czy to wszystko było tylko wytworem mojej wyobraźni, czy naprawdę błysnął flesz. Mógł to być czysty zbieg okoliczności, jakiś turysta na przykład robił pamiątkowe zdjęcie kamienicy lub pomnika, ale mogło być też inaczej. Amerykanie byli pilnie śledzeni, może nie udało im się zgubić „ogona”.

Myślisz, że to sami Amerykanie mnie sfotografowali? Po co mieliby mnie szantażować? Nie byłem zwykłym szpiegiem, któremu się płaci za wykonane zadanie. Byłem ich partnerem do gry z Sowietami.

Byłem tym trzecim. Oni zresztą zażądali zamrożenia naszych kontaktów, dopóki się sprawa nie wyklaruje. Po miesiącu sam się do nich zgłosiłem i musiałem ich namawiać do wznowienia współpracy. Obawiali się o moje życie, a nawet proponowali mi ewakuację do Stanów.

Drogi Ryszardzie – napisał do mnie David – *ty już tyle zrobiłeś dla zachowania pokoju na świecie, że należy ci się odpoczynek.*

Ale nie chciałem o tym słyszeć.

Po tygodniu rozmów poczuliśmy się oboje nieco zmęczeni. Pułkownik zaproponował, abyśmy zrobili dzień przerwy. Mieliśmy rozmawiać o głupstwach, oglądać ciekawe miejsca i cieszyć się życiem, ale niezbyt nam to wychodziło. Gdzieś nad naszymi głowami unosiła się ciężka atmosfera, wywołana nagraniami. Przeszłość zagarnęła nas z ogromną siłą, nie mogliśmy się od niej uwolnić. W pewnej chwili pułkownik powiedział:

– Uciekając z Polski, musiałem zostawić swoją sukę Kamę. Minęło tyle lat, a ciągle mam wrażenie, że ona mnie skądś woła.

– Dlaczego ją zostawiłeś?

– Bo nie mogłem jej zabrać ze sobą. Oczy mu zwilgotniały.

– Trzeba ją było przechować w ambasadzie u Amerykanów, potem by ci ją całkiem legalnie przywieźli – powiedziałam. – Nie miała przecież wypisane na pysku, kto jest jej właścicielem.

Pułkownik nic nie odpowiedział, dopiero pod koniec dnia, przy kolacji, wrócił do tematu.

– Ja nigdy nikogo o nic nie prosiłem, taką mam zasadę. Pierwszy raz się złamałem, stawiając warunek, że wyjadę z Polski tylko z rodziną.

– Ale prośba o ochronę dla rodziny to już było za dużo? – Ponieważ milczał, ciągnęłam dalej: – Jacy ci Amerykanie są niedomyślni. Ty ich nie poprosiłeś, więc nie dali ochrony twoim synom.

Do końca kolacji nie rozmawialiśmy już o tym, a kiedy się żegnaliśmy pod drzwiami mojego pokoju, spytałam:

– Co się stało z Kamą po twojej ucieczce?

– Marnie skończyła.

Patrząc, jak pułkownik oddala się korytarzem, myślałam, że los niczego mu nie oszczędził.

Toast

Rosjanie świetnie się orientowali, że nie darzę ich sympatią. Ale wiedzieli też, że w polskim wojsku nie mają zbyt wielu prawdziwych przyjaciół. Kiedyś w Moskwie – to był rok bodajże siedemdziesiąty dziewiąty – uczestniczyłem w negocjacjach na temat statutu Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego na czas wojny. Jeszcze w Warszawie wypowiadałem się za odrzuceniem sowieckiego projektu jako niezgodnego z polskim interesem narodowym. Po zakończeniu tych rozmów na Kremlu odbyło się przyjęcie. Wznoszono wszystkie obowiązkowe toasty: za przywódców Związku Radzieckiego i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, za partie komunistyczne, za ministrów obrony i tak dalej. Kiedy w karafkach już prawie zaświtało dno, generał pułkownik Podgorny rozlał ostatnie krople i, podnosząc kielich do góry, powiedział:

– *Wy znajetie, czto u Sowietskogo Sojuza druzja wo wsiom mirie i on sumiejet ich wsiech błogodarit'. No u niego jest wragi i ludi, kotoryje płocho otnosiatsia k Stranie Sowietów. Ona wsiegda o nich pomnit*. – Tu stuknął się ze mną kielichem, aż szkło zadźwięczało. – *My znajem, czto pałkownik Kukliński nie s nami. On protiw nam. Wasze zdorowie, połkownik Kukliński!*

Zapadła cisza.

Po powrocie do kraju złożyłem meldunek o tym, co tam zaszło. Nie mogłem sprawy przemilczeć, bo świadkiem toastu był polski generał Stanisław Antochnie. Zameldowałem więc

o tym generałowi Siwickiemu, który był wtedy szefem sztabu. Nie wiedziałem, jak to wpłynie na moj ą sytuacj ę, ale nie mogłem udawać, że nic się nie stało. Szef rzucił okiem na raport, który mu podsunąłem, i tylko westchnął: – Żebyś ty wiedział, co oni o mnie wygadują!

Z Nataszą? W trakcie późniejszych wizyt w Moskwie już się z nią nie widywałem. Wpadałem na krótko i miałem wypełniony czas, ona też była zajęta. Wyszła za mąż, urodziła dziecko. Rozmawialiśmy kilka razy przez telefon, ostatnio na pół roku przed moją ucieczką do Ameryki. Powiedziała mi, że jest szczęśliwa. Dobrze jej się układało z mężem. Był wykładowcą na uczelni, na której i ona została po studiach. Właśnie pisała doktorat, tak, w tym romantycznym języku francuskim.

Wiesz, naprawdę byłem optymistą, uważałem, że jeszcze doczekam chwili, kiedy polska armia będzie broniła naszych narodowych interesów. Skąd się to brało? Ci Rosjanie, z którymi miałem do czynienia, a byli to wyżsi oficerowie, też przewidywali upadek systemu.

– Wy w Polsce narzekacie, a u was jest bardzo dobrze w porównaniu z tym, co u nas. *Sowietskij narod tierpliwyj* – powtarzali – ale każda cierpliwość ma swoje granice.

Mnie podobne wypowiedzi napawały nadzieją, że oni też pójdą naszą drogą. No, masz rację, powinienem powiedzieć moją drogą, bo wtedy tylko ja się na to zdecydowałem. Ale gdyby co, za mną poszliby inni.

Co dokładnie robiłem w sztabie? Byłem szefem I Oddziału Planowania Strategiczno-Obronnego. Dziewięćdziesiąt procent czasu przeznaczałem na normalne obowiązki sztabowe. Nie byłem wymagający wobec moich podwładnych. Moja wiedza, większa od tej, którą posiadali wszyscy marszałkowie i generałowie razem wzięci, brała się przede wszystkim stąd, że przygotowywałem polskie siły zbrojne do prowadzenia

wojny z Zachodem, ale była także efektem mojej metody pracy z zespołem. Zwykle tak bywa, że szef rozdziela zadania, potem zbiera robotę i na jej podstawie opracowuje własną wersję. Ja postępowałem odwrotnie – sam wykonywałem to, co było potrzebne, i dawałem moim podwładnym do przestudiowania. I jeśli nawet najgłupszy oficer z całej szesnastki służących w moim oddziale rozumiał, w czym rzecz, oznaczało to, że mogę popychać sprawę dalej.

Pamiętam, miałem przygotować wystąpienie jednego z generałów na temat budżetu. On sam przedstawiał to kilka razy i za każdym razem szef sztabu odsyłał go w diabły. Przysiedliśmy nad tym z jednym z kolegów i na rano dokument był gotowy. Po zapoznaniu się z nim generał zaszedł do mnie. Pokój był jeszcze pełen dymu po nocnej pracy – kopciłem, niestety, jak widzisz, ciągle kopcę jak komin, i mój koleżka też – więc na widok gościa chciałem otworzyć okno.

– Pułkowniku, zamknijcie okno!

– Nie chcę uwędzić obywatela generała.

– Zamknijcie – powtórzył – bo taki orzeł jak wy może stąd wylecieć!

Nawet nie wiedział, jak trafne było to spostrzeżenie.

Powiem ci, że różni generałowie pojawiali się u mnie, chcieli przechodzić na ty. Ale ja się wymawiałem. Moim najlepszym przyjacielem był sierżant i z nim byłem po imieniu. Dlaczego sam nie awansowałem na generała? Widzisz, nie zostałem generałem, bo gwiazdki generalskie dostawali głównie oficerowie, którzy dowodzili przedtem jednostką liniową. Dostałem propozycję objęcia stanowiska szefa sztabu 4. Dywizji Zmechanizowanej w Krośnie Odrzańskim, z perspektywą zostania dowódcą dywizji, bo jej dotychczasowy dowódca miał przejść na stanowisko szefa sztabu Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Odmówiłem, zasłaniając się stanem zdrowia żony, a w rzeczywistości nie mogłem odejść z Warszawy, bo to by przerwało współpracę z Amerykanami.

Jaka schizofrenia? Co masz na myśli? Że budowałem zamki z piasku, aby je potem burzyć? To właśnie było najtrudniejsze. W pocie czoła pracowałem dla wroga, występując skrycie przeciw niemu. Ale nie dało się inaczej. Gdybym nie stał się niezastąpionym człowiekiem w sztabie, nie miałbym dostępu do tajemnic wojskowych, a przecież o to głównie chodziło. Wiesz, jak generałowie pracują, palcem wskazującym: ty zrobisz to, a ty tamto. Ja za nich odwalałem czarną robotę, dlatego mnie wysłali do Moskwy do Akademii im. Woroszyłowa. To była akademia wyłącznie dla generałów Układu Warszawskiego, dla przywódców, a ja nim przecież nie byłem.

Halinka

Poznałem ją wiosną siedemdziesiątego ósmego roku. Pamiętasz opowieść o moim przyjacielu doktorze, jak to wybraliśmy się w dziewiczy rejs po Mazurach? Właśnie, ten z Wilna. Otóż, od czasu do czasu pływaliśmy moim jachtem, który stał w porcie w Kołobrzegu i którym mój przyjaciel się opiekował. W nocy z piątku na sobotę wyjechałem z Warszawy i przed południem stawiłem się na miejscu. Pogoda dopisała, był niemal letni słoneczny dzień. Kręciłem się przy jachcie, coś tam podmalowywałem, bo po dłuższej nieobecności odkrywałem widoczne ślady jego starzenia się. No cóż, miał swoje lata.

Patrzę, od strony portu idzie dziewczyna. Wysoka, smukła, ciemne włosy związane w koński ogon. Miała na sobie białą bluzę z kapturem i szorty.

Pomyślałem z odrobiną melancholii, że takie panienki są już poza moim zasięgiem. Zbliżałem się niebezpiecznie do pięćdziesiątki, a więc za chwilę mówiłoby się o mnie: starszy pan, a ona prześliczna, taka świeża, naprawdę patrzyłem na nią z przyjemnością i było mi przykro, że zaraz mnie minie i zniknie z mojego życia na zawsze. Ale niespodziewanie zatrzymała się i spytała z uśmiechem:

– Pan pułkownik Kukliński? – Kiedy zdumiony potwierdziłem, dodała: – Nazywam się Halina… Wujek mnie tu przysłał, mam z panami popłynąć.

Po jakimś czasie zjawił się mój przyjaciel i wypłynęliśmy w morze na cały dzień. Dziewczyna dzielnie znosiła niewygody

rejsu. Na jachcie, jak ci mówiłem, panowały spartańskie warunki, w razie potrzeby wystawiało się gołą pupę za burtę, ale i bez tego przy większej bryzie było się mokrym od stóp do głów.

Trochę rozmawialiśmy. Zle oceniłem jej wiek, nie dawałem jej więcej niż osiemnaście, dwadzieścia lat, a ona miała koło trzydziestki. Mieszkała, jak ja, w Warszawie i z wykształcenia była synoptykiem. Gdy następnego dnia wracałem do Warszawy, zabrała się ze mną. Po drodze zatrzymaliśmy się w jakiejś przydrożnej knajpie, gdzie z zakąsek było tylko zeschłe ze starości jajko na twardo i jedna porcja śledzia w oleju, a na gorąco – flaki i bigos. Ponieważ trzeba było dużo odwagi, żeby zjeść takie danie, zamówiliśmy tylko herbatę.

Dziewczyna wyszła na chwilę, a kiedy wróciła, rzekła zdecydowanym tonem:

– Nie będę więcej do ciebie mówić pan, będę ci mówiła Ryszard!

– Przemyślała to pani w toalecie? – roześmiałem się.

– Nie pani, tylko Halina!

W czasie dalszej drogi zasnęła i w którymś momencie jej głowa osunęła się bezwładnie na moje ramię. Nie wiedziałem, co robić, zwolniłem, a potem zatrzymałem samochód. Delikatnie przesunąłem jej głowę na oparcie, a sam wysiadłem i zapaliłem papierosa. Drżały mi ręce, nie wiem dlaczego, ale miałem przeczucie, że nasze spotkanie źle się zakończy, że sprowadzi na nas niebezpieczeństwo. Przyszła mi też do głowy myśl, że to spotkanie nie jest przypadkowe, że ktoś ją przysłał, aby osłabiła moją czujność. Tylko kto by ją miał przysyłać?

Na przykład nasz kontrwywiad, który zaczął się interesować oficerami biorącymi udział w rejsach krajoznawczych u wybrzeży Szwecji. Albo maczało w tym palce KGB. Przecież to spece od prześwietlania ludzkiej duszy. Może mnie już „prowadzili”. David strasznie mnie zwymyślał za tę historię z fotografowaniem dokumentów generała Borowkowa w jego

daczy. Powiedział, że sprawa nie była warta ryzyka i że to, co robię dla nich w Warszawie, jest o wiele cenniejsze. Może miał rację, poniosła mnie fantazja i chciałem się wykazać, zaimponować im. Nie pisnąłem słowa o tym, że zostałem przyłapany przez Nataszę na gorącym uczynku. Możliwe, że zerwaliby ze mną współpracę, oczywiście dla mojego dobra.

Zainteresowanie Halinki moją osobą wydawało się nieco dziwne. Byłem sporo od niej starszy i niezbyt przystojny. Przewyższała mnie o pół głowy, ale tak było zawsze – dziewczyny, które mi się podobały, przeważnie były ode mnie wyższe. O to chyba nietrudno, mam metr sześćdziesiąt cztery centymetry wzrostu. Tylko, już ci o tym mówiłem, kobiety mnie lubiły, lgnęły do mnie. Może dlatego, że słuchałem ich z uwagą. Wszystkie maszynistki, sekretarki, nawet sprzątaczki w sztabie zwierzały mi się ze swoich problemów z mężami, dziećmi, chorobami, brakiem pieniędzy. Często je pocieszałem, dodawałem otuchy. Zresztą, powiem ci, o takie zwierzenia najłatwiej nad ranem, kiedy dookoła nie kręcą się ludzie. A ja często pracowałem z nimi w nocy czy raczej one ze mną.

Z Halinką było inaczej. Pojawiła się znienacka w moim życiu i nie wiedziałem, co z tym począć. Mimo moich obaw i podejrzeń zaczynałem w jej obecności tracić głowę. Przedtem też widywałem różne ładne dziewczyny i nie powodowało to żadnych komplikacji natury duchowej. Tak bym to ujął. Postanowiłem sprawę czym prędzej zakończyć, przestać o niej myśleć. Kiedy ją odwiozłem i żegnaliśmy się pod jej domem, spytała, czy się jeszcze zobaczymy.

– Życie pokaże – odpowiedziałem żartem.

No i życie szybko pokazało. Wkrótce mój przyjaciel doktor zadzwonił do mnie z prośbą, żebym pojechał sprawdzić, co się dzieje z jego siostrzenicą, bo ani w instytucie, ani w domu jej telefon nie odpowiada. Od kilku tygodni nie odzywa się do matki.

Jakby nigdy nic była w domu, po prostu miała zepsuty

telefon. A w pracy nie siedzi cały czas przy biurku, wyjaśniła, ostatnio robiła z kolegami pomiary.

– Kochana mamusia chce mnie znowu osaczyć – powiedziała. – Wciąż myśli, że jestem małą dziewczynką.

– A nie jesteś?

– A jestem?

– Nie jesteś.

Roześmialiśmy się.

Tego dnia zaproponowała mi, abym wybrał się z nią na koncert do filharmonii. Miała iść z koleżanką, ale tamta zachorowała. Jeżeli odmówię, bilet się zmarnuje. Poszedłem więc. I znowu wszystko odżyło – jej bliska obecność tak mnie rozpraszała, że prawie nie słyszałem muzyki. Uświadomiłem sobie, że to, co do niej czuję, przerasta mnie i nie jestem w stanie nad tym zapanować. W przerwie koncertu po prostu uciekłem. Krążyłem ulicami, lał ulewny deszcz i po chwili całkiem przemokłem, ale potrzebowałem takiego zimnego prysznica.

Po mojej ucieczce Halinka się nie odzywała, a ja prawie nie wychodziłem ze sztabu – praca była najlepszym lekarstwem. I papierosy, których zawsze mnóstwo wypalałem.

Któregoś dnia, chcąc przewietrzyć swój gabinet, podszedłem do okna i zobaczyłem ją po drugiej stronie ulicy. Kiedyś wspomniałem jej, że tuż nad moim oknem umieszczony jest piastowski orzeł. I ona w to okno patrzyła. Wyszedłem do niej, chociaż oczywiście mogłem tego nie robić. A ona mogła powiedzieć, że wcale nie na mnie czeka, że tylko tędy przechodziła. Ale tak nie powiedziała.

Umówiliśmy się na kawę. I znowu targały mną sprzeczne uczucia. Iść, nie iść. Oczywiście poszedłem. Mimo iż zjawiłem się punktualnie, siedziała już przy stoliku… Żadnych wyznań, zwyczajna rozmowa, a we mnie kotłowały się uczucia. Potem, gdy zostałem sam, próbowałem racjonalnie ocenić sytuację. W pewnym sensie Halinka była kolejnym obciążeniem, jakie na

siebie wziąłem. Ale nie mogłem inaczej, to się działo poza mną, poza moją wolą. Czułem się z tym źle, a jednocześnie nie potrafiłem się od tego odciąć i wbrew wszystkiemu musiałem się z nią znowu zobaczyć. Zaczęliśmy się spotykać. Chodziliśmy do kawiarni, do kina, a kiedy była ładna pogoda, na spacer. Odprowadzałem ją pod dom, ale nie wstępowałem do niej, mimo że mnie zapraszała. Wiedziałem, że mieszka sama. I wiedziałem, że oczekuje czegoś więcej, niż jej mogłem ofiarować. To z pozoru „miłe spędzanie czasu" stawało się coraz trudniejsze. Mocno się zaangażowałem i nie potrafiłem z tego wybrnąć. Jedno było pewne: nie wolno mi było posunąć się ani o krok dalej.

Któregoś dnia Halinka zatelefonowała do mnie i powiedziała, że jest chora. Poprosiła, abym jej zrobił zakupy. Zapisałem wszystko na kartce. Kupowanie dla niej mleka, białego sera i kajzerek sprawiło mi nieopisaną przyjemność. Leżała w łóżku, z gorączką. Usiadłem obok i wziąłem ją za rękę.

– Zarazisz się – powiedziała znękanym głosem.

– Już dawno się zaraziłem – odpowiedziałem.

– Traktujesz mnie jak chorobę? – spytała i do oczu napłynęły jej łzy.

Nie wiedziałem, jak jej powiedzieć o swoim postanowieniu. To oznaczało w pewnym sensie wyrok na nas oboje.

– Moja żona jest wspaniałą osobą – zacząłem – i nie mogę uczynić niczego przeciw niej. Więc jeżeli wystarczy ci moja przyjaźń…

– Musi mi wystarczyć – odrzekła.

Ale to były tylko słowa. Próbowałem znaleźć jakieś wyjście, jednak dobre wyjście nie istniało, bo kochałem dwie kobiety i z żadnej z nich nie potrafiłem zrezygnować. Wychodziło więc na to, że zdradzałem je obie. Może więc moi wrogowie się nie mylili, mówiąc, że miałem naturę zdrajcy. Ale przecież najbardziej zdradzony czułem się ja sam. Nie mogłem pójść za głosem serca, nie tylko dlatego że nie byłem człowiekiem

wolnym, ale także dlatego że wziąłem na siebie odpowiedzialność za los swojego narodu. Byłem wojownikiem, a tacy ludzie nie mają prawa do prywatnego życia.

Aby jakoś usprawiedliwić swoje spotkania z Halinką, ustaliłem, że to ona będzie mnie teraz kryć, będzie moim alibi. Inne kobiety zniknęły bezpowrotnie. Musiałem jeszcze przełamać wewnętrzny opór i zawieźć ją do letniego domku pod Mińskiem. Gdy tam jechaliśmy i widziałem jej uszczęśliwioną twarz, czułem się niemal jak zbrodniarz. W pewnym momencie chciałem zawrócić, odwieźć ją do domu i nigdy więcej się z nią nie spotkać. Ale nie mogłem tego zrobić, bo w bagażniku wiozłem bardzo ważne dokumenty, które ktoś miał jeszcze tego dnia odebrać.

Poszliśmy na długi spacer, a potem Halinka położyła się na kocu w cieniu drzewa, mówiąc, że czuje się zmęczona i trochę się zdrzemnie. Wyglądało na to, że naprawdę zasnęła. Zadowolony z takiego obrotu sprawy, poszedłem w stronę skrzynki kontaktowej. Zajęło mi to nie więcej niż pół godziny, a kiedy wróciłem, na kocu pod drzewem Halinki nie było.

Nie mogłem uwierzyć, że jej tam nie ma. Przecież kiedy odchodziłem, spała głęboko. Widocznie musiała udawać. Być może mnie śledziła, a jeżeli tak, to wiedziała już wszystko o mnie i o mojej misji.

Wpadłem w popłoch. Jak mam z nią rozmawiać? Otwarcie? Czy udawać, że nic się nie stało. Na pewno powinienem zabrać z powrotem pozostawione w skrytce materiały. Tylko jak to zrobić? Odwieźć ją, a potem tu wrócić? Ale jeżeli jest tak, jak myślę, Halinka nie działała w pojedynkę. Być może dokumenty, które zostawiłem w skrytce, znalazły się już w rękach jej mocodawców, kimkolwiek byli. A skoro tamci mają dowody, za chwilę mnie aresztują. Uświadomiłem sobie, że nie zabrałem ze sobą broni, nie miałem też „pastylki bezpieczeństwa”. Zbyt pewnie się poczułem. Dlatego teraz znalazłem się w potrzasku.

I wtedy Halinka wyszła z lasu, niosąc na liściu łopianu

świeżo uzbierane poziomki.

– Spróbuj, jakie słodkie – powiedziała i jedną z nich włożyła mi do ust.

Patrzyłem na nią jak oniemiały.

– Obudziłam się, ciebie nie było, poszłam więc do lasu – wyjaśniała z niewinnym uśmiechem. – Ten las kryje prawdziwe skarby.

Nie wiedziałem, czy w jej słowach nie było aluzji. Byłem roztrzęsiony, w przeciwieństwie do niej – zachowywała się swobodnie, jak zawsze. Czyżby mówiła prawdę?

Odwiozłem Halinkę do domu i wróciłem na swoją letnią działkę. Cały czas byłem niespokojny, drżały mi ręce. Najwyraźniej nerwy mi puściły. Czy dlatego że moje podejrzenia mogły okazać się prawdziwe, czy też dlatego że ona była Bogu ducha winna, a ja ją podejrzewałem? W każdym razie przeniosłem skrytkę w inne miejsce. Z likwidacją całej bazy postanowiłem poczekać, aż pojawią się niepokojące sygnały z jej strony, ale nic takiego się nie wydarzyło.

W tym czasie poznałem znajomych Halinki, sympatyczne małżeństwo. Janka przyjaźniła się z Halinką, chyba pracowały w jednym pokoju, a jej mąż, Andrzej, profesor fizyki na politechnice, był moim rówieśnikiem, dzięki czemu raźniej się poczułem. Grywaliśmy we czwórkę w brydża. Traktowali nas jak parę, lecz ani ja, ani Halinka nie wyprowadzaliśmy ich z błędu. Tylko my dwoje wiedzieliśmy, jak z nami jest naprawdę. Dobrze się czułem w ich towarzystwie, stworzyli taki ciepły dom. Janka była drugą żoną Andrzeja, mieli dwie urocze dziewczynki, siedmio – i pięcioletnią. Patrząc, jak się bawią, jak między sobą szczebiocą, odczuwałem smutek, że zamiast wymarzonych córeczek miałem dwóch dorosłych synów i, prawdę powiedziawszy, przegapiłem ich dzieciństwo. Przyszła mi do głowy myśl, że mógłbym mieć jeszcze dziecko z Halinką, ale to było nierealne, mimo że nasze coraz częstsze

spo tkania, rozmowy, niezwykłe porozumienie znajdowały powoli miejsce w moim rozprutym życiu, stając się jego elementem. Miałem przeczucie, że to się wkrótce skończy, a jednocześnie pragnąłem, aby trwało jak najdłużej.

Nie potrafię ci teraz wyjaśnić, dlaczego nie ufając tej kobiecie, bo te podejrzenia ciągle we mnie tkwiły, potrafiłem tęsknić za nią i darzyć ją tak silnym uczuciem. Jednocześnie przez cały czas, już od dnia, w którym ją poznałem, przeczuwałem tragiczny koniec naszej znajomości. I raczej mnie to miało dotyczyć, bardziej mnie niż jej. Nie, nie myślałem aż tak konkretnie, że mnie wyda, że zdradzi moje tajemnice. Chodziło raczej o los. I prawie się to spełniło.

Wczesną jesienią siedemdziesiątego dziewiątego roku wybraliśmy się we dwoje na Mazury, żeby popływać jachtem. Nie, nie „Legendą", mój jacht znajdował się za daleko, żeby go ściągać na jednodniową wyprawę. Pojechaliśmy nad Śniardwy, wypożyczyliśmy żaglówkę. Była piękna pogoda, nic nie zapowiadało, by się miała zmienić. Ale nieoczekiwanie nadciągnęła burza, zerwał się silny wiatr, który złamał nam maszt jak zapałkę i potargał żagle. Byliśmy pośrodku jeziora, a jak wiesz, nie jest to małe jezioro. Jako doświadczony żeglarz robiłem wszystko, aby nie dopuścić do wywrócenia łodzi. Mieliśmy tylko jedno wiosło i próbowałem ustawiać żaglówkę odpowiednio do wiatru, ale wiatr zmieniał kierunek, obracał nami na wszystkie strony, a w końcu nas wywrócił. Oczywiście mieliśmy kapoki, ale zalewała nas wysoka fala. Dryfowaliśmy uczepieni łodzi przewróconej do góry dnem, potwornie zmarznięci – to był koniec września – z zimna grabiały nam ręce. Nadludzkim wysiłkiem udało mi się wydźwignąć Halinkę na kadłub żaglówki, ja pozostałem w wodzie, bo oboje nie mielibyśmy szans, mogliśmy zatopić łódź, a to by oznaczało pewny koniec. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli przed zmrokiem nie nadejdzie pomoc, zginiemy. Ale pomoc nadeszła. Kierownik przystani zaalarmował straż wodną.

Nie było mowy o powrocie do Warszawy, jak to wcześniej zaplanowaliśmy, byliśmy zziębnięci i wycieńczeni. W pensjonacie dano nam gorącej herbaty z wódką, co od razu pomogło. Zakutani w koce siedzieliśmy przy stoliku w pustej jadalni, bo było po sezonie, i patrzyliśmy na siebie, dwoje rozbitków.

– Może nie byłoby źle zginąć razem – powiedziała nieoczekiwanie Halinka.

– Ale lepiej jest żyć, uwierz mi – odrzekłem.

– Osobno?

Nie odpowiedziałem, bo co mogłem odpowiedzieć. Dostaliśmy oddzielne pokoje. Wyczerpany nie mogłem zasnąć, przewracałem się na niewygodnym łóżku. Nad ranem usłyszałem, jak ktoś ujmuje klamkę u drzwi. Zamknąłem je na klucz.

– Ryszard, to ja, wpuść mnie…

Nie odezwałem się. Stała pod drzwiami długą chwilę, wydawało mi się, że płacze. Potem odeszła.

Niedługo po tym wydarzeniu, po naszej przygodzie na Śniardwach, Halinka obchodziła trzydzieste urodziny. Z tej okazji podarowałem jej szczeniaka, po mojej suce, seterce irlandzkiej, która parę miesięcy wcześniej się oszczeniła. Halinka oszalała na punkcie tego psa – dała mu na imię Amor – i wszędzie go ze sobą zabierała. W instytucie leżał pod jej biurkiem i obserwował wchodzących. Jak ktoś mu się nie spodobał, podkradał się i znienacka łapał go za łydkę. Towarzyszył też swojej pani w podróżach służbowych, najczęściej w Bieszczady, gdzie instytut miał stację badawczą.

W dniu urodzin Halinki zaprosiłem ją na kolację. Była taka restauracja na Starym Mieście, Bazyliszek. Zdaje się, że przetrwała do dziś? Tam właśnie poszliśmy.

– Nie mogę uwierzyć, że już stuknęła mi trzydziestka – powiedziała Halinka melancholijnie.

– Wszystko przed tobą, powinnaś spróbować ułożyć sobie

życie – zacząłem ostrożnie.

Wyraz jej twarzy nagle się zmienił.

– Może masz już dla mnie kandydata na męża? – spytała ostro.

– To twoje życie.

– Więc pozostaw je mnie!

Chyba miała rację. Nie powinienem się wtrącać, ale bardzo chciałem, żeby była szczęśliwa.

Nie była. Jej radosny uśmiech, który tak lubiłem, bezpowrotnie zniknął, a w oczach pojawiła się rezygnacja. Nie przypominała już osoby, którą ujrzałem na nabrzeżu w kołobrzeskim porcie, i miałem pewność, że ja jestem temu winien. Nasze kontakty na jakiś czas się rozluźniły, już do siebie codziennie nie telefonowaliśmy i nie spotykaliśmy się zbyt często.

Któregoś dnia po wyjściu z pracy zauważyłem, że na masce mojego samochodu ktoś położył bukiecik stokrotek. Od razu się domyśliłem, że to ona. Tak mnie to wzruszyło, że nie zastanawiając się, pojechałem do niej. Otworzyła mi drzwi, przypadliśmy do siebie. To była chwila, kiedy moje życie mogło się nieodwracalnie zmienić. Niczego bardziej nie pragnąłem w tym momencie, niż być z tą kobietą, zostać z nią na zawsze, a jednak odsunąłem ją od siebie i wyszedłem.

I znowu nie widzieliśmy się kilka miesięcy, bo Halinka wyjechała w Bieszczady. Po powrocie zadzwoniła do mnie. Opowiadała trochę o pracy, a także o tym, jak Amor znosił życie w traperskich warunkach. Był bardzo dzielny i czuł się w obowiązku strzec swojej pani. Kiedy w nocy wyły wilki, kładł się przy drzwiach i groźnie warczał, a przecież wystarczyło, żeby wilk tylko kłapnął zębami…

– Tam jest naprawdę przepięknie, dziko i pięknie, mogłabym tam mieszkać i hodować barany. A ty? Nie przyłączyłbyś się do mnie?

– Przecież wiesz, że ja jestem żeglarz – odrzekłem żartem. –

Muszę mieć stopę wody pod kilem.

Czułem się strasznie, jak tchórz, bo Halinka proponowała mi wspólne życie, a ja po raz kolejny zrobiłem unik.

Tęskniłem za nią, czas niczego nie leczył, mimo że znowu pojawiły się inne kobiety. Potrzebowałem ich jako alibi, ale zawieranie nowych znajomości nie przychodziło łatwo, bo straciłem ku temu wszelkie zainteresowanie. Odczuwałem zniecierpliwienie i pustkę. Denerwowały mnie rozmowy o niczym, paplanina moich chwilowych partnerek. W końcu dałem sobie spokój z podrywaniem, po prostu mi nie szło. Komu by się zresztą podobał ponury facet, patrzący spode łba. Przestałem jeździć w okolice Mińska, bo moje samotne wycieczki mogłyby wzbudzić podejrzenia. Materiały przekazywałem bezpośrednio lub nadając z wieży kościoła św. Anny. Było to dużo bardziej niebezpieczne, ale nie dbałem o to.

Myślę, że powinienem tu wspomnieć o pewnym zdarzeniu związanym z Halinką, które być może nie pokazuje mnie z najlepszej strony. Którejś soboty byliśmy z Halinką na brydżu u jej przyjaciół, o których ci już wspominałem. Tak, profesor, młoda żona i dwie córeczki. W pewnej chwili wyszedłem na taras zapalić papierosa. Mijając hol, zauważyłem torebkę Halinki na konsoli pod lustrem. Dłuższą chwilę stałem na schodkach przed domem, okno było otwarte, słyszałem więc dochodzące z pokoju głosy. Dominował głos Halinki, która coś żywo opowiadała, potem zaczęła się śmiać. Kim ona jest? – przemknęło mi przez myśl.

Wracając do pokoju, zatrzymałem się przy lustrze i odruchowo, niemal bezwiednie otworzyłem jej torebkę. Były w niej kosmetyki, puderniczka, grzebień, chusteczki higieniczne. Odsunąłem zamek bocznej kieszeni i wyjąłem dokumenty. Dowód osobisty, prawo jazdy. Właśnie zaglądałem pod plastikową okładkę, kiedy z kuchni nieoczekiwanie wyszła Janka, przyjaciółka Halinki, niosąc na tacy filiżanki z herbatą. Oboje znieruchomieliśmy.

– Ja… – zacząłem, nie wiedząc, jak mam się tłumaczyć.

Ona wyprostowała się i powiedziała zimno:

– To mnie nie interesuje.

Nie wiem, co sobie pomyślała. Nie wiem też, czy wspomniała o tym incydencie Halince. Chyba nie, bo nie wyczułem żadnej zmiany w jej zachowaniu.

Janka nadal traktowała mnie uprzejmie, jak zawsze, a jednak miałem wrażenie, że od tej chwili coś się między nami popsuło.

Halinka znów wyjechała na badania, a ja którejś soboty po prostu wsiadłem do swojego starego samochodu i ruszyłem jej śladem. To były jedne z piękniejszych dni w moim życiu. Chodziliśmy po lesie, zapadając się do pasa w zaspach, był z nami Amor, który skakał jak kangur. Znikał w puchowej pierzynie, a potem wyskakiwał niczym pocisk, jego długie uszy falowały w powietrzu.

– Wiesz, że on rozumie nawet moje myśli – powiedziała Halinka. – Chyba w poprzednim wcieleniu byliśmy parą.

Wieczorem do chaty zbudowanej z potężnych bali schodzili się inni naukowcy i odbywała się wspólna kolacja. Ogień strzelał na kominku. Każdy z tych mężczyzn byłby dla niej odpowiedniejszym kandydatem niż ja – myślałem. Byli naprawdę wspaniali. Rozmawiając z nimi, miałem wrażenie, że znalazłem się na innej planecie, na planecie ludzi wykształconych, myślących. I byłem ciekawy, co naprawdę myślą.

– Kochany sąsiad, który nas trzyma za gardło, raczej ma się dobrze, kurczę blade – powiedział w pewnej chwili brodacz w owczym swetrze. Takie były wtedy Polaków rozmowy, zawsze w końcu schodziło na tematy polityczne. – Może to i dobrze, bo jakby tam wszystko gruchnęło, taki smród by poszedł, że otrułby cały świat.

– To co? Nic nie robić, tylko siedzieć dalej w tym najweselszym baraku w obozie? – obruszył się inny, też

brodaty i też w grubym wełnianym golfie, a dodatkowo w okularach. – Przecież każdy kolejny rok to dla nas, naukowców, rok do tyłu, nigdy nie dogonimy światowej nauki.

– W związku z tym chcesz obalić system? A jak to zrobisz, będziesz strzelał do Sowietów z kijka?

Czy ja strzelam do Sowietów z kijka? – zadawałem sobie pytanie, wracając do Warszawy. – Czy to wszystko ma jakiś sens? Od tylu lat przekazuję Amerykanom dowody, że Rosja pcha świat ku zagładzie, i co z tego wynika?

Byłem w kiepskim nastroju. Bo ona tam została.

Halinka zjechała do Warszawy na dobre i znowu się z nią spotykałem. Któregoś dnia zadzwoniła do mnie i zapłakana powiedziała, że Amor zachorował i wiezie go do weterynarza. Wsiadłem od razu do samochodu, ale kiedy dojechałem na miejsce, pies już nie żył. Wszystko wskazywało na to, że został otruty. Zwykle chodził na smyczy i Halinka nie spuszczała go z oka, ale często przebywał sam na balkonie. Tam więc prawdopodobnie podrzucono truciznę. Tylko komu tak zależało na otruciu zwierzęcia, że zadał sobie tyle trudu? Myślałem: może otruli go sąsiedzi, którym przeszkadzało głośne szczekanie, a może ktoś z pracowników instytutu, poirytowany nadmierną miłością Halinki do psa. Ale powróciły też niejasne podejrzenia, że ona nie jest ze mną do końca szczera, prowadzi jeszcze inne życie, o którym nic nie wiem. Odkąd się poznaliśmy, wyjeżdżała kilkakrotnie za granicę i bez problemu dostawała paszport, mimo że jej ojciec w latach sześćdziesiątych wybrał wolność, nie wrócił z podróży służbowej do Francji. Poza tym pracowała w zakładzie klimatologii i kiedyś sama mi wspomniała, że jej kolega miał problemy z otrzymaniem paszportu, bo sporządzał prognozy dla wojska. A ona? Czym naprawdę się zajmowała? Kiedy ją o to pytałem, zbywała mnie ogólnikami.

Pochowaliśmy psa na mojej działce koło Mińska. Przez całą drogę do Warszawy Halinka płakała i nie miałem serca

zostawiać jej w takim stanie, ale musiałem. Zanim odjechałem spod jej domu, obserwowałem, jak przygarbiona znika za drzwiami. Dzwoniłem teraz do niej często, z każdym dniem wydawała się coraz bardziej pogodzona ze stratą „jedynego członka rodziny", jak nazywała Amora. Miała rodziców, ale z matką, która mieszkała w Kołobrzegu, nie utrzymywała zbyt bliskich kontaktów. Ojciec założył we Francji nową rodzinę.

– Na razie nie wybieram się w Bieszczady – powiedziała mi któregoś dnia. – Już mnie nikt nie obroni przed wilkami. Ale zamierzam pojechać do ojca do Francji.

– Na długo?

– Jeszcze nie wiem.

– Ale wrócisz? – spytałem, czując w środku przejmującą pustkę.

– Tego też jeszcze nie wiem.

– W każdym razie odezwij się.

– Tak, oczywiście.

Czekałem na jakąś wiadomość od niej, ale mijały miesiące, a ona się nie odzywała. Różne myśli chodziły mi po głowie: może poznała kogoś we Francji, była szczęśliwa i zapomniała o mnie. Wiedziony tęsknotą przejeżdżałem obok jej domu i patrzyłem w okno na trzecim piętrze. Było ciemne.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, Hanka wysłała mnie po choinkę na bazar obok Hali Mirowskiej. Wybór był duży, więc chodziłem od jednego handlarza do drugiego i oglądałem drzewka. Bardzo to lubiłem, bo miałem wrażenie, jakby w środku miasta pojawił się kawałek lasu. Pachniało żywicą i igliwiem. Nagle w tłumie mignęła mi znajoma sylwetka. Ten sam kożuszek i kolorowa, robiona na drutach czapka. Ale to przecież nie mogła być Halinka!

A jednak to była ona. Przyciągnąłem ją do siebie i długo nie wypuszczałem z objęć.

– Dawno wróciłaś?

– Miesiąc temu.

– Czemu się nie odezwałaś?

– Jakoś tak…

Poszliśmy na kawę. Patrzyłem na nią zachłannie, nie mogąc nacieszyć się jej widokiem. Nie mieliśmy wiele czasu, bo w domu czekano na mnie. Halinka powiedziała, że wyjeżdża na święta do matki, ale po powrocie się odezwie.

– Na pewno?

Skinęła głową, że na pewno. Objąłem ją mocno na pożegnanie, czując jej kruchość.

W kilka dni po Nowym Roku zatelefonował mój przyjaciel doktor i powiedział, że jest właśnie w Warszawie. Ucieszyłem się, słysząc jego głos, bo dawno się nie widzieliśmy. Umówiliśmy się na obiad w Klubie Aktora. Mój stary druh bardzo się zmienił przez ostatni rok, odniosłem wrażenie, że się postarzał. Miał już całkiem siwą głowę, chociaż był tylko kilka lat ode mnie starszy.

Kelner podał nam karty, zamówiliśmy na początek śledzia i po jednym głębszym. To był rytuał naszych spotkań.

– Co cię sprowadza do syreniego grodu? – spytałem nieco żartobliwie.

– A, nic wesołego – odrzekł, wyraźnie przygnębiony, teraz dopiero to zauważyłem. – Pamiętasz moją siostrzenicę? Płynęła z nami jachtem ze dwa lata temu.

– Tak, oczywiście, że pamiętam, bardzo piękna dziewczyna.

Mój przyjaciel pokiwał ze smutkiem głową, a ja poczułem ból, jakby ktoś wbił mi kolec w serce.

– Jutro jest jej pogrzeb – usłyszałem jego głos jak zza ściany.

Nie mogłem o nic spytać. Doktor spojrzał na mnie i jego ręka trzymająca widelec znieruchomiała w powietrzu.

– Co ci jest, chłopie? Źle się czujesz?

Wstałem i zataczając się, dotarłem do toalety.

Ochlapałem wodą twarz, która w lustrze nad umywalką wydawała się nienaturalnie blada.

Wyszedłem z klubu, pozostawiając doktora przy stoliku.

Miałem uczucie, jakbym się znalazł w obcym mieście. Nie rozpoznawałem ulic, krążyłem bez celu, zmagając się z fizycznym bólem, który ogarnął całe moje ciało. Chciałem tylko jednego: zapomnieć o wszystkim, nie pamiętać, że jej już nie ma i nigdy nie będzie. Nie wiem, czy to nie było pragnienie śmierci. Gdybym miał wtedy przy sobie pistolet, być może bym się zastrzelił.

Amerykanie mnie ocalili? Co oni mieli z tym wspólnego? Prawda, za ich radą przestałem nosić broń. Mylisz się, bardzo lubiłem żyć, naprawdę, ale nie za wszelką cenę.

Po wyjściu z Klubu Aktora nie wróciłem już do domu, kupiłem kilka butelek wódki i pojechałem do swojej budy pod Mińskiem. Piłem aż do zatracenia. Przed oczyma przesuwały mi się obrazy z przeszłości, jej cudowna, młoda twarz, jej uśmiech. Wszystkie te sceny były nieme, jakbym nagle ogłuchł. Nie słyszałem swoich słów, chociaż próbowałem do niej mówić, coś jej tłumaczyć. Myśli mi się plątały, rwały się wątki.

– Składałem ci życzenia noworoczne na odległość, punkt dwunasta piłem szampana za twoje zdrowie… a ciebie już nie było.

Trwało to trzy dni. Wróciłem do domu zarośnięty, z przekrwionymi oczami.

Hanka patrzyła na mnie mocno zaniepokojona, ale o nic nie pytała. Nie, nigdy nie spytała, co się ze mną działo przez ten czas. Ona już taka była, małomówna. Nie ma w tym nic dziwnego, to znaczy oczywiście, byłoby dziwne, gdybym był urzędnikiem czy kimś takim i nagle gdzieś się zawieruszył. Ale ona wyszła za żołnierza i była pogodzona z moim niezwyczajnym trybem życia. Czasami wyciągano mnie z łóżka w środku nocy. No więc ogoliłem się, przebrałem i pojechałem do sztabu. Tutaj owszem, tutaj musiałem się gęsto tłumaczyć, ale było mi naprawdę wszystko jedno, mogli mnie nawet postawić przed plutonem egzekucyjnym.

Przejrzałem nekrologi w gazetach, pisano w nich: zmarła nagle. Od doktora dowiedziałem się, że to było samobójstwo, Halinka połknęła całą fiolkę środków nasennych. I to mi się nie zgadzało. Nigdy nie miała problemów z zasypianiem, była śpiochem i nie lubiła wcześnie wstawać. Więc skąd nagle te proszki? Mogła je zdobyć z myślą o samobójstwie, oczywiście, ale ona by tego nie zrobiła. Czułem to, byłem prawie pewny. Przypuszczałem, że ją zmuszono do połknięcia tych proszków. I że to miało związek z moją osobą. Otrucie psa kilka miesięcy wcześniej to też nie mógł być przypadek. Te dwie śmierci były sygnałem ostrzegawczym… tylko od kogo? Od KGB pod moim adresem? Po co? Nigdy się nie dowiemy, jakie oni mogli mieć kalkulacje. Może działali w ciemno? Od dłuższego czasu informacje z Kremla wyciekały na Zachód, ale nie wiedziano, z jakiego źródła. To nie musiało być przecież źródło polskie, równie dobrze mogło być bułgarskie, rumuńskie, węgierskie. Oczywiście, istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że Halinka popełniła jednak samobójstwo z powodów, których nie znam. Nie wiem, dlaczego nie pojechała na święta do rodziny i otruła się w przeddzień Wigilii. W jej rzeczach znaleziono bilet sypialny pierwszej klasy do Kołobrzegu na dwudziestego trzeciego grudnia.

Czasami myślę, że chciałbym, aby żyła bez względu na wszystko, bez względu na to, czy ją zwerbowano, czy nie. A zaraz potem strasznie się z tym czuję, bo przecież mogę ją krzywdzić. To jedynie moje domysły, ale tak to już jest w tym świecie cieni, w którym wszystko jest możliwe – kłamstwo, podstęp i śmierć. Byłem tego świadomy, zaczynając współpracę z Amerykanami, i każdy wariant brałem pod uwagę, nawet kadź z wrzącą surówką. Jednego tylko nie przewidziałem, czym może być strata ukochanej osoby.

Musieliśmy zrobić przerwę w nagraniu, bo skończyły się kasety. Kiedy Ryszard wyjmował

w sklepie kartę kredytową z portfela, za przezroczystą ramką dostrzegłam trzy zdjęcia. Rozpoznałam jego synów, ale była tam też uśmiechnięta młoda kobieta. Nie musiałam pytać, kim jest. Pomyślałam, że nosi przy sobie tylko fotografie umarłych.

Potem poszliśmy do parku i usiedliśmy na trawie pod rozłożystym drzewem. Wiem, że skądś tam obserwowała nas ochrona pułkownika, ale przynajmniej miałam wrażenie, że jesteśmy tu sami. Posilaliśmy się hot dogami, zapijając po amerykańsku coca-colą.

– Adorator córki Tewiego mleczarza powiedział, że nawet biedny krawiec ma prawo do odrobiny szczęścia. A ty, czy dajesz sobie takie prawo? Czy dałeś je sobie kiedykolwiek? – spytałam. – Bo im dłużej rozmawiamy, tym jaśniej widzę twoje życie. I widzę, że w twoim życiu nikt nie był szczęśliwy, ani ty, ani twoje dzieci, ani kobiety, które cię kochały.

– No i tak miało być – odrzekł. – Coś takiego jak szczęście nie mieści się w polskiej tradycji romantycznej, a ja przecież z niej się wywodzę.

Polonez Ogińskiego

Nie mogę nie myśleć o wypowiedziach moich byłych kolegów i przełożonych. O ich reakcjach na mój czyn. A przecież w wolnej Polsce mogłem już oczekiwać uczciwej oceny tego, czego dokonałem. Wiesz, może jednak jestem strasznie naiwny, może z tego się nie wyrasta, ale wyobrażałem sobie, że generał Jaruzelski wzniesie się ponad swoje urazy do mnie i uzna moje racje. Tylko tyle chciałem od niego usłyszeć, że szanuje mój wybór. Powiedział, że moja sprawa ma kilka płaszczyzn: moralną, polityczną i wojskową – i nie można ich sztucznie rozdzielać i oceniać historycznie. Według niego Polska przez cały okres mojej działalności, niezależnie od stopnia ograniczenia suwerenności, była państwem powszechnie uznawanym. Odwiedzali ją prezydenci USA, Francji i inni. Biorąc to pod uwagę – służba w polskim wojsku była służbą dla Polski. Sprzeniewierzenie się przysiędze wojskowej w takiej sytuacji jest zdradą. I to mówi wojskowy, człowiek, który przez cały czas miał dostęp do tajnych planów strategicznych sowieckiego dowództwa. On wiedział, na co w razie konfliktu nuklearnego narażony byłby jego kraj. Wiedział to najlepiej. I to także, że żadna wizyta prezydentów USA, Francji albo Wielkiej Brytanii nie miała tu nic do rzeczy. Prezydenci by się rozjechali, a polska ludność by została. Jakim trzeba być zakłamanym, żeby używać takiego sformułowania: „Niezależnie od stopnia ograniczenia suwerenności”. Takie pojęcie nie istnieje, suwerenność albo jest, albo jej nie ma! W przypadku Polski jej nie było i te

wszystkie wizyty głów różnych państw okazywały się fikcją. Szacowni goście doskonale wiedzieli, że ich polscy rozmówcy o niczym istotnym nie decydują.

Czasami mam wrażenie, że znajduję się w wirującej beczce i w tej beczce razem ze mną mieszają się wszystkie pojęcia, z czego wychodzi w końcu jeden wielki absurd. Prawda przestaje być prawdą, kłamstwo kłamstwem, zdrada zdradą. Na tej zasadzie mnie można uznać za zdrajcę, a generała Kiszczaka, który odpowiada moralnie za śmierć księdza Popiełuszki, za człowieka honoru, jak chce redaktor naczelny słynnej gazety. Ale tego redaktora jakoś mogę zrozumieć, także jego niebywałą zajadłość, z jaką mnie atakuje. On się po prostu boi, że odbiorę mu jego miejsce w historii, ale nie wie, że to się i tak rozegra poza nami dwoma.

Sierpień i zawiązanie się Solidarności porównałbym do powstania Spartakusa albo Wiosny Ludów z 1848 roku. Musiałem się jakoś do tego odnieść, zastanowić się, co to zmienia w mojej misji. Czy może przestaje być już ona narodowi potrzebna? Z drugiej strony nie miałem złudzeń, jak taki zryw wolnościowy będzie przyjęty przez Sowietów. Moja rola oficera łącznikowego pomiędzy tymi dwoma kolosami, jakimi były Ameryka i Rosja, że tak to nazwę, okazywała się nadal bardzo aktualna. Oczywiście, przekazywałem informacje w jedną stronę, a w którą, to ci chyba nie muszę mówić. Mnie już próbowano uszyć buty, że pracowałem dla jednych i dla drugich. Ani dla jednych, ani dla drugich. Wszystko robiłem dla Polski. A jeżeli już, to tylko w tym sensie, że dobrze poinformowana Ameryka mogła przycierać nosa sowieckiemu niedźwiedziowi, co i jemu w konsekwencji wychodziło na dobre. Wspominałem ci o moich rozmowach z wysokimi rangą oficerami sowieckimi, nierzadko z generalskimi gwiazdkami. Oni też już mieli dość tej agresywnej polityki Kremla. Ludzie wszędzie chcą spokojnie żyć.

Po Sierpniu nie chciałem brać udziału w planowaniu wojny z narodem, wykręcałem się jak mogłem.

– Ja chcę na emeryturze opłynąć świat, a jak będę za dużo wiedział, nie dostanę paszportu.

Ale, jak to się mówi, rozkaz – nie gazeta. Wprowadzenie stanu wojennego było przygotowywane w II oddziale naszego zarządu i zostałem włączony do zespołu. Oni wiedzieli, że miałem w jednym palcu plan rozmieszczenia sił zbrojnych.

Robiłem, co mogłem, by nie dopuścić do wejścia Sowietów do Polski. Polacy to nie Czesi, tutaj by się nie obyło bez rozlewu krwi. Próbowałem to uświadomić Amerykanom. W grudniu osiemdziesiątego roku przekazałem za ocean takie informacje, że użyli gorącej linii i zagrozili Breżniewowi przykrymi konsekwencjami w razie inwazji na mój kraj… Żebyś wiedziała, że to ja im groziłem ustami Amerykanów. A dlaczego Sowieci nie weszli do Polski? Wszystko było przecież gotowe, plany zapięte na ostatni guzik. Nie muszę ci mówić, że prośby Jaruzelskiego nie miały tu żadnego znaczenia. Oni po prostu zdali sobie sprawę, że mają kłopoty w Afganistanie, i mogą mieć jeszcze większe. Zbigniew Brzeziński nie ukrywał, że Stany Zjednoczone udostępnią powstańcom afgańskim nowocześniejsze technologie, w tym rakiety Stinger. Poza tym Ruscy obawiali się reakcji Chin, bali się zamrożenia *detente*, na którym korzystali, mając dostęp do zachodnich technologii. Słowem, mieli dużo do stracenia i to dało Solidarności jeszcze kilkanaście miesięcy.

W tym czasie mnie się zaczęła palić ziemia pod nogami. Piętnastego września osiemdziesiątego pierwszego roku na polecenie generała Siwickiego… tak jest, „mnie, gówniarzowi, dali majora”, widzę, że masz dobrą pamięć, umiesz słuchać, co jest raczej rzadkością, bo kobiety zwykle wolą, aby ich słuchano. Pisarka to nie kobieta? Nie opowiadaj! Wracając do Siwickiego, miałem napisać dla niego wystąpienie zawierające plan wprowadzenia stanu wojennego. Jak zwykle pracowałem

w nocy, sam jeden na piętrze. Dookoła ciemno, cisza taka, że słyszałem własny oddech. Kopciłem papierosa za papierosem. To było tak, jakby mi kazano podpisać wyrok na kogoś bliskiego. Od powstania Solidarności miałem dla niej wiele uznania, ale nawet nie próbowałem kontaktować się z jej władzami, bo wiedziałem, jak głęboko jest spenetrowana przez ludzi z bezpieki. Związkowcy byli pod obserwacją i ja też, z racji swojego stanowiska.

Kiedy generał udzielał mi wskazówek, jak mam to jego przemówienie napisać, zwróciłem mu uwagę:

– Obywatelu generale, trzeba poruszyć kwestię broni. Kto i kiedy będzie do tego upoważniony.

– To nie moja sprawa – odrzekł ze zniecierpliwieniem.

Pomimo to wtrąciłem takie zdanie, generał je zauważył, wściekł się i kazał wykreślić z ostatecznej wersji. Ale ta poprzednia jeszcze w nocy powędrowała do Waszyngtonu.

Chyba po dwóch dniach, w czasie posiedzenia w sztabie, generał Kiszczak oznajmił, że ze źródeł rzymskich wiadomo, iż plan wprowadzenia stanu wojennego przedostał się na Zachód. Od razu wiedziałem, że to z Waszyngtonu kopia mojego dokumentu powędrowała do Watykanu. A tam przecież roiło się od szpicli. Z jednej strony byłem naprawdę w strachu, bo wprowadzona poprawka jednoznacznie wskazywała na mnie, ale z drugiej, poczułem się dumny, że biorę udział w grze na wielką skalę.

Wiesz, jestem tylko człowiekiem, a człowiek nie samymi ideami żyje, czasami bywa też próżny. I powiem ci, że częściej się to zdarza mężczyznom.

Wieczorem wysłałem do Waszyngtonu wiadomość:

Proszę o oszczędne operowanie przekazywanymi przeze mnie materiałami, gdyż demaskują one źródło. Nie mam nic przeciw temu, jest to wręcz moją wolą, aby moje informacje służyły tym, którzy walczą z podniesionym czołem o wolność

Ojczyzny. Gotów jestem ponieść także najwyższą ofiarę, ale przecież czynem, a nie ofiarą możemy czegoś dokonać.

Wydaje mi się, że moja misja ma się ku końcowi. Niech żyje wolna Polska! Niech żyje Solidarność niosąca wolność wszystkim uciskanym narodom. Jack Strong.

To brzmi jak zła literatura? Może i tak, tylko że mój komunikat nie miał nic wspólnego z literaturą. To był mój testament. Byłem gotów poświęcić życie dla Polski. Wiem, że to teraz niemodne, teraz wszyscy chcą być obywatelami Europy, a naród stanowi twór przejściowy. Ale jeszcze nie tak dawno panowały twarde podziały na Europę Zachodnią i Europę Wschodnią i gdybyśmy nie czuli się Polakami, mogłoby się okazać, że z Europejczyków przerobiono by nas na Azjatów.

Wiedziałem, że jeżeli nie zginę, będę musiał opuścić Polskę, liczyłem się z tym, ale wydawało się to odległe i nierealne. Teraz ta perspektywa bardzo się przybliżyła.

Moja ojczyzna jest taka piękna, ale zwykle nie miałem czasu jej się przyjrzeć, zbyt dużo zawsze pracowałem. Teraz wziąłem kilka dni urlopu i pojechaliśmy z Hanką do Krakowa. Mógłbym chodzić po nim godzinami. Jak zmienia się to miasto w zależności od pory roku, dnia, nastroju. Wawel, katedra, Sukiennice, kościół Mariacki. Chłonąłem te wszystkie miejsca. Wieczorami, kiedy Hanka zmęczona już spała w hotelu, wędrowałem samotnie po opustoszałych ulicach, jakby się z nimi żegnając. Dlaczego żegnałem Kraków, a nie Warszawę? Bo w Krakowie zaczynała się dla mnie Polska.

Drugiego listopada po południu zostałem telefonicznie wezwany do szefa Sztabu Generalnego, generała dywizji Jerzego Skalskiego. Kiedy wszedłem do jego gabinetu, zobaczyłem jeszcze czterech wysokich rangą oficerów, w tym dwóch generałów. Siedzieli przy okrągłym stole, jedyne wolne

miejsce było naprzeciw Skalskiego, który mi je wskazał. Był bardzo blady, miał papierową twarz.

– Mamy potwierdzenie, że ostatnia wersja planu wprowadzenia stanu wojennego przedostała się do Waszyngtonu!

Spojrzał mi prosto w oczy. I byłem niemal pewien, że on wie. Gdyby mnie w tym momencie spytał, dlaczego to zrobiłem, nie potrafiłbym zaprzeczyć. A co bym mu odpowiedział? Że zrobiłem to dla Polski, jeżeli oczywiście byłbym w stanie wydobyć z siebie głos. Czułem, jak po plecach spływają mi strużki lodowatego potu.

Jako pierwszy poderwał się generał Szklarski, szef Zarządu Operacyjnego:

– Nie wiem, jak to się dzieje, że stale coś od nas wycieka. To musi być sprawa MSW, oni nie wiedzą, jak traktować takie tajemnice. Ale rozumiem, że rzecz jest poważna. Mogę być w gronie podejrzanych, oddaję się do dyspozycji!

Drugi wstał pułkownik Puchała.

– Nie mam z tym nic wspólnego, ale trzymałem te dokumenty w swoim sejfie. Deklaruję pełne współdziałanie w śledztwie.

Jako trzeci, nie wstając, bo miał posturę niedźwiedzia, zabrał głos pułkownik Witt. Jego nieco dłuższe wystąpienie pozwoliło mi zebrać myśli. Sądziłem, że to uwertura do mojego aresztowania. Czułem się rozbity, zmęczony, od śmierci Halinki nie byłem już takim samym człowiekiem jak dawniej. Jej śmierć mocno mnie osłabiła. Uważałem, że oni już wszystko wiedzą, i całe to spotkanie to tylko komedia odgrywana przede mną.

– Zgadzam się z tym, co tu zostało powiedziane – zacząłem. – Ja…

– Wy też chcecie się oddać do dyspozycji? – przerwał mi Skalski. – Ja tu nie prowadzę śledztwa! Wezwałem was wszystkich, żeby przedstawić problem i zastanowić się, co

z tym zrobić!

Nie, on mnie nie uratował, egzekucja została tylko odroczona, bo dokument, który trafił w ręce kontrwywiadu, jednoznacznie wskazywał na mnie. To już była tylko kwestia czasu. Zrozumiałem, że moja misja dobiegła końca. Kiedy jechałem ze sztabu do domu, poleciłem kierowcy, aby się nie spieszył. Jechaliśmy Rakowiecką, Alejami Ujazdowskimi, potem Kruczą, Krakowskim Przedmieściem, minęliśmy kościół Sw. Anny, żegnałem ludzi, domy i drzewa. Za mną ciągnął się „ogon".

Hanka otworzyła drzwi i od razu zrozumiała, że wydarzyło się coś złego. Patrzyła na mnie w milczeniu.

Nastawiłem głośno radio. Aktorka o słodziutkim głosie plotła jakieś głupstwa, wtórował jej znany mi Krzysztof Kowalewski, jego głos brzmi mi w uszach do dzisiaj. Mówił podniesionym tonem, z niezadowoleniem: „Ależ pani Elizo!". Czy pani Luizo. Pomyślałem, że to dobrze, niech tak krzyczą, bo zagłuszą moje słowa. Musiałem wyznać swojej żonie, że od dziewięciu lat współpracuję z wywiadem amerykańskim.

– Byłeś szpiegiem?

– Współpracowałem z Amerykanami dla dobra Polski!

– I nic nie mówiłeś przez tyle lat! Więc kim ja dla ciebie byłam? Służącą? Kucharką?

Łzy napłynęły mi do oczu, przez chwilę ze wzruszenia nie mogłem wydobyć z siebie głosu.

– Byłaś wspaniałą żoną, wspaniałą matką, dziękuję ci za to. Ty i chłopcy nic nie wiedzieliście, jesteście czyści. W razie czego powiedz, że żyliśmy w separacji, że chciałaś wystąpić o rozwód.

Hanka zrobiła się biała na twarzy, bałem się, że za chwilę upadnie.

– A ty co powiesz?

Dotarło do mnie, że ona nie zdaje sobie sprawy, jak

naprawdę wygląda nasza sytuacja. Musiałem jej to uświadomić, powiedzieć tej uczciwej, dobrodusznej kobiecie, że życie nie wygląda dokładnie tak, jak sobie do tej pory wyobrażała… Że będzie jej teraz bardzo ciężko, bo usłyszy o mnie straszne rzeczy, stanie się żoną zdrajcy, sprzedawczyka. Przecież teraz będą wieszać na mnie psy, a ja nawet nie będę mógł się bronić, bo mnie już po prostu nie będzie.

– Połowa domu jest na ciebie, więc nie mogą go w całości skonfiskować.

Nadal nie rozumiała.

– Nie chcę, żeby dostali mnie żywego – powiedziałem wreszcie. – Pewnie by mnie zawieźli do Moskwy, jak małpę w klatce. Musisz mi wybaczyć, że… zostawiam cię samą. Nasi synowie są dorośli, oni ci pomogą.

Hanka zaczęła trząść się jak w febrze, zęby jej głośno szczękały, nie mogła nic powiedzieć. Objąłem ją i trwaliśmy tak w milczeniu długą chwilę. Chciałem, żeby to nasze pożegnanie już się skończyło. To, co mówiłem, okrutnie raniło moją żonę, ale nie mogłem tak po prostu zniknąć bez słowa. O mojej śmierci dowiedziałaby się wtedy z gazet albo by się nie dowiedziała, gdyby chcieli to przed moimi rodakami z jakichś powodów ukryć. I czekałaby na mnie.

– Jesteśmy rodziną i albo będziemy żyli wszyscy, albo wszyscy zginiemy! – usłyszałem jej głos.

Pokręciłem przecząco głową.

– Wy musicie żyć, ja już nie mogę.

– Dlaczego nie możesz?! – wybuchnęła. – Jesteś zdrowym, silnym mężczyzną! Dlaczego nie możesz! Niech Amerykanie coś zrobią, niech nam pomogą!

– Istnieje plan ewakuacji, ale tylko mojej osoby. A bez was nie chcę uciekać, bo wtedy wy byście musieli zapłacić moje rachunki z komunistami.

– Więc uciekniemy wszyscy!

Wydawało się to nierealne. Nasz dom był obstawiony, obserwowano każdy mój krok, jak w takiej sytuacji czteroosobowa rodzina może, ot tak sobie, zniknąć.

– Musimy spróbować! Za nami jeszcze nie chodzą, tylko za tobą, więc Amerykanie mogą nas ewakuować osobno, ciebie na końcu, tylko zacznij działać. Nie rezygnuj!

Jej zdecydowanie, jej nieugięta wola wyrwały mnie z otępienia. Zacząłem poważnie brać pod uwagę możliwość ucieczki z rodziną. Hanka odnalazła telefonicznie młodszego syna i poprosiła, aby zaraz przyjechał do domu. Ten starszy mieszkał ze swoją dziewczyną na osiedlu, gdzie nie było jeszcze telefonów.

Bogdan zjawił się po kilkunastu minutach. Po naszych twarzach poznał, że chodzi o coś poważnego. Nie byłem w stanie mu tego wyznać, nie potrafiłem przewidzieć jego reakcji. To Hanka mu powiedziała.

Podziwiałem swoją żonę, mówiła opanowanym, spokojnym głosem.

– Musimy tu wszystko zostawić i iść za ojcem – zakończyła.

– Jesteś na to gotowy, synu? – zadałem mu pytanie.

Popatrzył mi w oczy.

– Tato, za tobą nawet w ogień!

Pozostawała jeszcze rozmowa ze starszym synem. Wiedziałem, że będzie o wiele trudniejsza. Waldemar skończył prawo w Uniwersytecie Warszawskim, przygotowywał się do doktoratu. Poza tym miał tutaj dziewczynę, chcieli się pobrać. I nagle mam mu powiedzieć, że musi wszystko rzucić i uciekać z Polski? Wolałbym, żeby Hanka mu o tym powiedziała, właśnie jemu, a nie Bogdanowi, bo z nim zawsze lepiej się dogadywałem. Ale tę rozmowę musiałem przeprowadzić ze swoim starszym synem osobiście.

Wsiadłem w samochód i pojechałem na Targówek.

Byli w domu oboje, Waldek i jego narzeczona. Mieli tylko dwa krzesła. Siedziałem na jednym, a oni razem na drugim.

Wyglądało to na rodzinną pogawędkę, tu ojciec, a naprzeciw obejmująca się para. Dziewczyna się uśmiechała, miała szczupłą twarz i olbrzymie ciemne oczy. Bogdan, który jej nie lubił, twierdził, że ma oczy śledczego.

– Wiesz, Iwonka – zacząłem – muszę z Waldkiem porozmawiać. Nie obrazisz się, jak sobie wyjdziemy?

Trochę się zmieszała.

– To ja wyjdę, i tak miałam jechać do mamy. Ale to nic złego?

– Nie martw się – odrzekłem, wiedząc, że właśnie powinna się martwić, bo oto się pojawiłem, aby im obojgu skomplikować życie.

Kiedy Iwona wyszła, nie miałem odwagi zacząć rozmowy. Tak naprawdę nigdy nie umiałem rozmawiać z Waldkiem. Kiedy był mały, byłem zajęty swoimi obowiązkami, kiedy podrósł, też byłem zajęty i potem niestety też. Rzadko się widywaliśmy, odkąd wyniósł się z domu, jedynie z okazji świąt i imienin, ale wtedy się zwykle rozmawia o niczym. Teraz znalazłem się naprzeciw niego i on miał się stać moim sędzią.

– Co jest, tato? – spytał wreszcie. – Co się dzieje?

– Wiesz, synu, piąłem się po szczeblach wojskowej kariery, ale nie mogłem się zgodzić z tym, co się działo w armii.

– Nigdy o tym nie mówiłeś.

– Bo to się nie nadawało do opowiadania. Ale podjąłem pewne osobiste decyzje…

Zauważyłem w jego oczach strach i jakby prośbę, abym nie mówił dalej. Sytuacja była trudna dla nas obu, bo jemu się wydawało, że jesteśmy po jednej stronie, a w rzeczywistości znaleźliśmy się bardzo daleko od siebie. Poprzez swoją narzeczoną Waldek trafił do środowiska partyjnego betonu i był podatny na ich argumenty. Nie wtrącałem się, uważając, że to młodzieńcza choroba, która mu przejdzie z wiekiem. Nikt rozsądny nie mógł przecież zbyt długo wytrwać w przekonaniu, że może istnieć komunizm z ludzką twarzą. Waldek był właśnie na etapie ślepej wiary i chciał

uszczęśliwiać ludzkość na siłę. Jednocześnie był bardzo krytyczny, co zrozumiałe, wobec ruchu Solidarności. Uważał, że władze związkowe są nieodpowiedzialne i działają na zgubę Polski. Nawet z nim nie dyskutowałem. Zaniepokoiłem się dopiero, gdy przyszedł do mnie po radę. Zaproponowano mu pracę w kontrwywiadzie. Tego tylko by brakowało, żeby własny syn mnie aresztował! Zastanawiałem się, jak go od tego odwieść, nie mogłem za bardzo naciskać. Bo skutek wtedy bywa odwrotny. „Na twoim miejscu dałbym sobie z tym spokój – powiedziałem mu. – Twoim powołaniem jest praca naukowa". „Chciałbym coś zrobić dla mojego kraju". „Zostaw to mnie" – odrzekłem. Nie wiem, czy to go przekonało, ale nie wracaliśmy już do tej sprawy.

– Synu – powiedziałem teraz. – Dziewięć lat temu podjąłem pewną decyzję, która zmusza mnie teraz do wyjazdu z Polski… mnie i moją rodzinę.

Patrzył na mnie z powagą, rysy mu się ściągnęły. Przypominał mi w tym momencie ojca Hanki, który też tak na mnie patrzył, gdy go prosiłem o jej rękę. Chciał wyczytać z moich oczu, czy będę dobrym mężem dla jego córki.

– Jak to, twoją rodzinę, tato? Kogo masz na myśli?

– No, mamę, ciebie i Bogdana.

– Ale… dlaczego?

– Prowadziłem własną wojnę z Sowietami, mając za partnerów Amerykanów.

– CIA?

Skinąłem twierdząco głową. Oczy mojego syna pociemniały, stały się niemal czarne. Zerwał się z krzesła.

– Byłeś szpiegiem! Ty! Taki autorytet dla mnie!

– Nie byłem szpiegiem, współpracowałem z nimi dla dobra swojej ojczyzny.

Wiedziałem, że ściany w blokach z wielkiej płyty przepuszczają wszystkie dźwięki, nawet głośniejszy szept, ale miałem nadzieję, że dość głośna muzyka z radia zrobi swoje.

To było naprawdę przejmujące, mówiliśmy ściszonymi głosami rzeczy tak bolesne dla nas obu.

– Dlaczego ja mam wyjeżdżać? – spytał bezradnie. – Nie miałem z tym nic wspólnego, mam swoje życie i… inne przekonania!

– To się nie będzie liczyło po mojej ucieczce. Staniesz się ich zakładnikiem.

Patrzyłem mu prosto w oczy i widziałem w nich tylko wrogość.

– A jeżeli zaryzykuję? Nie wierzę w coś takiego jak odpowiedzialność zbiorowa, stalinizm dawno przeminął.

Uśmiechnąłem się smutno.

– Synu, ty nie wiesz, jaki naprawdę jest ten kraj.

– Żyję tutaj.

– Ale nie wiesz tyle, co ja. Uwierz mi, czy kiedykolwiek cię okłamałem?

– Okłamywałeś mnie przez tyle lat! Mnie, matkę… ona chyba nic nie wiedziała?

– Nie.

Ciężko się prowadziło rozmowę z bliskim człowiekiem, do którego moje słowa nie trafiały. To był dla Waldka prawdziwy szok. Zareagował inaczej niż Hanka, która w momencie zagrożenia zmobilizowała w sobie wszystkie siły obronne, zareagowała w sposób biologiczny. Chronić rodzinę, chronić dzieci. Aon starał się zrozumieć moją decyzję. Ale nie potrafił.

– Muszę porozmawiać z Iwoną – powiedział, przełykając ślinę. Miał spieczone usta, jak w gorączce.

– Nie możesz z nią o tym rozmawiać.

– Dlaczego?

– Bo wydajesz na mnie wyrok śmierci. Nasze spojrzenia się spotkały.

– To najbliższa mi osoba. Będzie milczała.

– Ja nawet nie wiem, czy ty będziesz milczał.

Mój syn zgarbił się, ukrył twarz w dłoniach.

– Może za jakiś czas będziesz mógł ją ściągnąć – powiedziałem.

– Za ile? Za miesiąc? Za pół roku? Za rok?

Zapaliłem kolejnego papierosa.

– Tego nie wiem.

Spojrzał na mnie. W jego oczach nie dostrzegłem już buntu, ale rezygnację.

– Ja… w tej chwili nie mogę, nie potrafię powiedzieć, czy… czy do was dołączę.

Wracając do domu na Nowe Miasto, jeszcze raz rozważałem wszystkie możliwości. Jedynym czystym rozwiązaniem byłoby moje samobójstwo. Sprawa zostałaby zamknięta, moim bliskim dano by spokój. Tak się to odbywało w układach mafijnych – ty strzelisz sobie w łeb, a my się zaopiekujemy twoją rodziną. Przez te wszystkie lata sądziłem, że w razie wpadki tak właśnie postąpię. Ale nie mogłem zrobić tego Hance, już nie. Przyrzekłem jej, że uczynię, co w mojej mocy, abyśmy wszyscy wydostali się z Polski. No tak, tylko że mój starszy syn jeszcze się nie zdecydował, poprosił o czas do jutra.

Było mi go strasznie żal, znalazł się w sytuacji, która go przerosła.

Podjeżdżając pod dom, spostrzegłem, że jest obstawiony. Było ich kilku, jeden spacerował po ulicy, inni siedzieli w zaparkowanych samochodach. Wyszedłem z psem, a oni odwracali twarze na mój widok. Pies? Tak, to była Kama, matka szczeniaka, którego podarowałem Halince. Z Kamą też czekało mnie rozstanie.

Hanka wypytywała, jak przebiegła rozmowa z Waldemarem. Powiedziałem, że jeszcze się nie zdecydował.

– Musi z nami jechać – odrzekła. – Nie ma innego wyjścia. Nikt z naszej rodziny nie ma innego wyjścia!

– Jest dorosły, ma swoje życie.

– Nie! Należy do rodziny, a rodzina musi się trzymać razem. – Jej głos brzmiał twardo.

Nie poznawałem swojej żony. Ona, zawsze taka uległa, teraz jakby przejęła ster. Mówiła nam, co mamy robić, i nie chciała słuchać żadnych sprzeciwów.

– Zacznij działać – powiedziała.

– Może poczekamy, co zdecyduje Waldek.

– On już zdecydował!

Następnego dnia wysłałem wiadomość do Amerykanów, aby uruchomili plan mojej ewakuacji, ale jeden warunek: z rodziną. Na spotkanie w tej sprawie pojechałem autobusem, często się przesiadając i krążąc po mieście. W końcu wyglądało na to, że zgubiłem „ogon".

Przed Wyższą Oficerską Szkołą Pożarnictwa na Żoliborzu uściskała mnie serdecznie młoda kobieta o jasnych włosach, nieco wyższa ode mnie. Przytuleni spacerowaliśmy chodnikiem pod drzewami, a ona szeptała mi do ucha, jak ma wyglądać plan mojej ewakuacji. Zaczęła mówić po polsku, ale potem przeszła na angielski, bo stwierdziła, że tyle pracy jej przysparzałem przez te lata, iż nie miała czasu nauczyć się języka. Nieopodal w samochodzie, jak było umówione, w starym oplu z włączonym silnikiem, bo gasł w najmniej odpowiednich momentach, siedział Bogdan, mój młodszy syn. Kobieta zaproponowała, że może mnie już teraz zabrać i ewentualnie Bogdana.

Odpowiedziałem:

– Wszyscy albo nikt.

Stwierdziła, że w takim razie przygotowania muszą potrwać kilka dni. Amerykanie też już byli pod coraz szczelniejszą obserwacją. Dla mnie zwłoka mogła oznaczać śmiertelne niebezpieczeństwo, ale nie było innego wyjścia.

Ciągle nie wiedziałem, jaką decyzję podejmie starszy syn. Minęły dwa dni, a Waldek się do nas nie odzywał, nie kontaktował się ani ze mną, ani z matką. A przecież dosłownie w każdej chwili mogła nadejść wiadomość o naszej ewakuacji

z kraju. W końcu zatelefonował. Przepraszał, że się nie odzywał, ale jest zawalony pracą.

– Wiesz, tato, nie skorzystam z twojej propozycji. Ale będziemy w kontakcie, tak?

Odłożyłem słuchawkę. Hanka patrzyła na mnie w napięciu.

– On z nami nie jedzie.

Bez dłuższych dyskusji wsiadła w autobus i wyruszyła na Targówek. Nie było jej dość długo. Zaczynałem się już niepokoić, kiedy zjawili się oboje.

Nie wiem, jak go przekonała, żeby zmienił decyzję. Przez całe jego dzieciństwo byłem praktycznie nieobecny, a z matką spędzał dużo czasu. Bogdan to był pędziwiatr, tylko patrzył, jak tu zwiać z domu. Waldek, przeciwnie, godzinami siedział w swoim pokoju, czytał książki. Dużo też z Hanką rozmawiał, dobrze się rozumieli, to jej pierwszej się zwierzył, że chce się ożenić z Iwoną. Matka miała na niego duży wpływ, może nawet zbyt duży. Byłem oczywiście ciekaw, jak go przekonała, jakich użyła argumentów. Pytałem ją o to, ale nie była zbyt rozmowna.

– Powiedziałam mu to, co tobie… Że rodzina musi być razem.

Dzisiaj, po jego tragicznej śmierci, myślę, że nie wolno nam było wywierać na niego presji… Że on sam powinien decydować o swoim losie. Oczywiście w Polsce też mogło mu się coś złego przytrafić, ale tego nie wiemy. Prawdopodobny scenariusz byłby taki, że stałby się zakładnikiem sił bezpieczeństwa. Pewnie postawiliby warunek: moje życie za życie syna. I ja bym na to przystał.

W Ameryce Waldemar dosyć szybko się zaaklimatyzował, uzupełnił studia prawnicze, podjął pracę naukową, w końcu został profesorem prawa w Uniwersytecie Stanowym Arizony w Phoenix. Ale nie ułożył sobie życia osobistego, a przynajmniej z nikim nie związał się na stałe. Ta jego narzeczona… nawet nie mógł się z nią pożegnać. Po prostu

zniknął, pozostawiając wszystko, ubrania, buty, rzeczy osobiste. Wychodząc z matką, powiedział Iwonie, że musi coś załatwić i wróci za kilka dni. To było w piątek szóstego listopada. Następnego dnia cała nasza rodzina została ewakuowana z Polski przez Amerykanów.

Wiem, że krążą legendy o mojej ucieczce, podawano różne wersje: pierwsza, że wyleciałem samolotem LOTu z amerykańskim paszportem, druga, że wydostałem się łodzią podwodną, trzecia – ciężarówką na amerykańskich numerach, podobno mieliśmy ukryć się z rodziną w jakichś pudłach. Prawdziwa wersja? Prawdziwa wersja jest taka, że oni – Hanka i chłopcy – wcześnie rano tego dnia wyjechali dwoma samochodami na dyplomatycznych numerach do Berlina Zachodniego. A ja jeszcze zaszczyciłem swoją obecnością przyjęcie w ambasadzie radzieckiej, z okazji rocznicy rewolucji październikowej. To było dla mnie niesamowite przeżycie. Widziałem ludzi, z którymi kontaktowałem się niemal co dzień przez tyle lat, rozmawiali ze mną, uśmiechali się, wznosili toasty, trącałem się z nimi kieliszkiem. I za kilka godzin mieli bezpowrotnie zniknąć z mojego życia. Czy inaczej, ja miałem zniknąć z ich życia, miałem wymknąć się bez uprzedzenia, jak to się mówi, po angielsku, co o tyle odpowiadało rzeczywistości, że Polskę przyszło mi opuścić z angielskim paszportem w kieszeni.

Od tego wszystkiego kręciło mi się w głowie, chociaż oczywiście, w odróżnieniu od innych gości, nie wypiłem na przyjęciu ani kropli… Światło z kryształowych żyrandoli odbijające się w posadzkach wydawało się za jasne, wręcz oślepiające, gdybym mógł, wszystkie bym je pogasił. Bałem się, że moja bladość, mój przylepiony uśmiech będą bardziej widoczne. Wtedy myślałem tylko o jednym: czy mojej rodzinie się udało. I czy mnie się uda. Widziałem kiedyś film nakręcony na podstawie sztuki Gogola. Głównego bohatera osaczały zewsząd twarze, wynaturzone, przymilały się, stroiły miny, ale

czuć było od nich fałsz na kilometr. I tutaj podobnie, zawsze mnie uderzała usłużność naszej generalicji wobec Sowietów, niby byliśmy sojusznikami, ale jakby drugiej kategorii. Ta przyjaźń polsko-radziecka była sztuczna i wymuszona, gdyby nie ich rakiety i czołgi, skończyłaby się w ciągu pięciu minut. Tak wtedy myślałem, teraz już niestety nie, moje gorzkie doświadczenia po tym, jak Polska odzyskała wolność, sprawiły, że zmieniłem zdanie.

Podszedł do mnie mój szef, generał Szklarski. – Jak się pan bawi, pułkowniku?

– Dziękuję – odrzekłem. – Kiedy się jest wśród przyjaciół, nie wypada źle się bawić.

Pokiwał głową na znak, że rozumie, co mu chciałem przekazać. On też miał mi coś do przekazania. Nie mógł wybrać lepszej chwili. Otóż wpłynęło na mnie zażalenie, że nie udzielam się aktywnie na zebraniach naszej podstawowej organizacji partyjnej. Przez co najmniej piętnaście lat ani razu nie zabrałem głosu.

– Jak to? – oburzyłem się. – Ostatnio nawet podniosłem rękę i spytałem, kiedy będzie przerwa.

– Nie żartujcie sobie – odpowiedział. – Sytuacja jest napięta, ci z kontrwywiadu patrzą nam na ręce. Wyjaśniana jest wiadoma sprawa.

– Obywatelu generale, ale to, czy dobry ze mnie, czy niedobry komunista, na tamtą sprawę nie ma bezpośredniego wpływu. Może jestem po prostu leniwym komunistą.

Jasne, że do końca byłem członkiem partii, przecież nie mogło być inaczej. Gdybym oddał legitymację partyjną, już następnego dnia przestałbym służyć w wojsku, i to na tak wysokim stanowisku.

Spoglądałem ukradkiem na zegarek, dokładnie kwadrans po dwudziestej miałem opuścić ambasadę. Wszystko było wyliczone co do minuty. A tu jak na złość przyczepił się do mnie mój kolega, dobrze już podpity, i trzymając mnie za guzik

od munduru, coś bełkotliwie opowiadał. Nawet go nie słuchałem.

– Dobrze, Heniu, dobrze – mówiłem uspokajająco. – Porozmawiamy w poniedziałek w sztabie.

Mój plan opóźnił się już o pięć minut. Zacząłem się wycofywać w stronę korytarza, a on nie odstępował mnie na krok. Tak znaleźliśmy się przy drzwiach do toalety, wepchnąłem go tam i mimo protestów zamknąłem za nim drzwi. Zanim je otworzył, udało mi się oddalić.

Sam też udawałem wstawionego, odebrałem płaszcz w szatni.

– Służba nie drużba – powiedziałem do szatniarza, oczywiście na usługach KGB.

Wsiadłem do taksówki, która zawiozła mnie kilka przecznic dalej. Przeszedłem przez podwórko na inną ulicę, tam czekał na mnie samochód z kierowcą. Podjechaliśmy pod starą kamienicę na Mokotowie, w mieszkaniu na drugim piętrze czekała na mnie cała ekipa. Fryzjer, kosmetyczka, nawet manikiurzystka. Przefarbowano mi włosy, zmieniono brwi, miałem teraz nosić okulary w grubej rogowej oprawie. Miła dziewczyna zajęła się moimi rękami, ktoś, kto wypożyczał mi swoją tożsamość, miał wypielęgnowane ręce. Kiedy zdejmowałem mundur, zamieniając go na garnitur dobrej angielskiej firmy, który też tu na mnie czekał, ogarnęło mnie uczucie żalu. W tamtej chwili pragnąłem, aby czas się cofnął, ale w domu przy Rajców 11 nikogo już nie było, nawet mój pies zmienił właściciela. Szybko się przebrałem, włożyłem obcy, bardzo elegancki płaszcz, nasunąłem na głowę kapelusz – nigdy wcześniej i nigdy później nie nosiłem już kapelusza – i wyszedłem pod rękę z kobietą. To ona miała mnie zawieźć na lotnisko.

Mężczyzna, który wypożyczył mi swój paszport, był rzeczywiście bardzo do mnie podobny. Mieszkał w Londynie i dlatego moja droga do Ameryki musiała się zacząć od tego

miasta. W jaki sposób go odszukano i co ważniejsze, jak się udało namówić go na tak ryzykowną eskapadę, do dziś pozostaje dla mnie tajemnicą. Wiem tylko, że dzień wcześniej przyleciał do Warszawy, a po mojej ucieczce zgłosił kradzież dokumentów.

Jak się czułem w obcej skórze? Bardzo źle. Dręczył mnie niepokój o bliskich, nie wiedziałem jeszcze, czy udało się im bezpiecznie stąd wydostać. A ja miałem przed sobą jeden z najtrudniejszych życiowych egzaminów, musiałem udawać cudzoziemca we własnym kraju. Wiedziałem, że to będzie gra nerwów i jeden nieostrożny ruch może mnie zdemaskować. Gdyby oficer w okienku powziął najmniejsze podejrzenie, nic by mnie nie uratowało. Bardzo szybko by odkryli, że nie jestem Anglikiem. Znałem angielski i być może wopista by się nie zorientował po kilku zdawkowych słowach, że to oszustwo. Oni tam nie byli poliglotami, ale mieli poliglotów na swoich usługach. A niemowy udawać nie mogłem. Kiedy się dowiedziałem, że będę przebrany za Anglika, od razu miałem wątpliwości. Z amerykańskim paszportem czułbym się bardziej swobodnie, Polonusi często nie znają dobrze języka kraju, w którym mieszkają.

Czasami sobie myślę, że moje życie jest fabułą, do której ktoś wymyśla puenty. Nie wiem tylko kto, może sam Pan Bóg… Za mną w kolejce do odprawy paszportowej ustawiła się grupa alpinistów, ze sprzętem, z plecakami. Z ich głośnych rozmów zorientowałem się, że jadą pokonywać jakiś szczyt na granicy Indii i Pakistanu. Wszyscy brodaci, w grubych golfach i sztruksowych spodniach, na luzie. Ja przy nich, w tym idiotycznym filcowym kapeluszu, czułem się jak dupek. I powiem ci, że chętnie bym odrzucił tę elegancką aktówkę, ten płaszcz z wielbłądziej wełny i się do nich przyłączył. To byli moi rodacy, mówiliśmy tym samym językiem, w tamtym momencie prawie ich kochałem. Ale to właśnie przez nich cały

ten misterny plan mojej ucieczki o mało się nie zawalił. Kiedy podawałem oficerowi paszport, jeden z nich wyjął organki i zagrał poloneza Michała Ogińskiego *Pożegnanie Ojczyzny*. Grał dla swojej ekipy, bo wyjeżdżali na niebezpieczną wyprawę i nie wiadomo było, czy wszyscy wrócą, ale mnie to dosłownie sparaliżowało, łzy stanęły mi w oczach. A miałem udawać flegmatycznego Anglika.

Na szczęście wopista zajęty był moim paszportem, dość długo go wertował, potem przyjrzał się fotografii i wskazał palcem moje okulary. Zrozumiałem, że życzy sobie, abym je zdjął. I to był bardzo nieprzyjemny moment, chociaż uprzedzano mnie, że coś takiego może się wydarzyć. Ponieważ z tym zwlekałem, on straszną angielszczyzną wypowiedział dwa słowa:

– *Glasses out!*

Skinąłem głową na znak, że rozumiem, i zdjąłem szkła. Wtedy dopiero dotarło do mnie, jak zbawienny był pomysł z tymi okularami, mogłem się za nimi bezpiecznie ukryć. Masz rację, do czasu. Ale to była tylko chwila, zmrużyłem powieki, udając krótkowidza. Wopista jeszcze raz spojrzał na zdjęcie, potem znowu na mnie i wykonał gest przyzwalający na włożenie szkieł. Przystawił wreszcie pieczątkę w paszporcie, dokumentując tym moje wyjście z komunistycznego więzienia do wolnego świata. Szkła były prawdziwe, jak najbardziej. Miały jakiś ułamek dioptrii, tutaj nie mogło być żadnej fuszerki, bo to kosztowało życie.

Kiedy już siedziałem w samolocie – nie, to nie były polskie linie, ale brytyjskie – wyciągnąłem nogi i zobaczyłem, że mam na sobie zielone wojskowe skarpetki. Po prostu zapomniałem je zmienić. Mogło to mieć znaczenie w przypadku kontroli osobistej. Dlatego ubranie, krawat, buty, zegarek, a nawet bieliznę, za przeproszeniem, gatki, miałem angielskiej firmy. Ale na szczęście nie rozbierano mnie do rosołu. Organizatorzy mojej ucieczki pomyśleli o wszystkim, nawet o tym, żeby

godzina odlotu była możliwie późna, bo wtedy personel na lotnisku jest już zmęczony i przestaje być taki gorliwy. I jak widzisz, okulary musiałem zdjąć, ale spodni już nie.

Samolot wzbił się w powietrze, a ja pociągnąłem z piersiówki spory łyk koniaku, co wcale mi nie pomogło. Nerwy, jak ciasny pancerz, nadal spinały moje ciało, bałem się, że kiedy w końcu puszczą, po prostu się rozsypię.

W Londynie oczekiwał mnie ktoś z Agencji. Spytałem o moją rodzinę, ale on nic o nich nie wiedział. Nie był zbyt rozmowny. Kiedy próbowałem mu coś o sobie opowiedzieć, przerwał mi obcesowo:

– Proszę nic nie mówić. Ja nie mam prawa i nie chcę niczego o panu wiedzieć.

Pokazał mi wiszące na ścianie zdjęcie Waszyngtonu z lotu ptaka, na którym widać było Biały Dom.

– Mam nadzieję, że wkrótce pan wyląduje w tym miejscu.

Następnego dnia rano odleciałem do Niemiec, już z innym paszportem i inną tożsamością. Mogłem wreszcie pozbyć się tego idiotycznego kapelusza i okularów w rogowej oprawie. Dwóch nieznanych mi Amerykanów odebrało mnie z lotniska, niestety, nic nie umieli powiedzieć na temat moich bliskich. Zacząłem się już bardzo niepokoić, różne myśli chodziły mi po głowie. Skoro oni nabrali wody w usta, może ucieczka się nie udała. Może Hanka i synowie zostali zatrzymani na granicy. Albo któreś z nich. Ona jechała z jednym z synów, a drugi podróżował osobno. Mieli amerykańskie paszporty dyplomatyczne. Zastanawiałem się, co zrobię, jeżeli tak się rzeczywiście stało. I było tylko jedno wyjście – powrót do Polski.

Z wojskowego lotniska zostałem przewieziony do amerykańskiej bazy na południu Niemiec. Kiedy wysiadałem z samolotu, ręce mi się trzęsły, serce waliło, bo wiedziałem, że jeżeli mojej rodziny tutaj nie ma, może to oznaczać tylko

jedno, że został zrealizowany czarny scenariusz naszej ucieczki.

Ale oni tam byli. Przypadliśmy do siebie wszyscy, ciasno się obejmując, i żadne z nas nie było w stanie wypowiedzieć słowa. Hance łzy płynęły po policzkach.

Wkrótce wylecieliśmy z Niemiec amerykańskim samolotem wojskowym, kursującym regularnie do bazy lotniczej Andrews pod Waszyngtonem.

Generał Kiszczak wyznał w mediach, że nasz wywiad niczego nie podejrzewał, nie prowadzono żadnego śledztwa i to, że musiałem uciekać z Polski przed aresztowaniem, jest nonsensem. A ciągnące się za mną „ogony" były wytworami mojej chorej wyobraźni. Podobno Amerykanie ewakuowali mnie z przyczyn strategiczno-politycznych. Chcieli w ten sposób powiedzieć: generale Jaruzelski, generale Kiszczak, wiemy wszystko o planach wprowadzenia stanu wojennego i jest nam na rękę, że zrobiliście to wy, a nie Rosjanie. To ciekawe rozumowanie, tylko generał Kiszczak mógłby na to wpaść. Czy się z nim przyjaźniłem? Wiesz, trudno teraz na to odpowiedzieć. Tak, tak, znam te jego wynurzenia. Miałem przychodzić do jego gabinetu, w czasie gdy był szefem wywiadu wojskowego. Byłem grzeczny, miły, taktowny, nigdy się niczym nie interesowałem, a jak mnie prowokował do rozmów, zawsze mu przerywałem i mówiłem, że ponieważ ma dużo pracy, nie będę mu przeszkadzał. Coś w tym jest… Widzisz, mnie nie bardzo interesowały rozmowy z nim, bo chociaż on o mnie mówi, że byłem człowiekiem bardzo inteligentnym, ja go za takiego nie uważałem. Widziałem te wszystkie jego ograniczenia i jako partner do rozmowy mnie nie interesował. A już całkiem kuriozalna jest ta jego wypowiedź na temat mojej pożyczki z kasy wywiadu. I on to uważa za pewne podchody do niego ze strony amerykańskiego wywiadu. No wiesz, miałem się zwrócić z prośbą o pożyczkę

dużej sumy forintów na zakup części do samochodu i on mi je dał bez pokwitowania. Wywiad posiadał swoje fundusze, i to przeważnie w obcej walucie, bo przecież wiadomo, że działał poza granicami Polski. No więc generał, nie podejrzewając niczego, dał mi te forinty, a potem ja ich nie chciałem zwrócić, robiłem uniki, a wszystko po to, aby go wplątać, jak to on się wyraził, w „niezgodne z przepisami gospodarzenie pieniędzmi”. I kto tu ma chorą wyobraźnię, osądź sama.

Już nie pamiętam, może i coś pożyczałem, bo ten mój samochód ciągle się psuł, ale to nie mogły być duże sumy.

Przy obiedzie opowiedziałam pułkownikowi pewną historię z mojego życia związaną z osobą generała Kiszczaka. Otóż w stanie wojennym mój ówczesny życiowy partner został internowany w więzieniu w Białołęce, a ja poważnie zachorowałam. Wtedy zaprzyjaźniona z nami Agnieszka Osiecka…

– Od tej piosenki *Niech no tylko zakwitną jabłonie?*

– Od tej i od innych.

– …więc Agnieszka poszła do generała i poprosiła, aby wypuścił mojego partnera ze względu na trudną sytuację rodzinną. I opowiadała mi potem, nie wiem, czy tego nie wymyśliła, że jego sekretarka wczesnym przedpołudniem przywitała ją w długiej wieczorowej sukni, z przypiętą na piersi pąsową różą.

– Myślisz, że to prawdopodobne?

– No, on zawsze miał coś z kabotyna.

Na obczyźnie

Do Stanów Zjednoczonych przybyliśmy jedenastego listopada. Było bardzo zimno i wietrznie, padał pierwszy śnieg. Na lotnisku powitał mnie znany ci już Henry i jakiś oficjel.

Padliśmy sobie z Henrym w ramiona.

– Cieszę się, Richard, że jesteś cały i zdrowy. Ameryka nie da ci tak łatwo spokoju, Ameryka nadal cię potrzebuje.

Kolumna samochodów ruszyła do „bezpiecznego miejsca" położonego w okolicach Waszyngtonu. Byliśmy tam kilka dni temu, pokazywałem ci nasz pierwszy dom. Tak, z tymi świerkami. Własnoręcznie je sadziłem, teraz to już potężne drzewa. Pierwsze, co mnie uderzyło, kiedy przestąpiliśmy próg naszej amerykańskiej siedziby, to ciepło… Nie, nie ciepło domowego ogniska, to na zawsze zostało poza mną i zawsze będzie mi się kojarzyć z adresem Rajców 11, z moim fotelem, na którym często przysypiałem zmęczony, z moim psem, któremu serce pękło z tęsknoty za panem. Tak było, weterynarz powiedział znajomym, którzy wzięli moją sukę, że nie wytrzymało jej serce. A dom, który budowałem przez sześć lat, generał Jaruzelski, po tym jak sąd wojskowy skazał mnie na karę śmierci, ofiarował komunistycznemu premierowi, którego ściągnął ze Śląska. Zrobił to z pogwałceniem prawa, nawet tego komunistycznego, bo dom był wspólną własnością hipoteczną moją i mojej żony, a Hanka nie została skazana, więc jej połowę domu skonfiskowano bezprawnie. Jak nastała wolność, pan premier się chyba przestraszył i sprzedał komuś mój dom, a od tego kogoś z kolei nabyły go siostry zakonne.

Sprawa jego zwrotu ciągnęła się latami, bo władze uważały, że skoro siostry kupiły ten dom w dobrej wierze, to mnie należy się najwyżej odszkodowanie od skarbu państwa. A mnie pieniądze nie interesują, ja bym chciał wejść na schody swojego domu, otworzyć drzwi, które kiedyś zamykałem, w moim przekonaniu na zawsze, i pomyśleć, że znowu jestem u siebie. Nigdy już nie będę u siebie, bo nikt mi nie zwróci „mojego domowego ogniska", które zbudowałem własnymi rękami. Tutaj, w Ameryce, też coś budowałem, ale mimo że pokochałem ten kraj i traktuję go jak swoją drugą ojczyznę, nie znalazłem miejsca, z którym związałbym się uczuciowo. Mogę tutaj mieszkać wszędzie.

No więc weszliśmy do tego domu w bezpiecznym miejscu. Na kominku w salonie palił się ogień, na stole stał bukiet kwiatów, w lodówce było pełno jedzenia, a także kilkanaście puszek piwa. Potem odkryłem barek, gdzie stały szlachetniejsze alkohole. Moi amerykańscy przyjaciele zrobili wszystko, abym dobrze się poczuł w ich kraju. Ale ja jeszcze nie byłem sobą i musiało upłynąć wiele czasu, zanim zacząłem dobrze się czuć w swojej nowej skórze.

Wiesz, to był typowy amerykański dom z czterema sypialniami, dwiema łazienkami, kuchnią i salonem. Niestety, o tyle różnił się od innych podobnych domów, że był strzeżony na okrągło, z zewnątrz i od wewnątrz, przez cywilów z bronią. Czuliśmy się trochę jak w twierdzy, nie wolno nam było mówić po polsku, tylko po rosyjsku. Tymczasem ani Hanka, ani synowie nie posługiwali się tym językiem zbyt dobrze. Więc przeważnie milczeliśmy. Ale mogłem wszystko wyczytać z ich twarzy: tęsknotę za Polską, osamotnienie, zagubienie. A ja nie umiałem im pomóc, każde z nas samodzielnie musiało odnaleźć swoją drogę do tego kraju.

Zaraz po przyjeździe „zaopiekowała się" nami Rosjanka Anastazja, sierżant z Pentagonu. Potem, jak się lepiej poznaliśmy, powiedziała mi, że pracowała dawniej dla

Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Niewiele zachowała z tej wschodniej otwartości, jaka cechuje Rosjan, chociaż oczywiście starała się być uprzejma. Nieustannie życzyła nam wszystkim miłego dnia, a to na razie nie mogło się spełnić. Byliśmy rozbitkami, każdy na inny sposób, najbardziej poszkodowany czuł się chyba mój starszy syn, który, jak wiesz, nie chciał wyjeżdżać z Polski.

Na początku, przez mniej więcej tydzień, prawie nie wychodziłem z domu. Większą część dnia przesypiałem, mimo że przedtem wystarczało mi parę godzin, mogłem też zarwać kilka nocy pod rząd, kiedy miałem pilną pracę. A teraz nagle nic nie musiałem i czułem się tak, jakby mnie życie odesłało na przedwczesną emeryturę. Najgorsze były przebudzenia, bo w snach powracałem do Polski, do Warszawy, do domu przy ulicy Rajców, do mojego psa. W snach chodziłem z Kamą na spacery, słyszałem jej radosne szczekanie… A potem przebudzenie, obcy sufit, obce wnętrze. I znowu uciekałem w sen. Ale w końcu trzeba było wyjść, zrobić jakieś zakupy. Z domu nie zabraliśmy niczego poza kilkoma drobiazgami i fotografiami. Sierżant Anastazja zawiozła nas do kilku sklepów. Wybrałem dwa garnitury, okazało się, że są *made in Poland*. No, sklep nie był zbyt elegancki, zwyczajny supermarket, w tych elegantszych takiej naszywki byś nie znalazła, niestety. Tam to tylko *made in England, made in Italy…* tak to jest.

Po tygodniu psychicznej kwarantanny jakoś się pozbierałem i zacząłem przyjmować zaproszenia na różnego typu spotkania. William Casey, dyrektor CIA, wręczył mi w Langley medal za zasługi dla amerykańskiego wywiadu. Takich medali CIA przyznała tylko osiem. Mnie się on należał, według Amerykanów, ponieważ przez dziewięć lat dostarczałem wyjątkowej wartości informacji o siłach zbrojnych, planach operacyjnych i zamiarach Związku Sowieckiego oraz państw Układu Warszawskiego. Przez cały ten czas, według nich,

działałem z najszlachetniejszych pobudek i głębokiego poczucia obowiązku oraz umiłowania wolności. Jak ci się podoba taka laurka? No, mnie się dosyć podobała, tylko że dali mi ten medal i zaraz odebrali, bo nawet jego przyznanie było okryte wielką tajemnicą. W liście, który dostałem od Caseya, napisał: „Ci, którzy znają Pana osobiście, uważają Pana za przyjaciela, człowieka wielkiego charakteru i odwagi, polskiego patriotę i bohatera". Wracając do medalu, trzymany był w sejfie w Langley i dopiero kiedy Bob Gates został dyrektorem CIA, zaprosił mnie do siebie i wręczył mi go powtórnie, tym razem już na zawsze.

Czy to miało dla mnie znaczenie? Mam być szczery? Jeden z oficerów AK, stary już człowiek, oddał mi swój order Virtuti Militari – to dla mnie znaczyło dużo więcej niż amerykańskie zaszczyty.

Uważasz, że ten medal CIA jednak wskazuje na to, że Amerykanie traktowali mnie jak agenta, bardzo zasłużonego, wyjątkowego, ale agenta? Na początku myślałem o sojuszu wojskowym z Amerykanami, ale to była mrzonka, więc pozostawało tylko pośrednictwo CIA. Mogłem z niego skorzystać lub się wycofać. Wybrałem to pierwsze. Pytasz, dlaczego w takim razie ten pośrednik mnie uhonorował, a nie armia amerykańska? Nie mogła tego zrobić, bo wjaki sposób?

Jeszcze nie widziałem, żeby jedna armia wręczała odznaczenia oficerowi innej, a ja byłem pułkownikiem Ludowego Wojska Polskiego. A prezydent? Dokumenty, które przekazywałem do Ameryki, lądowały najego biurku i on nawet chciał się ze mną spotkać, ale w końcu moja ochrona się sprzeciwiła, bo nie było sposobu, aby utrzymać takie spotkanie w tajemnicy przed prasą. Biały Dom nie wchodził w grę, Camp David to samo. Spotkał się ze mną natomiast Zbigniew Brzeziński, w hotelu Four Seasons w Waszyngtonie. To było bardzo poruszające. Wiesz, wszedł pod pokoju, wyciągnął do mnie rękę i powiedział: „Pan się dobrze Polsce przysłużył".

To co, chyba na dzisiaj kończymy. Widzę po tobie, że jesteś zmęczona, ty mój przybyszu z dawno niewidzianej ojczyzny.

Na kolację poszliśmy do małej chińskiej restauracyjki, gdzie świeciły lampiony i był miły, intymny nastrój.

– Wiesz, nie wszystkie bitwy, które w życiu toczyłem, były poważne. Mam w swoim życiorysie także wojnę z myszami. – Pułkownik zapalił papierosa. – To było na Florydzie. Przebudowywałem tam nasz kolejny dom, a te stworzenia przeniosły się na zimę nie tylko do piwnicy, ale także na parter. Ponieważ coś trzeba było z tym zrobić, wezwałem specjalistę od tych spraw, jak się miało okazać, specjalistkę. Przyjechała taka wielka antypatyczna baba, w dodatku na wysokich obcasach, więc rozmawiając z nią, musiałem zadzierać głowę, i zrobiła mi wykład na temat różnych metod uśmiercania tych skądinąd sympatycznych zwierzątek. „A tak, żeby jednak zachować je przy życiu, by się nie dało?" – spytałem. Spojrzała na mnie niemal z pogardą. „Jak pan to sobie wyobraża?" „No… żeby je jakoś przegonić?" „Co pan, gryzonia nie da się przegonić, gryzonia można tylko zderatyzować!" „To ja się jeszcze zastanowię" – odpowiedziałem.

Pojechałem do miasta i kupiłem klatkę-pułapkę z podnoszonymi drzwiczkami. Wkładałem do środka kawałek bekonu i rano zastawałem tam uwięzionych moich nieproszonych lokatorów, nawet po kilka sztuk naraz. Wywoziłem to towarzystwo spory kawał od domu i wypuszczałem na wolność.

Zajmowało mi to sporo czasu, a myszy jakoś nie ubywało. Ja bym się nawet nimi nie przejmował, ale Hanka za nimi nie przepadała. A raczej bała się ich panicznie, jak każda chyba kobieta. Opóźniałem więc remont, z tygodnia na tydzień przesuwając termin naszej przeprowadzki. I dalej prowadziłem walkę podjazdową z gryzoniami. Muszę ci powiedzieć, że miałem chwile zwątpienia, ale któregoś dnia zastałem klatkę pustą, bekon był nienaruszony. A jednak wygrałem moją bezkrwawą wojnę z mysim rodem.

Jestem miłośnikiem zwierząt, nawet tych najmniejszych, a poza tym nie lubię nikogo zabijać.

Wróćmy do wydarzeń z końca osiemdziesiątego pierwszego roku. Przedstawiałem Amerykanom swoje opinie o możliwym rozwoju sytuacji w moim kraju, w najbliższych dniach i godzinach. Oceniałem, ile jeszcze czasu pozostało do wprowadzenia stanu wojennego. Oni byli informowani o tym głównie przez ludzi z Solidarności, którzy nie doceniali siły rządu – czyli wojska i milicji – oraz wojsk sowieckich, czekających za rogiem. Wydaje mi się, że byłem w stanie przeciwstawić temu chłodną, pragmatyczną opinię, która została wzięta pod uwagę.

Toczą się spory na ten temat, czy gdyby prezydent Reagan ujawnił, iż wie o zamiarach wprowadzenia stanu wojennego, czy to by Jaruzelskiego nie powstrzymało. Tego ci nie powiem. Ale jestem przekonany, że gdyby Amerykanie poinformowali wtedy Solidarność o tym, co wiedzieli ode mnie, Polska byłaby Węgrami ’56 do którejś tam potęgi. Gdyby siły rządowe natrafiły na opór dziesięciomilionowej Solidarności, to byłaby straszliwa tragedia. A gdybym na przykład ostrzegł

o niebezpieczeństwie stanu wojennego przez Wolną Europę i tak zostałby wprowadzony natychmiast, by zapobiec zorganizowaniu oporu przez związkowców.

Tak, jestem więc głęboko przekonany, że to, o co mnie oskarża ta kanalia Urban, jest moim największym osiągnięciem… Że przekonałem Amerykanów, aby milczeli. Przekonałem ich o potędze machiny stanu wojennego, którą planowałem od tylu miesięcy. Powiedziałem wprost, że jeżeli ostrzegą Solidarność, doprowadzi to do krwawej tragedii. Niech więc mnie oskarżają wrogowie i przyjaciele – ja śpię spokojnie, bo nikogo nie mam na sumieniu. Prócz siebie, masz rację. Siebie na pewno mam na sumieniu, na własne życzenie stałem się na starość człowiekiem bezdomnym. Tak to czuję, mimo że ten ogród i kwiatki, które się kiedyś przyśniły Hance, pojawiły się na jawie.

Stałem się zapalonym ogrodnikiem, hoduję róże, mam ich ponad trzydzieści gatunków. I klimat na Florydzie jest wspaniały, jak to ja mówię, emerytalny: ciepło, dookoła palmy, ale co z tego, skoro do tej pory miewam polskie sny…

Chociaż wiedziałem o wprowadzeniu stanu wojennego, fakt ten był jak uderzenie w pierś. Miałem nawet takie myśli, żeby wracać, być tam, z moimi rodakami. Po masakrze górników w kopalni „Wujek” nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Zastanawiałem się, w jaki sposób zmylić ochronę i wydostać się z tego kraju. Przybywając tu, stałem się zakładnikiem Ameryki, moje osobiste pragnienia zeszły na plan drugi, liczyło się tylko moje bezpieczeństwo. No właśnie, nawet z prezydentem nie mogłem się spotkać. Wszystkie moje ruchy są pod kontrolą, kontroluje się i sprawdza moich gości. Na ciebie też musiałem dostać pozwolenie, co ty myślisz. Ustalono, gdzie się zatrzymasz, w jakim hotelu. Tak, oboje jesteśmy chronieni. Każdy, kto jest ze mną, podlega ochronie, ale wystarczy, żebyś poszła do toalety, a już tę ochronę tracisz.

Powiem ci tylko, że moją obstawę tworzą kobiety. Z paru

powodów: są bardziej spostrzegawcze, poza tym mogą nosić broń w torebce. Szefową tej grupy jest pewna amiszka, bardzo wykształcona osoba. Co prawda religia zabrania amiszom noszenia broni, ale to przecież jej zawód. Nie wolno im też pić alkoholu. To właśnie są dodatkowe gwarancje bezpieczeństwa – wiadomo że się nie upije i nie przyśnie na służbie.

Po wiadomości o masakrze górników do mojego pokoju przyszedł starszy syn. Do tej pory się unikaliśmy. Ten młodszy, Bogdan, był podekscytowany, wyrywał się do miasta, wszystkiego ciekaw, a Waldek, przeciwnie, siedział zamknięty u siebie. A teraz do mnie przyszedł.

– Możemy pogadać, tato?

– Jasne, synu.

Swoim zwyczajem nastawiłem głośniej radio, bo już to, że mówiliśmy po polsku, było „pogwałceniem zasad bezpieczeństwa".

– Chyba cię zrozumiałem, tato. Było mi bardzo ciężko… Ale ty chyba naprawdę wiedziałeś więcej ode mnie. Cieszę się, że tu jesteśmy i że nie bierzesz udziału w walce z własnym narodem.

To niezwykłe wyznanie w ustach mojego syna „komunisty" odebrało mi mowę. Nie mogłem wydusić jednego słowa. A on patrzył na mnie.

– Dlaczego generał Jaruzelski się na to zdecydował, przecież to Polak, taki sam jak ty i ja?

– Wiesz, to na swój sposób tragiczna postać… też musiał podejmować życiowe wybory pod presją, jak ja. Tylko między nami jest taka różnica, że on jest fanatycznym komunistą, a ja nie jestem fanatycznym antykomunistą.

– Ale ja dalej nie rozumiem, tato – upierał się Waldek. – Przecież to Polak. To nie Rosjanie, a on wysłał czołgi przeciwko swoim rodakom.

Trudno mi to było wytłumaczyć komuś, kto nie przeżył tego co ja w czasach stalinizmu, kiedy łamano ludzkie charaktery

i ludzkie dusze, i wiele z nich wbrew rozsądkowi, wbrew oczywistym faktom szło na zatracenie. Coś podobnego stało się z Jaruzelskim. Pochodził ze szlacheckiej rodziny, więc to jemu bardziej przystawałaby rola obrońcy godności Polaków, bo tak nakazywała tradycja, niż mnie, wywodzącemu się z warszawskiego proletariatu, mój ojciec był zwykłym robotnikiem. On dopuścił się zdrady, przechodząc na stronę naszych ciemiężycieli. To ci już tłumaczyłem przy jakiejś okazji, kim byli ludzie z kompleksem chleba i soli. Jaruzelski też przecież wycinał syberyjską tajgę i widocznie ten kompleks zagłuszył w nim wszystkie uczucia, łącznie z przyzwoitością. Uczynił z niego tchórza, który się ustawia po stronie silniejszego. W wyniku układu został pierwszym marionetkowym prezydentem III Rzeczypospolitej, co prawda szybko zrezygnował, ale był to fakt. Słyszałem, że prowadzi różne polemiki na słowa ze swoimi adwersarzami, że do niczego się nie przyznaje i przedstawia swoje racje jako jedynie słuszne. Jestem przekonany, że za wszelką cenę chce wykreować swój wizerunek jako dobrego ojca narodu, który był wprawdzie surowy, jak było trzeba, przyłożył, ale kochał swoje dzieci. Nie wierz w to, to są wyznania narcyza, który nie widzi nikogo poza sobą. Założę się, że wiele czasu spędza przed lustrem, niczym książę Poniatowski, przymierzając miny, z którą tu najkorzystniej wkroczyć na pomnik. Pewnie jest przekonany, że naród mu go wystawi. Myślisz, że mu wystawi? Ja tak nie myślę. Wygrywa ze mną w sondażach? Większość uważa go za bohatera, a mnie za zdrajcę? Trzeba tylko trochę poczekać, już wkrótce my obaj staniemy się petentami historii, i to ona nam wystawi rachunek.

Pamiętaj, że jeszcze nie tak dawno bohaterów Armii Krajowej nazywano zaplutymi karłami reakcji, mordowano i grzebano w zbiorowych mogiłach, a dzisiaj ich imionami nazywa się ulice. A co było z twórcami Konstytucji Trzeciomajowej? Oskarżano ich o upadek Polski, a dzisiaj 3

Maja to narodowe święto. Wywieszasz tego dnia biało-czerwona flagę? Właśnie…

Co ja myślę o sobie? Mam nadzieję, że jak mi zabije dzwon, nie odwrócą się ode mnie ze wstrętem Hugo Kołłątaj i moi koledzy akowscy. Kościuszkę i Pułaskiego dawno już mam po swojej stronie, w końcu szedłem po ich śladach.

Piętnastego września 1986 roku przyjąłem obywatelstwo amerykańskie. Przez kilka lat się przed tym wzbraniałem, ale w osiemdziesiątym czwartym roku przestałem być polskim obywatelem, po prostu to obywatelstwo mi odebrano, a potem sąd wojskowy skazał mnie na karę śmierci. Pomyślałem więc sobie, że nie wiadomo, czy kiedykolwiek będę mógł wrócić do Polski, i że nadal będę ścigany przez KGB i polski kontrwywiad. I jeżeli coś mi się stanie, to inna będzie reakcja władz amerykańskich, gdy będę obywatelem USA, a inna, gdy pozostanę bezpaństwowcem.

Z tym obywatelstwem wyniknął pewien problem, bo mój pobyt w Stanach trwał krócej, niż wymagały tego przepisy dla cudzoziemców. Wtedy, opierając się na moim przykładzie, Kongres uchwalił odpowiednią ustawę i ja pierwszy z niej skorzystałem.

Przeżycie było duże, muszę ci powiedzieć. Sędzia wiedział, kim jestem, i traktował mnie z wyjątkową życzliwością. Wybaczał mi moje nieskładne odpowiedzi, bo ze wzruszenia się jąkałem. Potem było przyjęcie w domu pod Waszyngtonem, w tym otoczonym świerkami. Przyszło dużo ludzi, przemówienia i gratulacje ciągnęły się bez końca i pomyślałem sobie, że zmiana obywatelstwa to bardzo męcząca rzecz. Było mi też trochę smutno, a nawet więcej niż trochę, bo czułem się Polakiem, a życie nakładało mi kolejną maskę.

W Ameryce byłem tułaczem, pięć razy musiałem zmieniać miejsce zamieszkania, ze względów bezpieczeństwa, zmieniano mi numery telefonów bez uprzedzenia, miałem też kilka nazwisk i kilka paszportów. A po co ci to wiedzieć, myśl

o mnie jak o Kuklińskim. I chciałbym, żeby twoi czytelnicy też tak o mnie myśleli. Po jakimś czasie synowie zamieszkali osobno, każdy w innej części tego ogromnego kraju.

Wiesz, oni jakoś nie mogli się ze sobą porozumieć, byli ulepieni z innej gliny. Jeden ideowiec, drugi playboy. Bogdan zdawał w Polsce na medycynę, ale się nie dostał. I się trochę obijał. A tutaj zmieniał zawody, w końcu zajął się na poważnie nurkowaniem, zakotwiczył się w Key West, przepięknym miejscu, naprawdę. Ja mu je kiedyś pokazałem i już nie chciał go opuszczać. Może któregoś dnia zawiozę cię na ten cypel, bo to ci się przyda do książki. Tam właśnie po raz ostatni widziano mojego młodszego syna…

Było mi ciężko na sercu, bo Bogdan nie mógł znaleźć dla siebie odpowiedniego miejsca. Sprowadził tutaj swoją sympatię z Polski, pobrali się, ale wkrótce się rozwiedli. Potem miał inne dziewczyny, jedna z nich zaszła w ciążę. Nie ożenił się z nią, ale dziecko uznał. Urodził się mój wnuk Michał. Nie, nie nosi nazwiska Kukliński, nam wszystkim pozmieniano tożsamość. To jednak ciążyło, ten wieczny niepokój, oglądanie się przez ramię, czy się nie zostało namierzonym.

Moi synowie starali siężyć normalnie. Jeżeli były jakieś niepokoje, to dotyczyły mojej osoby. Widzisz, jak los z nas wszystkich okrutnie zadrwił. Sprawdziła się stara prawda, że cios nadchodzi wtedy, kiedy się go najmniej spodziewasz.

Oni bardzo się od siebie różnili, nawet wyglądem. Waldemar zawsze schludnie ubrany, w garniturze, a Bogdan – długie włosy związane w ogonek, podkoszulek i znoszone dżinsy. Miał powodzenie u kobiet, podobnie jak ja kiedyś, umiał je oczarować, rozśmieszyć, umiał ich słuchać.

Pamiętam jedną Wigilię. Byliśmy wszyscy razem, i nagle ktoś z ochrony mi mówi, że przyszła młoda osoba i twierdzi, że została zaproszona.

Byłem zdumiony, widząc dziwacznie ubraną dziewczynę.

Miała na sobie indiański zamszowy kaftan z frędzlami i dżinsy z łatami na kolanach. Do tego utapirowane włosy i wyzywający makijaż. Zorientowałem się, że jest Polką.

– To zdaje się dla pani jest to wolne nakrycie przy naszym wigilijnym stole? – spytałem ostrożnie.

– Boguś mnie zaprosił – odrzekła bezceremonialnie, żując gumę.

– Tak?

– Jestem z nim w ciąży – wypaliła.

Mój starszy syn na jej widok zaniemówił. Nie mieściło mu się w głowie, że ktoś może się tak zachowywać, jak to powiedział, bez klasy. Pokłócił się potem z bratem.

– No, Marksa to ona z pewnością nie czyta! – wycedził Bogdan, robiąc aluzję do przekonań byłej narzeczonej Waldka.

Po wyjeździe z Polski Waldek stracił z nią kontakt. Dla niej to musiał być szok, gdy ogłoszono, że jestem zdrajcą. Upublicznili to zresztą dopiero po kilku latach. Dlaczego? Myślę, że z paru powodów. Po pierwsze, miano wprowadzić stan wojenny, po drugie, dowództwo w Warszawie chciało fakt mojej ucieczki ukryć najdłużej, jak się da, przed Rosjanami. Anatolij Gribkow, wiesz, szef Sztabu Zjednoczonych Sił Układu Warszawskiego, był uprzejmy wypowiedzieć się na ten temat. Okazał zdziwienie, że nikt w Polsce nie poniósł konsekwencji z racji mojego zniknięcia. Nie poleciały żadne głowy. A w Rosji, oho, w Rosji po ujawnieniu sprawy pułkownika Pieńkowskiego zdymisjonowano ministra obrony oraz kilku marszałków i generałów z samej góry. I tu Gribkow wyraził przypuszczenie, że być może to stan wojenny zapobiegł podobnym degradacjom w wojsku. W każdym razie nie ujawniono tego natychmiast i biedna dziewczyna nie wiedziała, co się stało. Narzeczony nagle zniknął, zapadł się pod ziemię. Pojechała na Rajców, do naszego starego domu, a tam drzwi opieczętowane. Dowiedziałem się o tym okrężną drogą, przez znajomych znajomych, którzy pojawili się w Stanach. Otóż moja suka przy

każdej sposobności wymykała się z mieszkania ludzi, którzy ją przygarnęli, i pędziła na Nowe Miasto. Oni wiedzieli, gdzie jej szukać – warowała pod drzwiami naszego dawnego domu. Za którymś razem młoda dziewczyna zawołała psa po imieniu, Kama ją poznała i zaczęła się do niej łasić. Moja znajoma udawała, że to nieporozumienie.

– Nie, to nie jest pies państwa Kuklińskich – twierdziła. – Ja nikogo takiego nie znam. To jest mój pies i nie nazywa się Kama.

Wzięła Kamę na smycz i opierającą się, próbowała zabrać stamtąd siłą. A ta dziewczyna stała i w milczeniu obserwowała całą scenę.

Tylko raz rozmawiałem z Waldkiem o Iwonie, to było już po zniknięciu Bogdana.

Ofiara

Jak wiesz, Bogdan mieszkał w Key West na Florydzie. Już o tym wspominałem, to urocze miejsce, wyspa na końcu cypla wysuniętego najbardziej na południe, gdzie przyjeżdżają tysiące turystów. Mój syn prowadził tam z kolegą wypożyczalnię jachtów, łódek, sprzętu do nurkowania.

W nocy z trzydziestego pierwszego grudnia na pierwszego stycznia dziewięćdziesiątego czwartego roku zniknął wraz ze swoim wspólnikiem. Umówili się na sylwestra z jakimiś dziewczynami w przybrzeżnej restauracji po drugiej stronie zatoki, mieli tam przypłynąć jachtem. Dziewczyny czekały, czekały i tuż przed północą poszły do domu. Były pewne, że Bogdan i jego kolega po prostu je wystawili.

W trzy dni później straż przybrzeżna odnalazła na pełnym morzu ich dryfujący jacht. Na pokładzie były rzeczy osobiste mojego syna i tego kolegi. Ich ciał nigdy nie odnaleziono. Długi czas się łudziłem, że jeżeli to porwanie, porywacze potraktują Bogdana jak zakładnika i zechcą wymienić go na mnie. Ale mijały miesiące i zaczynałem tracić nadzieję.

Różne myśli przychodziły mi do głowy: może on się po prostu ulotnił z tym wspólnikiem, interes im nie szedł, więc razem wyjechali na przykład do Ameryki Południowej. Bogdan kiedyś żartował, że jak moja przyszywana synowa – przyszywana, bo się z nią nie ożenił, mimo iż urodziło się dziecko – więc żartował, że jak mu będzie dalej ciosała kołki na głowie, to pryśnie do Argentyny albo do Peru. Codziennie sprawdzałem pocztę, czy nie ma od niego jakiejś wiadomości.

Może ci się to wyda dziwaczne, ale snułem nawet przypuszczenia, że porwało go UFO… były takie przypadki, że ludzie znikali bez śladu. To oczywiście nonsens, ale człowiek z rozpaczy chwyta się wszystkiego. Mogło być też tak, że obaj nurkowali, zaczepili się o coś, zabrakło im tlenu… Bogdan już kilka razy znajdował się w bardzo niebezpiecznych sytuacjach, przyjmował bowiem, mimo że mu serdecznie odradzałem, różne ryzykowne zlecenia. Kiedyś z innym kolegą szukali czegoś w zatopionym na dużej głębokości wraku i mojemu synowi skończył się tlen, źle coś musiał obliczyć. Kolega wyciągnął go nieprzytomnego na powierzchnię. Gdyby to jednak był wypadek, w końcu coś by odnaleźli – strzęp ubrania, but, cokolwiek. Prowadzono poszukiwania z urzędu i ja, prywatnie, zlecałem je kilku firmom. Pamiętasz wypadek młodego Kennedy'ego? Jego samolot wpadł do morza i ekipy ratunkowe odnalazły mnóstwo szczątków. A tutaj nic, dosłownie nic.

Nie umiem opisać, czym może być taka niepewność. To nawet nie jest ból po stracie bliskiej osoby, to oczekiwanie, nadzieja, potem zwątpienie i rozpacz. I znowu nadzieja, i szarpiąca nerwy świadomość, że nie wiadomo, co się stało, i jak myśleć o własnym synu, jako o żywym czy umarłym?

Czasami mi się wydawało, że wszystko jest lepsze od takiej okrutnej huśtawki, która nie pozwala normalnie żyć, pogrążyć się w żałobie, która przecież z czasem się kończy. A w naszym przypadku się nie zaczęła, bo nie znaleziono ciała. Według amerykańskiego prawa można w takiej sytuacji uznać kogoś za zmarłego dopiero po dziesięciu latach, toteż dopiero teraz będę mógł podjąć formalne działania.

Wiem, że Bogdan nie żyje. Zrozumiałem to w momencie, kiedy nadeszła tragiczna wiadomość z Phoenix. Ale śmierć mojego starszego syna, mimo że nie odnaleziono sprawców, była namacalna, a przez to bardziej ludzka. A śmierć Bogdana stanowiła i wciąż stanowi wielką niewiadomą. Co się

naprawdę stało? Kto był zabójcą: ocean czy człowiek? A jeżeli człowiek, jak się to odbywało, czy mój syn cierpiał przed śmiercią? Czy się bał?

Jak Hanka sobie radziła? Każde z nas musiało się z tym uporać na swój sposób. Bałem się wyrzutów z jej strony, że przeze mnie tutaj wylądowaliśmy i nasi synowie odeszli z domu za wcześnie, nie dlatego że chcieli, ale ze względu na moje bezpieczeństwo. Czasami stawało się to przekleństwem.

Jak mówiłem, po odejściu z domu Bogdan się pogubił. Nie wyszło mu małżeństwo, potem wiązał się z nieodpowiednimi kobietami, jednej z nich zrobił dziecko. Traktował wszystko za lekko, jak zabawę, nawet to, że został ojcem, go nie zmieniło, nie spoważniał ani trochę.

– Tato, po co się mam umartwiać? Popatrz, świeci słońce, niebo bez jednej chmurki, chce się żyć.

– Ale jak? Jak żyć? Spójrz na Waldka, on żyje świadomie, a ty jak pająk pływak ślizgasz się po powierzchni!

– Przynajmniej mam z tego jakąś frajdę, a mój braciszek ma wiecznie skwaszoną minę. Wielki pan profesor! Ja bym się z nim nie zamienił.

Nie można było do niego trafić. Chował się za słowami, zbywał wszystko śmiechem, żartem, ale w głębi musiał czuć się samotny. Jak my wszyscy, cała nasza rodzina. Chyba najtrudniej było Hance. Ja po pewnym czasie powróciłem do dawnego sposobu życia. Rano wychodziłem do pracy, spotykałem się z ludźmi, w wolnym czasie pływałem jachtem, trzymałem go w zatoce. A ona siedziała w domu i godzinami gapiła się w telewizor. Nigdy nie nauczyła się języka na tyle, aby móc na przykład czytać książki. Pozostawał jej jeszcze ogródek. A w Polsce miała swoją pracę, była cenioną księgową. Spotykała się z różnymi przyjaciółkami, rozmawiała z nimi przez telefon. Tutaj nasz telefon przeważnie milczy, bo niewiele osób zna nasz numer.

Synowie mieli już swoje życie. Odwiedzali nas przy okazji świąt albo innych uroczystości, imienin moich lub matki. Bogdan wpadał częściej, tak bez okazji, ale Waldek nie, nie pozwalały mu na to obowiązki. Po zniknięciu Bogdana przyjechał do nas, był bardzo poruszony, widziałem nawet, jak płakał.

Tego lata wybraliśmy się we dwóch – Hanka źle się czuła, już zaczynała się jej okrutna choroba, czego wtedy jeszcze nie byłem świadomy – do letniego domu, którego właścicielem był jeden z moich amerykańskich przyjaciół. Leśne jezioro zarośnięte trzcinami, pomost, łódź, otoczenie przypominające trochę Mazury.

Początkowo czuliśmy się skrępowani, mimo że razem łowiliśmy ryby, potem razem je skrobaliśmy i piekliśmy na grillu. Ale wspólne kolacje były trochę milczące. Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, obaj zatopieni w swoich myślach. Ja dosyć często raczyłem się whisky, która mi pomagała zachować duchową równowagę, ale mój syn był zatwardziałym abstynentem.

– Napij się, Waldek, życie wydaje się wtedy łatwiejsze – namawiałem go.

Odmówił.

– To nie o to chodzi, aby życie było łatwiejsze.

– A o co, twoim zdaniem?

– Trzeba je przeżyć w zgodzie ze sobą.

– I tobie się to udaje?

– Staram się.

To był początek rozmowy, która przeciągnęła się długo w noc. Spytałem go, jak sobie radzi, czy czuje się Amerykaninem, czy ciągle emigrantem. Odpowiedział, że nie myśli o sobie ani jako o Amerykaninie, ani jako o Polaku, raczej widzi siebie jako obywatela świata.

– Ale czy można się z tym dobrze czuć?

– Ja się czuję dobrze – odparł.

Odważyłem się go spytać, dlaczego żyje samotnie, dlaczego nie założył rodziny. W końcu czas był najwyższy, za kilka tygodni miał skończyć czterdzieści jeden lat. Ja w jego wieku dochowałem się już dwóch dorastających synów.

– Ale pozostał ci tylko jeden – odpowiedział.

Nasze spojrzenia się spotkały.

– Boisz się z kimś związać? Z powodu tej naszej dziwnej sytuacji?

– Nie, po prostu Amerykanki mi nie odpowiadają. Mnie w ogóle nie odpowiada towarzystwo kobiet, są zbyt histeryczne. Gdybym spotkał jakąś mniej histeryczną, taką jak nasza mama… jednak takiej nie spotkałem. – Po chwili dodał: – Ale dobrze się tu czuję, naprawdę, mam wspaniałe warunki do pracy, do rozwoju intelektualnego, pod tym względem Europa nigdy nie dorówna Ameryce. Oni tutaj rozumieją, jak ważne jest inwestowanie w naukę, w wynalazki.

Rozpaliliśmy ognisko i siedząc w kucki, opiekaliśmy kiełbaski. Ruchliwe płomienie ognia odbijały się w wodzie, obaj się w nie zapatrzyliśmy.

– Kiedyś wybraliśmy się z mamą na rejs po Mazurach, z naszymi przyjaciółmi, wiesz, z tym doktorem z Kołobrzegu i jego żoną. I też tak piekliśmy kiełbaski na ogniu, ale jak to było dawno…

Mój syn pokiwał głową, a ja uświadomiłem sobie, że byłem wtedy prawie o połowę od niego młodszy, no, może nie o połowę, miałem dwadzieścia pięć lat.

– A Iwona nie była histeryczna?

Chwilę się zastanawiał.

– Z Iwoną dobrze się rozumieliśmy.

– Kochałeś ją? Chyba kochałeś, bo chciałeś się żenić – sam sobie udzieliłem odpowiedzi.

– Miała trudny charakter, ale ją kochałem.

– Tylko ją jedną?

Skinął twierdząco głową.

– To dlaczego o nią nie walczyłeś? Nie próbowałeś jej tu ściągnąć? Dziewczyna Bogdana przyjechała.

Mój syn skrzywił się lekko.

– Bogdan miał inne dziewczyny. Iwona nie wyjechałaby z Polski.

– Skąd wiesz? Nie próbowałeś, jeden list to za mało. Nawet nie wiadomo, czy go dostała.

– Dostała, jeśli chcesz wiedzieć. Odpisała mi, że nie może się związać z człowiekiem, którego ojciec zdradził jej kraj. Nie twój, nie mój, ale jej, rozumiesz!

– Przykro mi.

– Tato, niech ci nie będzie przykro. To tylko znaczy, że ona trwa ciągle w tym miejscu, w którym ją pozostawiłem, a ja teraz jestem dużo, dużo dalej. Nic by z tego nie wyszło.

Zapaliłem papierosa.

– Myślisz jeszcze o niej?

– Nie. Częściej myślę o sobie, jaki byłem wtedy głupi. I ciarki mi chodzą po plecach, że mógłbym taki pozostać. Stąd ma się inną perspektywę.

Chwilę milczeliśmy.

– Myślisz czasem o Polsce? – spytałem.

– Właściwie nie, a ty?

– Ja? Ja z niej chyba nigdy nie wyjechałem tak naprawdę, chociaż uważam Amerykę za swoją drugą ojczyznę.

– Tato, bo ty jesteś z czasów ojczyzn, ale ten czas już się kończy. – W głosie syna pojawił się lekko protekcjonalny ton, co mi się nie podobało.

Powiedział mi, że jestem dla niego postacią trochę literacką i gdyby był na przykład profesorem literatur słowiańskich, tak jak Miłosz w Berkeley, chętnie podyskutowałby o mnie ze studentami. Porównałby mnie z Maćkiem Chełmickim z *Popiołu i diamentu*. Obaj mieliśmy podobne postawy i wyrośliśmy z tradycji romantycznej, tylko że tamten miał

mniej szczęścia, bo zginął. Mnie się udało, a więc stałem się nowym typem bohatera. On ginął na śmietniku, w domyśle, historii, a ja odniosłem niewyobrażalne zwycięstwo, wygrałem z odwiecznym wrogiem Polski, z Rosją.

– Wolałbym, abyś wynalazł innego bohatera do porównań ze mną, nie z tak zakłamanej powieści. Tam jedyną naprawdę pozytywną postacią jest politruk, który wyszedł z Armii Czerwonej.

Waldek się roześmiał.

– Kiedy Maciek jest w porządku, tato, to autor się ześwinił.

– Ciekawe, jak byś to wytłumaczył swoim amerykańskim studentom. Nawet slawiści by tego nie zrozumieli. Nie umieliby zrozumieć, jak można się tak zakłamać, tak załgać przed samym sobą.

– Powiedziałbym im – usłyszałem – że połowa Polaków w komunizmie to byli tacy pułkownicy Kuklińscy, którzy podjęli walkę o swoją duszę, a druga połowa to ci, którzy tę duszę zgubili.

– A teraz? Co myślisz o swoich rodakach? – Byłem naprawdę ciekaw, nigdy dotąd nie rozmawialiśmy na te tematy i to tak szczerze.

– Teraz myślę, że połowa to nadal pułkownicy Kuklińscy, a ta druga chyba nie odnalazła swojej duszy i już nie odnajdzie. Więc przestań się dziwić, że *homo sovieticus* uważa cię za zdrajcę.

– No tak, synu, tylko że tych Kuklińskich jest tylko dwadzieścia siedem procent – stwierdziłem gorzko. – Tylko tylu Polaków zrozumiało moją misję.

– Cierpliwości, tato, przyjdzie nowe pokolenie, dla nich będziesz bohaterem – powiedział mój syn.

– Polska to teraz taki dziwny twór przypominający konia z głową osła. Koń nawet by chciał wolności, chciałby pogalopować, ale ta ośla głowa nie daje.

Parsknąłem śmiechem.

– Mówisz obrazowo, synu, ale koń z głową osła to żaden dziw natury, to zwyczajny muł.

– Więc poczekajmy, aż ten muł przemieni się w wierzchowca!

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Leżałem, paliłem papierosy i zastanawiałem się, czy mój syn uważa się za szczęśliwego człowieka. Nikt z naszej rodziny nie mógł być tak zwyczajnie szczęśliwy, bo przydzielono nam role, jakich sami nie wybieraliśmy, musieliśmy je przyjąć „w imię wyższej konieczności". Tak brzmiało uzasadnienie przywracające mi stopień oficerski, że działałem „w imię wyższej konieczności".

Mówiłem ci, że w osiemdziesiątym drugim roku, w czasie stanu wojennego, postanowiłem wrócić do Polski? To było poza racjonalnym myśleniem. Po prostu czułem, że muszę być tam, z moimi rodakami, w chwili ciężkiej próby. Myślę, że tak samo bym chciał wracać na wieść o powstaniu warszawskim w czterdziestym czwartym roku. Oczywiście, liczyłem się z najgorszym, nagrałem więc kasetę z osobistym żołnierskim raportem z mojego życia dla przyszłego prezydenta Rzeczypospolitej i miałem ją zamiar zdeponować w polskim kościele w Silver Spring koło Waszyngtonu.

Nie wyjechałem, byli tacy, co ostudzili mi głowę. Po wyborze Wałęsy na prezydenta i po tym, jak mnie potraktował, kasetę zniszczyłem.

Masz rację, że w Polsce po osiemdziesiątym dziewiątym roku w policji i siłach bezpieczeństwa pozostali w większości ci sami ludzi, a wielu z tych, którzy przejęli władzę, okazało się ignorantami i nieudacznikami. Ale dla mnie odzyskanie niepodległości przez moją ojczyznę to było jak najpiękniejszy sen, który się nagle zmaterializował. To było zadośćuczynienie za te wszystkie lata mojego trudu, zwątpień i rozpaczy. Uważałem, że przydam się Polsce, że będę tam potrzebny, dlatego zrezygnowałem z dobrej posady w Waszyngtonie. W tamtym czasie mogłem być bardzo pomocny nowym władzom w Warszawie, bo miałem tutaj wielu znajomych –

w wojsku, w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa, wśród polityków. Ale zamiast zaproszenia do Polski czy wezwania do służby zaczęło się… Wszystkie niepodległościowe rządy odmawiały po kolei zajęcia się moją sprawą. Oczyszczenie mnie z zarzutów o zdradę ojczyzny nastąpiło jesienią dziewięćdziesiątego siódmego roku, w osiem lat po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, i to pod naciskiem Amerykanów.

Wojskowym prokuratorom, którzy się wreszcie zjawili u mnie w Waszyngtonie, powiedziałem:

– Panowie, kiedy nastała wolna Polska, spodziewałem się, że ktoś do mnie przyjedzie, może prokurator, może attache wojskowy, może jakiś polityk, i spyta: „Jak się panu żyje, panie Kukliński?”. Ale nie pojawił się nikt.

Prokuratorzy wiele razy wypowiadali się publicznie w mojej sprawie, ale w zupełnie innym tonie. Pułkownik Przyjemski powiedział w polskim programie telewizyjnym: „Jeśli Kukliński nie zdradził ojczyzny, to powinien tutaj przyjechać i to udowodnić”. To ja miałem dowodzić swojej niewinności, a nie prokurator! Nie chciałem też prosić o akt łaski, bo to by oznaczało przyznanie się do winy, a ja się winny nie czułem. Tego chciał prezydent Wałęsa, żeby mnie upokorzyć. I tego właśnie się nie doczekał.

Ale od jakiegoś czasu zacząłem dostrzegać oznaki politycznej dobrej woli. Początkowo prokuratura chciała, żeby przesłuchiwał mnie major Gorzkiewicz, wiesz, ten od sprawy Oleksego. Nie zgodziłem się. I ostatecznie przyjechało dwóch innych, major Bogdan Włodarczyk, który wcześniej prowadził moją sprawę, i jakiś kapitan. Nie mogliśmy się spotkać w polskiej ambasadzie, bo prasa by to zaraz nagłośniła, więc do spotkania doszło w biurze Zbigniewa Brzezińskiego.

Oni przyjechali z zarzutami z aktu oskarżenia, na podstawie których zostałem skazany na śmierć. To były dezercja i szpiegostwo. Musiałem złożyć swój podpis, że przyjmuję te zarzuty do wiadomości, aby móc się do nich ustosunkować.

Wiesz, wahałem się… Gdybym tego nie zrobił, rozstalibyśmy się z niczym. To był dla mnie trudny moment.

Zaraz na początku przesłuchania oświadczyłem przybyszom z Polski:

– Panowie oficerowie, jakakolwiek będzie wasza decyzja, nie zmieni ona biegu mojego życia. Wasze postanowienie będzie miało jedynie wymiar symboliczny. Ale będę mówił tylko prawdę i całą prawdę, nie po to, by oczyścić swoje imię, bo to dla mnie sprawa drugorzędna, ale dla historii, dla następnych pokoleń.

Wszyscy obecni w pokoju, prokuratorzy, Zbigniew Brzeziński i ambasador Jerzy Koźmiński – zażądałem ich obecności, aby żadne moje słowo wypowiedziane tutaj nie zostało przekręcone, miałem już bardzo złe doświadczenia z jednym z ministrów Wałęsy, który po spotkaniu ze mną opowiadał rzeczy niezgodne z prawdą – patrzyli na mnie w napięciu. Wziąłem pióro do ręki…

Pozwolę sobie na dygresję i opowiem ci pewną historię, która właśnie mi się przypomniała. Ciekawe, jak to ocenisz. Wyobraź sobie, że na początku dziewięćdziesiątego siódmego roku ktoś z CIA zwrócił się do mnie z pytaniem, czy nie zechciałbym się zobaczyć z moim rodakiem, który, jak i ja, jest wojskowym w randze pułkownika.

– A co on robi w Ameryce? – pytam.

– A, chwilowo musiał wyjechać z Polski.

Co się okazuje, ten cały pułkownik, który służył, jak ja, w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego, tyle że to już było inne wojsko, od kilku dobrych lat był agentem CIA. Został zdekonspirowany tylko dlatego, że jego oficerowi prowadzącemu ukradziono służbowego vana. Polska policja wkrótce samochód odnalazła, a w nim notatki obciążające pana pułkownika.

Dobrze, że za moich czasów nie działały gangi samochodowe, bo jak ja bym wyglądał? Na szczęście, wtedy

nie wiedziałam, że moi sojusznicy, a przynajmniej niektórzy z nich, potrafili być tacy beztroscy.

Nie uwierzysz, jak to się potoczyło dalej. Polskie władze, nic chcąc robić Amerykanom przykrości, zatuszowały całą sprawę. Ułatwiono temu panu bezpieczny wyjazd do USA, mimo że obcemu wywiadowi przekazywał tajemnice wojskowe III Rzeczypospolitej w zamian za korzyści materialne.

I ten człowiek chciał się ze mną spotkać!

Ale nie to było dla mnie najgorsze, tylko ten serwilistyczny stosunek polskich władz do Ameryki. Przecież byliśmy już niepodległym państwem, już nikt tego od nich nie wymagał, nawet nie da się tego tłumaczyć przyzwyczajeniem, bo Amerykanie mówią po angielsku, powtarzam, po angielsku, a nie po rosyjsku. Stara to prawda, że historia powtarza się jako farsa…

Nie zapomnę nigdy swojej podróży do Chicago w 1991 roku na polskie wybory prezydenckie. Taka była decyzja moich aniołów stróżów. Jeżeli już muszę się narażać, to mniej się będę narażał poza Waszyngtonem. Więc Chicago… w tamtejszym konsulacie chciałem stanąć w kolejce i przedstawić się dopiero przy odbieraniu karty do głosowania. Paszportu polskiego nie miałem, jedynie legitymację oficerską z moim prawdziwym nazwiskiem. Ale stoję w tej kolejce, stoję, muszę powiedzieć, że była bardzo długa, i myślę sobie, że przecież odebrano mi prawa obywatelskie, mogę mieć więc problemy z otrzymaniem karty do głosowania. Podszedłem z boku i szeptem zwracam się do kogoś, kto siedział najbliżej końca stołu:

– Nie wiem, czy będę mógł głosować.

– Jest pan Polakiem?

– Jestem.

– Ma pan dokument tożsamości?

– Mam.

– To nie widzę przeszkód.

– Nazywam się Kukliński.

Tego jegomościa jakby ktoś do prądu podłączył, wyprostował się, twarz mu się zaczerwieniła.

– Pan będzie uprzejmy zaczekać – mówi do mnie – musimy to skonsultować z naszym radcą prawnym.

Zniknął za kotarą zasłaniającą drzwi. Czekam pięć minut, dziesięć, jego nie ma. Ludzie podchodzący do stołu zaczynają podejrzliwie mi się przyglądać. Więc odwróciłem się na pięcie i odszedłem. Ale mnie to zabolało, do dzisiaj jeszcze pamiętam to uczucie upokorzenia, wściekłości i żalu… tylko do kogo?

Samochód czekał na mnie na tyłach konsulatu. Amiszka od razu poznała po mojej minie, że coś poszło nie tak.

– No to zrobiliśmy sobie wycieczkę – powiedziała.

Wieczorem rozmawiałem przez telefon z moim starszym synem i spytałem, czy poszedł głosować.

– Nie miałbym na kogo, tato – odrzekł.

Na amerykańskich prezydentów jednak głosował. Widocznie uważał, że jego głos może w tym wielkim kraju coś znaczyć. Myślę, że gdyby żył, ten kraj by się go nie powstydził.

Zginął w osiem i pół miesiąca później po swoim bracie. W tym samym momencie, kiedy zawiadomiono mnie o tragedii w Phoenix, straciłem obu synów. Już wszystko wiedziałem…

To si ę odbyło w biały dzień, w obecności kilkunastu świadków. Waldek skończył wykład i szedł na parking. I na ten uczelniany parking z dużą prędkością wjechał samochód marki Dodge, taki typ półciężarówki z dużym zderzakiem z przodu. Uderzył Waldka w plecy. Mój syn upadł, kierowca się wycofał i jeszcze raz przejechał po nim, potem zawrócił, bezwładnie leżące ciało mojego syna znowu znalazło się pod kołami. Auto, niezatrzymywane przez nikogo, oddaliło się szybko.

Ten samochód znaleziono potem porzucony, wszystkie odciski palców były starannie wytarte.

Jadąc do Phoenix, powtarzałem w pamięci fragment wiersza wielkiego poety, który bronił mnie, kiedy w mojej ojczyźnie stała mi się krzywda.

a nagrodzą cię za to tym co mają pod ręką
chłostą śmiechu zabójstwem na śmietniku
idź bo tylko tak będziesz przyjęty do grona zimnych czaszek
do grona twoich przodków: Gilgamesza Hektora Rolanda
obrońców królestwa bez kresu i miasta popiołów.
Bądź wierny Idź

Nie wiem, komu powtarzałem te strofy, sobie czy mojemu umarłemu synowi. Załatwiałem formalności, tę przerażającą biurokrację, tak bezsensowną w obliczu czegoś nieodwracalnego, z jedną myślą: jak o tym powiedzieć jego matce. Ona nic jeszcze nie wiedziała, nie orientowała się, po co wyjeżdżam. Nie była zaniepokojona, bo wyjeżdżałem z domu bardzo często.

Po powrocie stamtąd musiałem jej to wyjawić, bo pewne decyzje powinniśmy podjąć wspólnie. Patrzyła na mnie, jakby nie rozumiejąc, o czym mówię. Jeszcze raz powtórzyłem, gdzie jeździłem i po co.

– Widziałeś go? – spytała spokojnie, niemal rzeczowo.

– Tak.

– Jaką ma twarz?

– Taką jak zawsze.

– Nie zniszczyli mu twarzy, to dobrze.

I już nic więcej nie powiedziała tego wieczoru. Całą noc przesiedziałem w swoim gabinecie, paląc papierosa za papierosem. A rano poszedłem do niej.

– Czy ty zawsze taka byłaś? – spytałem ostro.

– Czy naprawdę nie potrafisz rozpaczać jak inni ludzie? Płakać? Krzyczeć? Walić głową w ścianę?

Popatrzyła na mnie ze smutkiem.

– Ryszard, a co by to pomogło? Nasz syn nie żyje. Pomyślałem, że jej nie rozumiem. Ja zamykałem się w swoim gabinecie i płakałem, wylewały się ze mnie całe wiadra łez, a moja żona oczy miała suche. Byliśmy na dobrą sprawę dziećmi, kiedy się poznaliśmy, ona miała czternaście lat, ja byłem o dwa lata starszy. I przeżyliśmy razem całe dorosłe życie i razem weszliśmy w starość. To przecież coś znaczyło, to było w tej chwili tą jedyną wartością, jaka nam pozostała.

Niedziela była przedostatnim dniem mojego pobytu w Ameryce, postanowiliśmy więc zrobić wycieczkę na łono przyrody. Zastanawialiśmy się, dokąd się udać, gdy Ryszard podjął nagle decyzję, że pojedziemy nad leśne jezioro, gdzie kiedyś odbył jedną z ważniejszych rozmów w swoim życiu. Był tam ze starszym synem.

– Czy to daleko? – spytałam.

– Niedaleko, dwieście mil autostradą i potem trochę w bok.

Zadzwonił do swojego przyjaciela, o ile pamiętam, do Davida Fordena, ale nie jestem pewna. W każdym razie przyjaciel pułkownika powiedział, że domek jest do naszej dyspozycji. Okolica wydawała się znajoma, przypominająca polskie krajobrazy. Dom, pomost, łódka.

Wypłynęliśmy na środek jeziora. Nie było wiatru i na wodzie nie pojawiła się nawet najmniejsza zmarszczka, odbijały się w niej nasze postacie, wyraźnie, jak w lustrze. Zauważyłam, że pułkownik się garbi. Wydał mi się niezwykle kruchy i drobny. Jak w takim wątłym ciele pomieściło się tyle odwagi i hartu – pomyślałam.

– Wiesz, Ryszard, chciałabym cię jeszcze

spytać o twoją żonę. Mam wrażenie, że dużo dowiedziałam się o tobie. Słuchając twoich opowieści, zobaczyłam waszych synów, a o niej wiem bardzo mało. Jaka ona naprawdę jest? Co się kryje za tym jej spokojem?

– Ja też niewiele o niej wiem. I to nie jest jej, ale moja wina. Chyba nie byłem dobrym mężem, przynajmniej dla niej. Hanka chciała mieć taki prawdziwy dom z firaneczkami i kwiatami w oknach, jak to na Śląsku. Chciała mieć męża, który by wracał zawsze o tej samej porze. Nawet zawód, który wykonywała, zobowiązywał do jakiegoś porządku, wewnętrznego ładu, a u nas wszystko było na odwrót.

– Ale powiedziałeś, że to, iż przeżyliście ze sobą całe życie, stanowi dla ciebie niezwykłą wartość.

– Tak, tak, oczywiście – odpowiedział. – Hanka po śmierci naszych synów ciężko zachorowała i nie chciała się leczyć, musiałem ją o to błagać. I znowu zrobiła coś dla mnie. Jak zawsze. Teraz jest z nią bardzo źle. Porusza się na wózku, więc się nią zajmuję jak małym dzieckiem, muszę ją myć, czesać. Gdyby nie to, być może miałbym samobójcze myśli.

W czasie mojej wizyty, która przebiegała pod znakiem rozmów z pułkownikiem, miałam też coś do załatwienia w sprawach zawodowych w Nowym Jorku. Powiedziałam, że zajmie mi to najwyżej dwa dni, a on zaproponował, że chętnie mnie tam zawiezie – byliśmy w Waszyngtonie – swoim samochodem. Nie będziemy w ten sposób tracili czasu, bo możemy rozmawiać po drodze.

– A co na to ochrona?

– To ich kłopot – odrzekł.

I chyba rzeczywiście sprawiliśmy im kłopot, bo kiedy wychodziliśmy z hotelu na Manhattanie, nagle młody mężczyzna, w żółtym kombinezonie z nadrukiem na plecach, który zamiatał ulicę, na widok pułkownika rozłożył ramiona i zaczął zmierzać w naszą stronę. Gest był raczej przyjazny, ale nie został tak odebrany przez ochronę w osobie dwóch wysportowanych pań, które wyskoczyły nie wiadomo skąd, naprawdę, chyba spod ziemi, i obezwładniły sprzątacza z Przedsiębiorstwa Prac Porządkowych i Zieleni Miejskiej. Dosłownie po paru sekundach biedak leżał przy krawężniku z rękami wykręconymi do tyłu.

Leżał i jęczał:

– Ja tylko chciałem uściskać swojego wielkiego rodaka!

W pół roku po śmierci starszego syna otrzymałem dość dziwny list na adres, który znało niewiele osób. Na pewno znał go mój syn, więc to, że pisząca go kobieta powoływała się na niego, mogło być prawdą. Poprosiłem, aby ochrona ją sprawdziła. Była stu dentką prawa w Uniwersytecie Stanowym Arizony, co oczywiście nic jeszcze nie znaczyło. Ale namierzyli tam przecież Waldemara, być może teraz za jej pośrednictwem, chcieli namierzyć mnie. Może właśnie o to chodziło, liczyli, że śmierć obu synów w tak krótkim czasie na tyle mnie osłabi, że zacznę popełniać błędy. Może dlatego zginęli, aby KGB miało do mnie łatwiejszy dostęp. Równie dobrze ona mogła być ich wtyczką. Rozum nakazywał nie odpowiadać na ten list. Ale być może dziewczyna miała mi coś do przekazania, jakąś spóźnioną wiadomość od zmarłego syna.

Długo dyskutowałem z ochroną, która była przeciwna temu spotkaniu. Toczyły się na ten temat także dyskusje wyżej, w centrali, i tam też nie było na to zgody. Ale się uparłem. Więc wszystko starannie przygotowano, umówiłem się z nią w miejscu, które zostało dokładnie sprawdzone.

Od razu mi się spodobała, miała miły sposób bycia. Na pewno nie wydawała się osobą histeryczną, co miał za złe Amerykankom mój syn, ale kim naprawdę była, nie wiedziałem.

– Dlaczego mój syn dał pani ten adres?

– Powiedział, że gdyby coś się z nim stało, mam napisać do jego ojca…

– Co napisać?

– Tego nie mówił. – Odgarnęła włosy do tyłu i jej twarz się zmieniła, zrobiła się bardziej pociągła; miałem wrażenie, że przypomina z wyglądu byłą narzeczoną Waldka. – Prosił tylko, żeby do pana napisać, powiadomić…

A więc on się obawiał, że coś złego może mu się przytrafić! Ta świadomość była dla mnie jak cios prosto w serce. Mój syn bał się o swoje życie, a jednak nie zdradził się z tym przede mną. Do chwili jego śmierci łudziłem się, że moja rodzina jest względnie bezpieczna. Myślałem: po co mieliby się na nich mścić, skoro to ja im zalazłem za skórę. Zniknięcie Bogdana było ostrzeżeniem, którego nie zrozumiałem, a może nie chciałem zrozumieć? Bardzo prawdopodobne, że wyrzucałem to ze swojej podświadomości, aby nie czuć się winnym. Teraz czułem się winny podwójnie, bo ja, ojciec, nie potrafiłem ochronić swoich dzieci.

– Dlaczego czekała pani z tym tak długo?

Dziewczyna wyraźnie się zmieszała.

– Dowiedziałam się, że rodzina odebrała ciało. A list napisałam, bo… chciałabym wiedzieć, dlaczego zginął pana syn.

Zapadła cisza. Nie mogłem jej mówić o swoich

podejrzeniach, nie mogłem też opowiedzieć jej swojego życiorysu, a bez tego niczego by nie zrozumiała.

– To był nieszczęśliwy wypadek – rzekłem wreszcie.

W jej oczach dostrzegłem zdumienie i jakby rozczarowanie.

– Przecież on został przejechany. Wszyscy to widzieli, został przejechany trzy razy! Wypadki tak nie wyglądają.

– To był wypadek – powtórzyłem.

Dziewczyna już o nic nie pytała, zaraz pożegnała się i wyszła. Zupełnie jakby ode mnie uciekała.

Potem często powracałem w myślach do tej rozmowy i robiłem sobie wyrzuty, że jej nie zatrzymałem. Być może bym się wtedy dowiedział, co naprawdę łączyło ją z moim synem.

Czy było warto

Siedzieliśmy przy śniadaniu: jajecznica, odsmażane kartofle bez żadnego smaku i do tego tosty. I jeszcze pozbawiona aromatu, lurowata kawa. Takie specjały serwują w amerykańskich hotelach.

– Polubiłem Amerykę – powiedział pułkownik.

– Na początku tęskniłem strasznie. Ochrona miała ze mną kłopot, bo ciągle uciekałem im na lotnisko. Chciałam popatrzeć na samoloty, które startują do Europy.

– A jak myślisz, czy Ameryka ciebie lubi?

Zapalił kolejnego papierosa, tego ranka to był chyba już dziesiąty!

– Wiesz, tutaj są tacy, którzy mnie krytykują. Mówią, że przeze mnie Ameryka za dużo wydaje na zbrojenia.

Wiem, że krążą o mnie różne mity, że współpracę z Amerykanami rozpocząłem dużo wcześniej, że zwerbowali mnie w Wietnamie. Generał Kiszczak wprost oświadczył: „Nie wierzę, że Kukliński zgłosił się do amerykańskiego attache wojskowego. Z naszych informacji wynika, że tego typu szpiegów wojskowych werbowano przede wszystkim w Wietnamie, a on tam był długi czas członkiem komisji rozjemczej. Nie mógł być, jak my to nazywamy – samorodkiem, kimś takim, kto idzie do przedstawiciela dyplomatycznego

i oferuje przekazanie tajnych informacji. Tacy osobnicy są zwykle prymitywni, nie zdają sobie sprawy z zagrożenia dekonspiracją. Natomiast Kukliński był inteligentny, wiedział dokładnie, czym grozi szpiegostwo, wiedział, że prawie każdy attache jest pracownikiem wywiadu. Układ Amerykanów z nim nie był żadnym układem politycznym, ale wywiadowczym. Zwerbowano go w Wietnamie, szantażując kompromitującym materiałem…".

Nie słyszałem większej bzdury. Jaki kompromitujący materiał? Oczywiście, wszystkie działania komunistów w Wietnamie były kompromitującym materiałem, ale Amerykanie sami o tym dobrze wiedzieli. Nie zostałem tam zwerbowany i nigdy nie zostałem zwerbowany przez nikogo!

Ten wyjazd był nagrodą za przygotowywanie ćwiczeń „Lato 1967". Kiedy tam dotarłem, Międzynarodowa Komisja Kontroli i Nadzoru nie działała już w Wietnamie Północnym, już ją stamtąd przepędzili, funkcjonowała tylko na Południu. Mieliśmy kontrolować sprawy związane z dostarczaniem broni, która szerokim strumieniem płynęła przez chińską granicę. Pewnie dlatego ci z Północy nas przepędzili. A Amerykanie i południowi Wietnamczycy pozwalali na nasze działania, pewnie dlatego, by mieć potwierdzenie inwazji z Północy.

Wiesz, naprawdę trudno sobie wyobrazić, ile tam było po stronie czerwonych tego śmiercionośnego sprzętu, często jeszcze nierozpakowanego, w kontenerach ze Szwecji, RFN, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, z całego świata… Świat przyjął za punkt honoru wspieranie biednego narodu wietnamskiego. Ta wojna stała się dla mnie ważnym doświadczeniem. Patrzyłem na to trochę z zewnątrz, na to ścieranie się dwóch potęg, Ameryki i Związku Sowieckiego. Tych z Północy wspierali Sowieci, Chiny i reszta świata, a Południe praktycznie tylko Stany Zjednoczone. Z bliska wyglądało to inaczej, niż głosiła światowa propaganda. Wojna na Południu

ograniczała się do obrony! Dla Stanów Zjednoczonych to była wojna na pół gwizdka, a może nawet na ćwierć, ale dla amerykańskich żołnierzy była jak najbardziej prawdziwa, oni tam ginęli.

Wietnamczycy najbardziej cierpieli na tak zwanym Szlaku Ho Szi Mina, wzdłuż granicy z Kambodżą, którędy wojska Północy przedostawały się na Południe. I wtedy właśnie po raz pierwszy dotarło do mnie, że w razie wojny w Europie Polska stałaby się takim Szlakiem Ho Szi Mina, z tą różnicą, że pociski miałyby głowice jądrowe.

Więc ci, którzy uważają, że podczas mojego pobytu w Wietnamie zwerbowano mnie do współpracy z Zachodem, mają o tyle rację, iż zaczęła się we mnie budzić pełna świadomość, w czym tak naprawdę uczestniczę. Byłem świadkiem okrucieństwa tej wojny, widziałem dzieci z obciętymi głowami, pomordowane całe rodziny: ojciec, matka, siedmioro rodzeństwa, leżący rzędem pośrodku wsi. Widziałem też straszne sceny, kiedy Vietcong wtargnął do Sajgonu. Było mi wstyd, że jestem nie po tej stronie, po której chciałbym być. Ale nic nie mogłem zrobić. Podczas ofensywy Tet, kiedy regularna dywizja północnowietnamska zaatakowała Sajgon i mieliśmy dowody, że w okrutny sposób mordowana jest ludność cywilna, nie miałem prawa pojechać na inspekcję. Bo gdybym pojechał i napisał w raporcie prawdę, następnego dnia odesłano by mnie do domu, a ja wtedy nie byłem jeszcze gotowy na rozpoczęcie własnej wojny z systemem. Ale pobyt tam zmienił wiele w moim spojrzeniu na świat, pozbawił mnie resztki złudzeń co do tego, że w polityce jest miejsce na ludzkie uczucia.

A ten mit o amerykańskich dolarach… Mówi się, że miałem dom, luksusowy jacht, zachodni samochód. Dom przy ulicy Rajców 11 pochłonął wszystkie nasze rodzinne oszczędności. Sprzedałem jacht, który zbudowałem własnymi rękami. Wzięliśmy z żoną pożyczkę hipoteczną i oboje ją spłacaliśmy.

To był szeregowy domek w wojskowej spółdzielni mieszkaniowej, obok mieli takie same moi koledzy, też za amerykańskie dolary? A co do samochodu, miałem starego, wysłużonego opla.

I tyle.

Chciałbym wrócić jeszcze do zarzutów postawionych mi przez prokuraturę wojskową. Jeżeli chodzi o szpiegostwo, nie będę się wypowiadał, bo nic takiego nie miało miejsca. A co do dezercji, to także nie było prawdą, ponieważ w sytuacji zagrożenia życia zostałem zmuszony do ratowania siebie i swojej rodziny. Przesłuchania trwały trzy dni. Prokuratorzy dwukrotnie pytali Sztab Generalny, czy moje twierdzenia o ofensywnym charakterze polskich planów wojennych są prawdziwe. I mimo że nie miałem tam teraz przyjaciół, nadeszła odpowiedź, że „moje rozumienie tych planów mogło być prawdziwe".

Czwartego września 1997 roku major Włodarczyk w biurze profesora Brzezińskiego zapoznał mnie z decyzją prokuratury i z jej pełnym uzasadnieniem. Miałem wiele zastrzeżeń, ale żeby to już zakończyć, złożyłem pod tą decyzją swój podpis. Po tygodniu podpisał ją mój adwokat i oczyszczenie mnie z wszelkich zarzutów uprawomocniło się w dniu 17 września. Uważam, jestem święcie przekonany, że ta data nie jest przypadkowa. W tym dniu wielu polskich oficerów dostało się do sowieckiej niewoli. W tym dniu, przeszło pół wieku później, polskiemu oficerowi, który walczył z tym samym wrogiem, zwrócono honor.

Uważam, że decyzja prokuratury powinna zostać odtajniona, jak również dokumenty, że Moskwa podporządkowała sowieckiemu dowództwu Ludowe Wojsko Polskie. Dlaczego naród nie może się z tym zapoznać? Ma do tego prawo. I ja mam do tego prawo, bo bez takiej wiedzy moi rodacy muszą mi uwierzyć na słowo. Nawet jeśli mój czyn był niewielki, to

stałem po właściwej stronie. A nawet jeśli to niewiele, gdy rozważyć rzecz w szerszej perspektywie, to jest wszystko, co miałem. W istocie było to całe moje życie.

Podróż do ojczyzny w dziewięćdziesiątym ósmym roku… Kiedy samolot wylądował na polskiej ziemi, pomyślałem: oto kończy się moja tułaczka. Ale nie było to takie proste, jak sobie wyobrażałem. Znałem oczywiście te niekończące się dyskusje wokół mojej osoby, te wszystkie za i przeciw, ale wydawało mi się, że kiedy stanę twarzą w twarz z moimi rodakami, oni mnie zrozumieją i zniknie wreszcie ta ciążąca mi atmosfera dwuznaczności. Bohater czy zdrajca? Zdrajca czy bohater? Ani jedno, ani drugie. Po prostu żołnierz. Pojmowałem swoją misję jako żołnierski obowiązek. Wtedy wszystko jest proste, nie ma miejsca na wątpliwości i pytania bez odpowiedzi. Odpowiedź była tylko jedna: służyć ojczyźnie najlepiej jak się potrafi. I temu byłem wierny. Próbowałem powiedzieć o tym Polakom, ale moje słowa zagłuszał szum medialny, jaki mi towarzyszył w czasie całej wizyty. Tylko raz poczułem się jak między swoimi. W górach, w Zakopanem. Właśnie tam otoczyli mnie ludzie, z którymi znalazłem wspólny język. Może dlatego że góralskie prawo jest bardzo surowe, ale sprawiedliwe. I ludzie są tam twardzi. Hitlerowi się z nimi nie udało, pomysł z Goralenvolk zawiódł na całej linii, komuniści też nie znaleźli tam wyznawców.

„Kukliński tak postąpił, bo nie mógł inaczej”. Taki wyrok wydało na mnie Podhale i ja go przyjmuję.

> Po ostatnim kilkunastogodzinnym nagraniu zaczęło nam się kręcić w głowach, mnie dodatkowo od dymu tych wszystkich wypalonych przez pułkownika papierosów. Postanowiliśmy wyjść na spacer do pobliskiego parku. Było prawie pusto, obok nas mała

murzyńska dziewczynka jeździła na wrotkach.

– Jutro wracam do Polski. Czy jest coś, co chciałbyś za moim pośrednictwem przekazać rodakom?

Długo się nie odzywał.

– Powiedz, że byłem uczciwym człowiekiem.

– Kogo oskarżasz o śmierć synów?

– Nikogo nie oskarżam, bo nie mam na to dowodów. Mogę się tylko domyślać.

Siadamy na ławce pod rozłożystym dębem. Potężne konary są gęste od liści, pomiędzy nimi brązowieją szypułki żołędzi.

– Nie byłoby źle mieć takie drzewo przy grobie – odzywa się pułkownik.

– Jako bohatera pochowają cię pewnie w Alei Zasłużonych na Powązkach.

Strasznie się obruszył.

– Zwariowałaś! Mieć na wieczność towarzystwo Bieruta! To już lepiej wcale nie umrę. Ale jeżeli mi się to mimo wszystko nie uda, rozsypcie moje prochy w morzu. Wiesz, mój ukochany, zimny Bałtyk śni mi się najczęściej. Płynę sobie jachtem, czuję słony wiatr na twarzy i jestem wolny, naprawdę wolny!

Czy było warto? Odpowiem ci tak. Latami przyklejałem na wielkich sztabowych mapach symbole grzyba atomowego: niebieskie tam, gdzie uderzenia miały paść z Zachodu, czerwone tu, gdzie miały paść nasze. To było moje wyjątkowe zadanie. Inni dbali o mundury, o buty, o kiełbasę, o naprawę czołgów. A ja nie mogłem nie myśleć, co te grzybki oznaczają. Musiałem na tych mapach rysować długie warkocze, które wyznaczały strefy skażeń promieniotwórczych, mających zagrodzić Armii Radzieckiej drogę do serca Europy. Jeden taki

warkocz układał się na linii Wisły, w poprzek kraju, bo u nas przeważnie wieją wiatry północno-zachodnie. Tam miały pójść uderzenia powyżej jednej megatony, przecinające Polskę na pół. A drugi taki warkocz wyznaczałem w zachodniej części kraju. Spytasz mnie jeszcze raz, czy było warto?

Posłowie

Praca nad powieścią o Ryszardzie Kuklińskim była dla mnie niezwykłym doświadczeniem pisarskim, bo tym razem zamiast fikcji literackiej miałam do czynienia z prawdziwą materią życia. Za każdym z zawartych w książce epizodów kryje się ludzki los, który oboje z Kuklińskim wydobywaliśmy z niepamięci. Przykładem może być tragiczna historia podpułkownika Kity. Czasami wydarzenia z życia mojego bohatera poddawałam niewielkiej modyfikacji, aby nie znużyć czytelnika nadmiarem faktów i nazwisk. Niektóre imiona i nazwiska zmieniłam z uwagi na osobisty charakter opisywanych sytuacji.

Powieść powstawała etapami, obrastała w nowe wątki, ciągle zmieniała swój kształt. Na początku nagrywałam wypowiedzi pułkownika, potem prowadziliśmy długie rozmowy telefoniczne, często przeciągające się do późna, spotykaliśmy się też w różnych miastach w Europie. Sądziłam, że mam jeszcze dużo czasu, bo Kukliński postawił mi warunek, że książka może się ukazać dopiero po jego śmierci.